

Irena Wójtowicz

Obcy trup

Prószyński i S-ka 2003

Śmiech jest lekiem na całe zło

Upiorne wycie unieruchomiło mnie za kierownicą. Wycie trwało, przenikało mięśnie i kości, wypełniało przerażeniem, paraliżowało. Zamarłam w bezruchu z papierosem w zębach i zapalniczką w ręku. Serce stanęło mi w gardle i prawie zaczęłam się dusić. Koszmarny głos dobiegał z ciemności. Przed sobą miałam tył samochodu Lalki oświetlony reflektorami mojego golfa. Otaczała mnie ciemność, w której czaił się las. Wycie dobiegało właśnie stamtąd i nagle ustało. Zakończyło się jakby szlochem, znacznie cichszym niż poprzednie dźwięki. W tych ciemnościach przebywała Lalka. Zatrzymała mnie w całkiem prozaicznej sprawie, bo chciała zrobić siusiu i znalazła sobie właściwe miejsce. Zaraz za kolejowym wiaduktem, na skraju pustej w tej chwili drogi.

Ogłuszające wycie ustało. Chyba powinnam coś zrobić... Ratować Lalkę!

Paraliż powoli ustępował i gorączkowo zastanawiałam się, co robić. Otworzyłam drzwi, ich trzask zabrzmiał z siłą granatu. Rzuciło mnie z powrotem do środka. W schowku wozilałam latarkę. Nędzną, co prawda, ale może uda mi się oświetlić chociaż skraj lasu.

Może to napad i chcą nam zabrać samochody? Niedoczekanie! Nie po to walczyłam przez cztery godziny z pazernym na łapówkę celnikiem, żeby teraz oddać nasze pojazdy. Nie po to przez trzydzieści kilometrów eskortowałam wieziony na lorze i całkiem sprawny samochód Lalki, żeby jakaś gnida teraz nam go odebrała. Miejsce faktycznie było dobre, lora odjechała, żadnych świateł na drodze. Prędej wedrę się do tego lasu samochodem! Rozjadę bandytów!

Dźwięk rozległ się ponownie. Tym razem był to bez wątpienia głos Lalki. Modulowane „aaa” zbliżało się do drogi.

Potężna wściekłość nie opuściła mnie jeszcze i teraz wybuchła na nowo. Nie dam odebrać tego samochodu, nawet gdybym miała rozjechać całą mafię, choćby i rosyjską.

Wspomnienia kilkugodzinnych bojów na granicy ponownie doprowadziły mnie do szaleństwa.

Wszystko zaczęło się niewinnie, miało być proste i łatwe, nawet przyjemne.

Po dość przykrym rozwodzie z mężem, w którego zaplątałam się w czasie studiów, i po kilkuletnim pobycie za granicą wróciłam do odmienionego już kraju.

Czekało na mnie mieszkanie i ukochana rodzina, ale nic więcej. Żadnej pracy i żadnych etatów. Swoim prawniczym wykształceniem mogłam się wypchać.

Próbowałam zatrudnić się w powstających jak grzyby po deszczu prywatnych firmach. Młodzieńcze lata i naiwność miałam już za sobą, nie aspirowałam do roli ozdoby prezesa i podawania kawy. Posiadałam umiejętności i wiedzę, ukończoną aplikację radcowską, choć nie zakończoną egzaminem, znajomość Europy oraz angielskiego i włoskiego.

Wizytowałam potencjalnych pracodawców, prezentujących wschodnioeuropejską elegancję nylonowych dresów i białych skarpetek oraz olśniewających zamożnością mercedesów lub co najmniej bmw.

Nie podobaliśmy się sobie wzajemnie, zwróciłam się więc w kierunku przedsiębiorstw państwowych.

Nie byłam całkowitą idiotką, błyskawicznie zatem dostrzegłam, że owe przedsiębiorstwa z przyczyn niezrozumiałych, ale niewątpliwie wyższego rzędu, zostały skazane na eksterminację i unicestwienie.

Pozostała administracja państwowa, której rozwój był odwrotnie proporcjonalny do rozwoju społecznego i gospodarczego. Kwitła i krzewiła się bujnie i bez przeszkód.

Poniechałam usiłowań, gdy pewna panienska, ubrana w obcisłe legginsy i szydełkową bluzkę składającą się głównie z dziur, którą nieopatrznie wzięłam za gońca, a która okazała się naczelnikiem wydziału, powiadomiła mnie krzykliwie, sepleniąc: „Ja tu jezdem, żeby prawo pilnować, i żadnych prawników nam nie trzeba”.

Pozostawiona własnej inicjatywie i pomysłowości dostrzegłam, że w społeczeństwie rozkwitła żądza posiadania pojazdów mechanicznych. Jak zwykle, nasze fabryki - chociaż nasze wyłącznie już ze względu na położenie geograficzne - nie nadążały.

Spółeczeństwo na gwałt waliło na zachód, najchętniej do Niemiec, zaopatrując się w mniej lub bardziej zużyte samochody po kapitalistach. Gdy zobaczyłam w jednym z dzienników ogłoszenie, że ktoś organizuje wycieczki zbiorowe „w celu zakupu samochodu”, już miałam pomysł. Sama dałam na próbę ogłoszenie, że zawiozę, pokażę, potarguję i ułatwię

wyjazd w interesach. Pomysł chwycił. Od razu zorganizowałam dwie kolejne wyprawy, a potem założyłam prywatne przedsiębiorstwo turystyki indywidualnej. Pewien kłopot stanowił, co prawda, fakt, że nie znałam niemieckiego, ale podłapałam kilka powszechnie używanych zwrotów i przeplatając angielską konwersację niemieckimi frazami, całkiem nieźle nauczyłam się targować. Inna sprawa, że zarówno Niemcy, jak i Holendrzy, handlujący używanymi samochodami, gotowi byli się nauczyć nawet chińskiego, byle interes się kręcił. A słyszałam co najmniej kilku całkiem sprawnie posługujących się rosyjskim.

Od tego czasu prawie regularnie jeździłam do Niemiec dwa razy w tygodniu. Podróże lubiałam, a udawaliśmy się głównie do granicy holenderskiej, tam bowiem była obfitość wszelkiego rodzaju samochodowych eldorado, prozaicznie zwanych autohandlem. Po kilku podróżach dwa tysiące kilometrów w tę i z powrotem wydawały mi się przejażdżką odbywaną dla przyjemności, tym bardziej, że z reguły wracałam sama i uciążliwych, kapryśnych klientów wiozłam tylko w jedną stronę.

Na tę wyprawę udałam się jednak wyłącznie z Lalką, miałyśmy dojechać do Osnabrück, pozatwierać jej sprawy spadkowe i przywieźć do Polski samochód, który jej z tego spadku przysługiwał. Całe Niemcy przejechała na tablicach próbnych, wydanych natychmiast bez żadnego ociągania. W moim bagażniku spoczywały także polskie tablice, które Lalka załatwiła sobie przed wyjazdem.

Do Świecka dobiłyśmy o dziesiątej wieczorem, na przekroczenie granicy nie czekałyśmy zbyt długo, półtorej godziny dawało się przeżyć. I gdyby wszystko poszło prawidłowo, od kilku godzin powinnyśmy już być w domu. Opóźnienie wynikało z uporu obrzydliwego, żadnego łapówki celnika. Chciał z nas te pieniądze wydobyć na siłę. Głupek nieświadom był faktu, że wszelki przymus natychmiast wywołuje we mnie nieopanowaną chęć walki.

Zaczął od tego, że zakwestionował prawidłowość wypełnionego przeze mnie formularza SAD. Na domiar był kierownikiem zmiany. Wokół jego uśmiechniętego ryja świńskiego blondyna zgromadziła się cała załoga zmiany. Celnicy byli bardzo młodzi, ich szef wyglądał na niewiele więcej niż dwadzieścia pięć lat. Niewątpliwie zgromadzeniu przyświecała żądza wiedzy i nauki.

Grzeczniutko mnie zapewniał, że SAD jest źle wypełniony, i nieczuły na wszelkie argumenty, jeszcze grzeczniej stwierdzał, że wie lepiej, choć żadnego konkretnego błędu nie chciał mi wskazać. Ta grzeczność trochę mnie zmyliła.

Dostrzegłam agencję celną, udałam się więc tam, aby ponownie wypełnili mi formularz. Uśmiechnięte ryło ponownie zapewniło mnie, że SAD jest źle wypełniony.

Wtedy wezwałam panienkę z agencji celnej - niech poprawia, zapłaciłam jej za prawidłowe wypisanie tego cholernego druku. No i wybuchła pierwsza awantura.

Panienka wypowiedziała się na temat kompetencji szefa zmiany, nie przebijając w słowach. Dyskurs toczył się przy mnie i w obecności innych celników. Świński ryj wziął ogon pod siebie i przyznał, że formularz jest dobrze wypełniony. Rozszalała we mnie wściekłość zaćmiła umysł. Wyjęłam SAD wypełniony przez siebie, wskazując, że jest identyczny. Jego grymasy były szykaną! Utrwalona we mnie praworzędność, a może raczej naiwność, nie dopuszczała myśli, że celnik może domagać się łapówki za sam fakt przekroczenia granicy, chociaż wszystko było prawidłowe i zgodne z przepisami. Obiecałam mu skargę za szykany. Bezczelnie wyrwał mi z ręki mój SAD i podarł na oczach wszystkich obecnych.

Pohamowałam wściekłość, uznając, że to koniec korowodów. Nie doceniłam przeciwnika. Zażądał dokumentów przewożonego samochodu i ubezpieczenia. Niemieckie tablice były jeszcze ubezpieczone i ważne do końca następnej doby. Miałam dokumenty. Kazał dołączyć je do druków SAD, a kiedy je oddałam, z uśmiechem wrednej satysfakcji oświadczył, że z chwilą ich dołączenia stają się nieważne. Trafił mnie piramidalny szlag. Nie miałam już wątpliwości, że chce wymusić łapówkę, ale zapałam się w sobie. Pokazałam mu polski dowód rejestracyjny na tymczasowe tablice i ubezpieczenie. Przeżyłam chwilę satysfakcji, gdy opadła mu ze zdziwienia szczeka. Kazał te tablice zamontować.

Resztką przytomności umysłu powstrzymała mnie przed natychmiastowym zabiciem palanta. Majdrując przypadkowo wożonym w samochodzie śrubokrętem i wsadzonymi mi przez nie wiadomo kogo kombinerkami, w pocie czoła odkręciłyśmy z Lalką niemieckie tablice i założyłyśmy próbne polskie. Niemieckie tablice wrzuciłam do swojego bagażnika.

Wtedy ten kuzyn wieprza przyszedł, aby stwierdzić, że próbne tablice nie uprawniają do jazdy. Samochód należy przewieźć na lorze. Musiałam mieć mord w oczach, gdyż błyskawicznie, zanim zdołałam wykonać jakikolwiek ruch, zniknął z horyzontu. Rozbawiony personel postawił przed samochodem dwa znaki i również zniknął, chichocząc.

Mgła wściekłości przesłoniła mi oczy i odebrała głos. Złośliwy wieprz, aby go dożywno ozdabiał zakręcony ogon, stworzył sytuację bez wyjścia.

Lalka mówiła coś do mnie, ale stan ducha nie pozwalał mi zrozumieć ani słowa. Musiałam odzyskać chociaż część władz umysłowych, skupiłam się więc na wykonywaniu głębokich, rytmicznych oddechów. Po kilku minutach takich ćwiczeń mogłam się zastanowić.

Przypomniałam sobie! Niedaleko, kilka kilometrów od granicy, wybudowano stację benzynową. Z wjazdem, co prawda, pod górę, bo z nieznanych przyczyn ułożono ją na stromym zboczu, chociaż po przeciwnej stronie drogi rozciągały się płaskie i puste pola, ale

nie tak dawno brałam tam benzynę. Coś muszą wiedzieć. Zostawiłam Lalkę przy jej samochodzie i kazałam pilnować, żeby nie podłożyli nam jakiejś świni, przemytu albo innego paskudztwa.

Wskoczyłam do swojego golfa i wystartowałam jak na wyścig. Poganiała mnie wściekłość. Nie przysięgnę, że nie warczałam razem z silnikiem.

Mój ukochany, szesnastozaworowy GTI kocha prędką jazdę i z trudem znosi szybkość niższą od sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Czuję wręcz, że buntuje się wówczas i dodatkowo warczy ze złości. Powstrzymywany hamulcem utrzymuje pożądaną prędkość, ale trzeba go pilnować uważnie, gdyż wykorzystuje każdą okazję, by nabrać przyspieszenia. Tym razem mu nie żalowałam.

Stacja benzynowa pojawiła się bardzo szybko, z przeciwka nic nie jechało i mogłam wykonywać dowolne ewolucje, startując do wjazdu pod górę.

Ogólnie biorąc, po całym dniu jazdy, atakach wściekłości i miotaniu się przez pół nocy na granicy byłam niezbyt piękna, rozczochrana i z pewnością nos mi się świecił. Facet na stacji benzynowej musiał być babiarzem niezłego kalibru, spojrzął bowiem na mnie z takim ogniem, że przez chwilę gotowa byłam uciec w krzaki dla poprawienia urody. Przeszło mi natychmiast, ale złość we mnie skłęsała i spokojnie załatwiałam wynajęcie lory.

Trochę poczekaliśmy, bo kierowca jadł kolację. Najwidoczniej wcześniej nie miał czasu na posiłek. Wraz z podrywaczem wypiliśmy kawę i wypaliliśmy po papierosie. Oddalenie od koszarnej kontroli celnej wyszło mi na zdrowie, odzyskałam równowagę i tym razem ze śpiewem zwycięstwa na ustach doprowadziłam lorę do samochodu Lalki. Podobno próbowali ją zgnębić, twierdząc, że o tej porze nie znajdę żadnej pomocy drogowej, ale nawet gdyby chciała wręczyć im łapówkę, nie miała żadnych szans. W czasie tego kotłowania obie torebki zamknęłam w swoim golfie i woziałam ze sobą. Nie zostawiłam jej nawet głupiej kartki, nie mówiąc o paszporcie.

Samochodzik wjechał na lorę, obok kierowcy usiadła Lalka i wyruszyliśmy wreszcie w kierunku domu. Uzgodniłam, że lora odstawi nas nie dalej niż trzydzieści kilometrów, potem pojedziemy same.

Złośliwość odrażającej kreatury blisko spokrewnionej z wieprzem była tak wielka, że wysłał za nami pojazd z dwoma celnikami. Zawrócili jednak po kilkunastu kilometrach. Pomoc drogowa dowiozła nas do wiaduktu i pod jego osłoną ściągnęliśmy samochód z lory. Mogłyśmy wracać do domu na własnych kołach. W tym właśnie miejscu Lalka postanowiła udać się w las.

Po drugiej stronie płytkiego rowu w rozproszonym świetle reflektorów pojawiła się drobna sylwetka Lalki. Pojękiwała cichutko. Nikt za nią nie leciał. Nie dostrzegła przeszkody i ześlizgnęła się, siadając na skraju, z nogami w dole.

Wyglądało na to, że widok stojących, oświetlonych samochodów uszczęśliwia ją wystarczająco. Usiadła wygodniej i znieruchomiała.

- Zostaniesz tu na zawsze? - spytałam jadowicie, wysiadając. Zignorowała mnie, chociaż niezupełnie. Wydawane przeze mnie dźwięki zwróciły jej uwagę, przyglądała mi się zatem intensywnie, acz najwyraźniej w dalszym ciągu nie mogła otrząsnąć się z tępoty.

Na wszelki wypadek ponownie spojrzałam w stronę lasu. Nic się tam nie ruszało. Wiatru ani śladu. Martwa cisza.

- Wrzaski tu straszne wyczyniłaś. Dlaczego? - indagowałam, świecąc w jej kierunku. - Coś tam było? Co to było?

Moja przyjaciółka z lat szkolnych oniemiała. Kiwnęła się lekko do przodu, co wzięłam za potwierdzenie, i dalej przyglądała mi się w milczeniu, dokonując oględzin z coraz większym skupieniem. Napawała się przez chwilę moim widokiem, szczególnie uwagę poświęcając nogom, którymi poruszałam, i rękom, którymi machałam. Najwyraźniej interesowały ją elementy ruchome.

- Lalka! Odpowiedz! - żądałam bezskutecznie.

Teraz byłam już przerażona. Gdyby nie fakt, że znałam ją od siódmego roku życia, mogłabym przypuszczać, że występy wokalne wyczerpały jej przydział wydawania głosu na dzień dzisiejszy. Wiedziałam jednak, że mówić lubi dużo. Pierwszy raz, odkąd ją znam, odebrało jej mowę, pod warunkiem że pominę odpytywanie na lekcjach fizyki. Zadziwiająco.

- Poznajesz mnie? - Podeszłam bliżej, nie opuszczając asfaltu. Chybotnęła się raz jeszcze w moim kierunku, co znowu przyjąłabym za potwierdzenie.

- Tam - wyszeptała, powtórnie znieruchomiejąc.

- Wiem, że tam. - Pomachałam latarką w stronę lasu. - Co tam?

Ponownie obejrzała mnie z wytężoną uwagą i wyszeptała:

- Trup. - I wyciągnęła rękę w moim kierunku.

Uznałam, że mam jej pomóc podnieść się z wilgotnej trawy, choć paralityczką przecież nie była i sprawność fizyczną posiadała.

Najwyraźniej wstrząs na nią tak podziałał. Podeszłam jeszcze bliżej i podałam jej rękę. Zaczęła ją obmacywać, początkowo prawą dłońią, później obydwoma.

- Ciepła - stwierdziła i dopiero wówczas podniosła się z tego cholernego rowu z moją niewielką pomocą. Gdy już stanęła obok, dla pewności pomacała mnie ponownie.

Zaprzyjaźnione byłyśmy, choćby z tej przyczyny, iż uczęszczałyśmy do tych samych szkół przez kilkanaście lat, ale nigdy mnie tak nie obmacywała. Coś się jej musiało rzucić na mózg.

Uznałam, że moja chwilowo szalona przyjaciółka ma prawo do szczególnych względów. Poprowadziłam ją jak paralityczkę do mojego samochodu i usadziłam w fotelu pasażera. Obleciałam pojazd dookoła i usiadłam za kierownicą. Niewielka lampka oświetlająca wnętrze najwidoczniej poprawiła jej samopoczucie, ponownie dokładnie mnie bowiem obejrzała, kilkakrotnie głęboko odetchnęła i normalnym już głosem zażądała:

- Daj papierosa.

Zdenerwowana jej stanem i gotowa do wielkich czynów, aby tylko przywrócić ją rzeczywistości, zapaliłam jej papierosa i wręcz gotowa byłam wypalić za nią, ale wyrwała mi go z ręki. Zaciągnęła się głęboko dwa razy i zawiadomiła przednią szybę:

- Trup mnie zaatakował.

Zamurowało mnie. Wydawało się, że wraca do siebie, a tu okazuje się, że choroba ulega pogłębieniu. Może jeszcze nie choroba, ale dziwny stan na pewno.

- Tam. Trup mnie zaatakował - powtórzyła, patrząc na mnie.

Rany boskie! Wariatom nie należy się sprzeciwiać! Trupy nie mają się prawa poruszać, a co dopiero atakować. I w ogóle skąd trup w nędznym zagajniczku na skraju drogi?

- Dlatego tak wyłaś? - z wysiłkiem podjęłam temat. Lalka po namyśle przyznała mi rację i pokiwała głową. - Już go nie ma - westchnęłam pocieszająco.

- Tutaj. Tutaj go nie ma - poprawiła stanowczo.

- To znaczy gdzie?

- W samochodzie go nie ma - powtórzyła.

- A gdzie jest? - ośmieliłam się wątpić.

- Tam. - Lalka pokazała za okno. - Tam jest - upierała się.

- Litości - jęknęłam. - Żadnych latających trupów nie ma. Ani tutaj, ani tam.

- Tam jest. Nie wiem, czy lata. Mnie atakował - rozszerzyła wypowiedź.

- Jaki trup? Znasz go? - upewniałam się.

- Nie znam. Obcy trup - odpowiedziała.

Przyjrzałam się jej uważnie. Niewątpliwie jej stan fizyczny się nie pogorszył, uroda nie zbladła. Nawet kolor twarzy wrócił do stanu poprzedniego i prezentowała złocistą opaleniznę. Wzrok też miała przytomny i wcale nie mętny.

Szarozielone oczy patrzyły na mnie uważnie. Żadnych rzucających się w oczy objawów szaleństwa nie dostrzegłam. Skołtunione włosy mogą się przytrafić każdemu, kto lata po lesie w ciemnościach. Postanowiłam się upewnić.

- Dobrze się czujesz?

- Może być - westchnęła. - Coś trzeba zrobić.

- Co trzeba zrobić? Z czym?

- Z tym trupem - westchnęła ponownie.

- Zwariowałaś? Nie będę sobie w środku nocy zawracać głowy jakimś obcym trupem.

Nie idę tam. - Zapałam się i żadnych oględzin nie miałam zamiaru dokonywać.

- Sama wiesz, że trzeba. Prawnik jesteś - dodała.

- Halucynacje miałaś. Ja żadnych trupów nie widziałam i już się rozpędzam oglądać! - wrzasnęłam, kończąc nieco ciszej, dotarło bowiem do mnie, że miała rację.

- Ktoś musi - upierała się.

- Ja nie idę i tobie też nie radzę. A w ogóle pewna jesteś tego trupa? Pierwszy raz słyszę, żeby trupy rzucały się na ludzi. Mają obowiązek być nieruchome.

- Zastanowiłam się. On się na mnie nie rzucił. Był jakoś oparty albo przywiązany. Weszłam w krzaki i wtedy to wypadło na mnie. Rozumiesz, samo z siebie. Gałęzie ruszyłam i tak jakoś wyszło.

- To dlaczego wrzeszczałaś? - zgłosiłam pretensję. - Myślałam, że umrę.

- Samo wyszło. Też byś wrzeszczała, jakby trup na ciebie w ciemności i znienacka wyskoczył.

- Nie wierzę. Musiało ci się zdawać.

- Halucynacji nie miewam. Tam był trup. Jestem pewna - obstawała przy swoim.

- Zostaw to. Wracamy do domu. Niech się kto inny wygłupia i znajduje tego twojego trupa - zaproponowałam. - I najlepiej w środku dnia.

- Nie mojego - jęknęła. - Musimy powiadomić policję - dodała stanowczo.

Sytuacja wymagała przemyślenia. Zapaliłyśmy obie w milczeniu. Moje prawnicze wykształcenie również opowiadało się za tym, żeby nawiązać kontakt z władzami wyspecjalizowanymi w rozwiązywaniu zagadek wynikających ze znajdowania obcych zwłok. Z drugiej jednak strony rzadko się słyszy, by ktoś spotkał w krzakach rzucającego się na niego trupa. Nie za bardzo chciałam wierzyć w przeżycia Lalki. Może to była jakaś szmata na gałęziach i coś jej się zdawało? W ciemnościach można zobaczyć różne rzeczy. Sprawdzać nie pójdę! W żadnym wypadku!

- To co robimy? - spytałam z niesmakiem.

Niestety, oba nasze telefony komórkowe od dawna miały wyczerpane akumulatory.

- Jedna tu zostaje, druga jedzie po policję - zdecydowała Lalka.

- Ty jedź. Ja tu zostanę. Mogę pilnować tego twojego trupa z daleka. Ja tego nie widziałam i o latających trupach opowiadać nikomu nie będę.

- Nie mojego - odzębła się ponownie od obcych zwłok. - Gdzie tej policji szukać? Pokaż mapę.

- Nie wiem. Jechać można do przodu i do tyłu. Możesz wrócić do granicy. Tam jest stacja benzynowa. Wiesz, ta, z której wezwałam lorę. Na pewno mają numer do policji.

- W życiu. Jeszcze mi zabiorą samochód - zachnęła się. - Tylko do przodu. Pokaż mapę.

W charakterze mapy Polski miałam niewielką kartkę z głównymi drogami i miastami wojewódzkimi. Albowiem tuż przed wyjazdem, oddając samochód do przeglądu, powyjmowałam z niego mapy, nauczona doświadczeniem, że kontakt z jakimkolwiek mechanikami pozbawia mnie wszystkich map, nawet tych z zamkniętego schowka. Potem, w pośpiechu, nie zabrałam ich z domu. Aż do tej chwili nie odczuwałam ich braku.

Jechałyśmy znaną mi dobrze trasą i nie musiałam niczego sprawdzać. Teraz moje kartkowe prowizorium okazało się niewystarczające.

- Nic tu nie ma - powiedziała Lalka z niesmakiem po obejrzeniu kartki. - Innych map nie masz?

- Mam. W domu. I nie będę się wyrażać - oceniłam własne niedbalstwo.

- To co robimy?

- Jedziesz przed siebie. Gdzieś przed nami musi być jakieś miasteczko z policją. Jak dopisze ci szczęście, spotkasz patrol drogowy.

- O trzeciej w nocy? Stoimy tu jak głupie i nikt nas nie minął.

- Właśnie. Możemy jechać dalej. Nikt nie będzie wiedział o twoim znalezisku - przekonywałam. Lalka zamyśliła się na moment.

- Nie możemy. Macałam ją. - Z nieznanых przyczyn ponownie zwróciła się do przedniej szyby.

- Ten twój trup to kobieta?

- Nie mój - zaprzeczyła stanowczo. - Dziewczyna. Nawet ładna - westchnęła.

- Tym bardziej dziwią mnie twoje wrzaski. Gdyby to był chłop, jeszcze rozumiem. Wrzeszczałaś, bo rzuciła się na ciebie dziewczyna? I dlaczego ją macałaś? - wypytywałam.

- Jakby się na ciebie rzuciło takie coś zimne i sztywne, też byś wrzeszczała. Dopiero potem zobaczyłam, że dziewczyna. Pomacałam, chcąc sprawdzić, że to trup - wyjaśniła.

- Co z tego macania wynika?

- Pewno zostawiłam ślady. Zamącą im. A jeszcze mogą się mnie czepiać. Nie mam czasu - dodała z niesmakiem.

Faktycznie. Korowody z pozostawionymi śladami mogły potrwać, a Lalka zaplanowała sobie dwumiesięczny urlop ze zwiedzaniem Europy zaraz po zarejestrowaniu samochodu. Jakby wiedzieli, że zostawiła ślady, mogliby przeszkodzić jej w zaplanowanej wycieczce.

- Jadę na te poszukiwania - zawiadomiła przednią szybę, nie ruszając się z miejsca.

- No to rusz się. Noc mamy z głowy, ale chętnie przespałabym się jeszcze dzisiaj. Najlepiej we własnym łóżku.

- Do wieczora masz mnóstwo czasu - powiedziała, zatraskując drzwi.

Wystartowała ostro wprost przed siebie. Zamknęłam wszystkie drzwi od wewnątrz. Jeżeli płaczą się tu jakieś zwłoki, to nie zależy mi na kontakcie z nimi.

Rozumiałam upór Lalki. Obie miałyśmy prawnicze wykształcenie i lata edukacji, nie mówiąc już o wrodzonej praworządności, wyrobiły w nas nawyk działania i postępowania zgodnego z przepisami. Co prawda, na granicy wyszło nam to bokiem, ale jednomyślnie uznałyśmy, że tej odrażającej kreaturze w postaci świńskiego blondyna żadnych łapówek dawać nie będziemy. W ogóle żadna z nas nie umiałaby tego zrobić.

Czekałam długo. Nadszedł świt i pierwsze promienie słońca, świecąc prosto w oczy, zaczęły mnie oślepić, gdy pojawił się samochód Lalki z towarzyszącym mu radiowozem. Lalka stanęła za mną, policjanci uznali za słuszne ustawić się równolegle do mnie. Na wąskiej drodze zostawili niewiele miejsca dla przejeżdżających pojazdów; niespodziewane zwięzienie jezdni tuż po wyjechaniu spod wiaduktu powinno uszczęśliwiać szczególnie jadących od granicy. Z radiowozu wysiadło dwóch mundurowych. Wszyscy pognali do zagajniczka, zupełnie mnie ignorując. Miotali się tam dłuższą chwilę, walcząc z drzewkami i krzakami, po czym zobaczyłam wracających galopem policjantów. Za nimi kroczyła powoli Lalka z bijącą z całej postaci satysfakcją.

Mundurowi dopadli radiowozu, próbowali wyrwać sobie prawe drzwi i zaczęli gmerać w środku. Wydobyli mikrofon na skręconym sznurze i jęli coś do niego obaj wykrzykiwać, przeszkadzając sobie wzajemnie. Przedstawienie tak mnie zajęło, że zapomniałam o Lalce, która dobijała się gwałtem do mojego samochodu.

- Jest trup - oświadczyła, sadowiąc się na siedzeniu pasażera, gdy tylko otworzyłam jej drzwi.

- Bardzo długo cię nie było. Chyba dojechałaś do Poznania - wymamrotałam, wciąż zajęta obserwowaniem policjantów.

- Skąd. Trafiłam do takiego parszywego miasteczka nie dalej jak piętnaście kilometrów stąd - powiedziała, zapalając swojego papierosa.

- Podobno rzuciłaś palenie - zauważyłam złośliwie.

- Dobijałam się do tej choleralnej policji, a potem musiałam ich przekonywać, że nie miałam żadnych majaków - podjęła opowiadanie, ignorując moją złośliwość.

- Przecież policja działa na okrągło? - zdziwiłam się.

- Możliwe. Ale nie tutaj. Trafiłam na posterunek od razu. W środku siedział jeden i nie chciał mnie wpuścić. Przez kraty ze mną rozmawiał. Jakby mnie gonił jakiś bandyta, to na progu posterunku byłby zimny trup.

- Społeczeństwo nie powinno spotykać się z bandytami. A policja dba o własne bezpieczeństwo - pouczyłam Lalkę.

- Policja ma dbać o bezpieczeństwo społeczeństwa - stwierdziła z niesmakiem.

- Ale w jego skład wchodzi również bandyci. Jak bandyci wybiją policjantów, to nie będzie miał kto dbać.

- To lepiej żeby wybijali społeczeństwo? Coś pleciesz bez sensu - skrzywiła się.

- Co teraz? Możemy jechać? - spytałam.

- Właśnie nie wiem. Latali koło tego trupa. Pewnie zdeptali wszystkie ślady. I od razu pognali do radiowozu. Nic mi nie powiedzieli.

- Ja bym już pojechała. Do domu mamy jeszcze trochę - zauważyłam.

- Nie chcę się lekkomyślnie odwoływać do twego wykształcenia, ale chyba powinni nas przesłuchać - oznajmiła Lalka.

- Przewiduję kłopoty. Jest trup. Śledztwo będą pewnie prowadzić w Poznaniu. Dość daleko od nas. Może lepiej, żeby nas od razu przesłuchali? - wyraziłam kłębiące się we mnie wątpliwości, widząc oczyma duszy wszystkie problemy, które mnie czekają z wyjazdami do Niemiec. - Niech nas od razu skreślą z listy podejrzanych.

- Idę do nich. - Wyskoczyła z samochodu, nadzwyczajnie ożywiona jak na nieprzespaną noc.

Policjanci właśnie się rozdzielili. Młodszy pozostał na poboczu, starszy wsiadał do radiowozu. Dopadła go Lalka, od której odganiał się zdecydowanie z objawami wstrętu. W końcu zaczęli sobie pokazywać różne kierunki. Policjant energicznie wskazywał ku granicy, Lalka upierała się przy kierunku przeciwnym. Policjant machnął w końcu ręką i trzasnął drzwiami radiowozu. Lalka pobiegła do swojego pojazdu, pokazując na samochód policyjny. Zrozumiałam, że mam udać się za radiowozem.

Przyczepiłam się do niego jak rzep. Tuż za mną jechała Lalka.

Wyglądaliśmy jak kolumna prowadzona przez policję, ale żadnych sensacji nie wywołaliśmy, niewątpliwie ze względu na wczesną porę. Zatrzymaliśmy się wszyscy na schludnym ryneczku. Parking przed posterunkiem świecił pustką i mogłam stanąć w dowolny sposób. Zanim zdążyłam wysiąść, by udać się w ślad za policjantem do znajdującego się naprzeciwko posterunku, Lalka usadowiła się obok mnie.

- Coście tak machali? - spytałam.

- Chciał, żebyśmy jechały do granicy, bo to jakaś strefa przygraniczna. A chała! Znowu ten syn knura zabrałby mi samochód - powiedziała nieźyczliwie. - Komendant nie chce naszych zeznań.

- Nie chcą nas przesłuchać? Nie interesuje go, jak ten trup na ciebie wypadł?

- Nie bardzo. Nawet zaczął się upierać, że sami znaleźli te zwłoki.

- Sami latali po krzakach? Po co? - zdziwiłam się.

- Podobno w ramach prewencji. Tak powiedział - zawarczała.

- No to mamy z głowy. Nie musisz być tak upiornie praworządna.

- Nie masz pojęcia, jak takie przypadkowe ślady mogą namieszać. Trzeba poczekać, aż przyjadą ze śledczego. Niech nas wyeliminują.

- Ja się z tym trupem nie kotłowałam i żadnych śladów nie zostawiłam. Mnie nie muszą eliminować.

- Też jesteś świadkiem.

- Czego? Mówiłaś, że to obce zwłoki.

- Zaświadczysz, że ją znalazłam. A przedtem szarpałyśmy się na granicy.

- Zaświadczyć mogę, że słyszałam twoje wrzaski.

- Otóż to - stwierdziła z satysfakcją.

Czekałyśmy w samochodzie. Czas płynął, poczułam się głodna, ale szans na jakikolwiek posiłek nie widziałam. Tylko hotel, i to dobrej kategorii, mógł nam zapewnić jedzenie, acz nie wcześniej niż o szóstej rano. Ewentualnie przydrożna knajpa czynna non stop. Gdzieś bliżej Poznania. Siedziałam w ponurym milczeniu coraz bardziej głodna i coraz bardziej zła. Nie wiem, czy Lalka też była głodna, choć na zdrowy rozum powinna, ale zła zrobiła się również. Wpatrzona w drzwi posterunku od czasu do czasu wywarkiwała słowa powszechnie uznane za obelżywe, głównie zawierające „r” w środku. Nie wątpiłam, że ich adresatem jest ukrywający się na posterunku komendant. Przez chwilę nawet widziałyśmy kawałek daszka jego czapki, ale okrytego nią czerepu nie pokazał. Wahał się tylko do przodu i wrócił do środka. Najwyraźniej nasza obecność na parkingu wzbudzała w nim głębokie obrzydzenie.

Czekałyśmy nadal, teraz już w pełnym słońcu. Bezchmurne niebo zapowiadało kolejny upalny dzień.

Zielony ford z trzema facetami w środku zmaterializował się obok radiowozu chyba po trzystu latach, a co najmniej po dwóch godzinach. Zza kierownicy wyskoczył drobny, rozśmiany blondyn ubrany w dżinsy i letnią koszulę. Obok niego jechał podobnie ubrany, ale starszy brunet, wyraźnie zaspany. Dopadła go Lalka i odniosłam wrażenie, że za chwilę rozszarpie, przy akompaniamencie dramatycznie brzmiących okrzyków. Równocześnie z tylnego siedzenia samochodu zaczął się wygrzebywać niski zażywny blondyn z resztkami misternie zaczesanych włosów, w bezkonkurencyjnie pogniecionych szarych spodniach i szarym T-shircie. W drzwiach posterunku pojawił się komendant, demonstrując elegancję policyjnego munduru. Uznałam, że Lalka wiedziona instynktem, a może doświadczeniem, szarpała tego, który był oficerem śledczym. Postanowiłam jej pomóc, nie tyle w rozszarpywaniu człowieka, co w zmuszeniu go do odebrania naszych zeznań. Zanim zdołałam wydostać się zza kierownicy, wszyscy zniknęli wewnątrz posterunku. Tylko Lalka tuż przed wejściem do środka odwróciła się, dając mi znaki, że mam czekać. Tak jakbym mogła ją zostawić samą! Poza tym postanowiłam twardo czekać, aż otworzą jakiś lokal, sklep, cokolwiek, żeby kupić coś do jedzenia. Głód już potężnie dawał mi się we znaki i rzucał na umysł. Żeby zapomnieć o nim choć przez chwilę, zaczęłam sobie przypominać, jak to się wszystko zaczęło.

Pojechałam z Lalką do Osnabrück, bo potrzebowała przyjaznej polskiej duszy w tym morzu niemieczyny. Uznała, że z krewnymi jakoś da sobie radę, ale wychowana w domu, gdzie Niemcami straszono dzieci, nie chciała być tam sama.

Jej dziadek miał brata, siłą rzeczy nazwisko nosili to samo. W czasie wojny, która wydawała się nam obu odległą i mało rzeczywistą przeszłością, obaj walczyli z okupantem, choć tak się złożyło, że należeli do dwóch różnych organizacji, specjalnie za sobą nie przepadających. Gdy wojna się skończyła, organizacja, do której należał stryjeczny dziadek Lalki, okazała się tą niesłuszną. Wtedy to stryjeczny dziadek uciekł i osiedlił się w Niemczech. Dziadek Lalki nigdy mu tego nie darował. Nie dość, że uciekając naraził brata na kłopoty, to jeszcze zamieszkał w kraju znienawidzonych okupantów. Jakby i tego było mało, ściągnął do siebie ich najmłodszą siostrę i wydał ją tam za męża. Na szczęście nie za Niemca, lecz amerykańskiego sierżanta, który jednak osiedlił się z rodziną w Niemczech i tam pozostał. Wszystko to wystarczyło, by dziadek Lalki obraził się na nich dożywotnio i nie tylko nie chciał na ich temat rozmawiać, ale wręcz traktował swoją rodzinę w Niemczech jako nieistniejącą.

Teraz jednak Lalka wyprawiała się do Osnabrück, okazało się bowiem, że jej stryjeczny dziadek nigdy się nie ożenił, a nawet nigdy nie dorobił własnych dzieci. Dorobił się jednak małej fabryczki i niewielkiego majątku, który zapisał wnukom swojego rodzeństwa.

- Nie jechałabym tam za skarby świata, ale świnia nie jestem i wiem, że oni tam bez mnie nie mogą tego spadku ugryźć. Widzisz więc, że muszę jechać - zakończyła sagę rodzinną, namawiając mnie do podróży.

Ostatecznie stałej pracy nie miałam i kilka dni mogłam jej poświęcić. Tym bardziej że trzeba było przyprzeprzeździć odziedziczony samochód, który stryjeczny dziadek przeznaczył dla niej czy też - nieuważnie słuchałam, gdy mi o tym opowiadała - dla niej kupić. W każdym razie trzeba było jechać samochodem i zabrać ten niemiecki, dla Lalki przeznaczony. Dlatego wracałyśmy dwoma autami i stąd te perturbacje na granicy.

Wspomnienie ryżego wieprza nieco mnie otrzeźwiło, zdołałam zatem dostrzec Lalkę wsiadającą do zielonego forda razem z całą grupą. Gruby komendant sadowił się w radiowozie. Najpewniej jechali na miejsce znaleziska. Wesołej podróży.

Uznałam, że większy pożytek przyniesie, jak coś zjem, niż gdybym za nimi jechała, tym bardziej, że dostrzegłam po drugiej stronie sklep, z którego zdjęto kraty. Drobnym truchtem podążały w tę stronę dwie miejscowe paniusie w porannych toaletach, to znaczy w kapciach i podomkach. Po chwili na ulicy pojawiła się trzecia, w wałkach na głowie, i przez moment miałam przed oczami straszną wizję, że miejscowe paniusie wszystko wykupią, dla mnie zaś pozostanie jedynie ocet i musztarda. Odegnawszy wizję pochodzącą z mojej wczesnej młodości, popędzana jednak niepokojem, że a nuż może być ona choćby częściowo prawdziwa, szybko wyskoczyłam z samochodu.

W sklepie zaopatrzyłam się w świeżutkie, chrupiące bułeczki, drugiej świeżości szynkę, którą ekspedientka bez grymasów pokroiła mi w plastry, oraz wodę sodową w butelce koloru fioletowego, przez co jednoznacznie nasuwała skojarzenie z denaturatem. Z napojów miałam jeszcze do wyboru kilka różnych dziwnie barwionych cieczy oraz coca-colę, której nie piję, odkąd dowiedziałam się, że mój mechanik używa jej skutecznie do zabezpieczonych lub zardzewiałych śrub. Widziałam na własne oczy, jak taka śruba, której nic nie mogło ruszyć, polana coca-colą po kilku minutach dawała się odkręcić bez nadmiernego wysiłku. Obserwowane w warsztacie doświadczenie zmusiło mnie do wykonania pracy umysłowej, w wyniku której nie ustaliłam, co prawda, co ten płyn może zrobić z moim, delikatniejszym jednak od przerdze-

wiałej śruby, żołądkiem, za to nabrałam przekonania, że napój ów bardziej stosowny jest dla żelastwa niż dla ludzi.

Zaspokajałam głód za kierownicą swojego samochodu, pocieszając się faktem, że woda, pomimo obrzydliwego koloru opakowania, okazała się zwykłą wodą, nawet lekko gazowaną, co miało dla mnie walor odświeżający. Pożarłam dwie bułki, pozostawiając resztę dla Lalki. Nie wątpiłam, że kiedyś wreszcie wróci z tej makabrycznej wycieczki i pomimo wstrząsających przeżyć będzie równie głodna, jak ja przed chwilą. Można przecież przyjąć, że obcowanie z trupem stanie się dla niej przeżyciem zwykłym, za każdym razem mniej przejmującym. Człowiek może się do wszystkiego przyzwyczaić.

Suche bułki pochłonięte na fotelu kierowcy nasunęły mi wspomnienie znakomitych posiłków serwowanych nam w Osnabrück.

Rodzina Lalki nie okazała się ani zniemczala, ani zamerykanizowana. Przyjęli nas z iście polską gościnnością i rozmawiali wyłącznie po polsku. To Marysia, cioteczna babka Lalki, udawadniała, że krzewi polskość. Języka i obyczajów nauczyła nie tylko swoje dzieci i wnuki, ale również męża, który się przypolaczył, jak mówił, niemal bezbłędnie wymawiając wszystkie szeleszczące w naszym języku spółgłoski.

Natomiast niemiecki notariusz, bo okazało się, że stryjeczny dziadek sporządził formalny testament, był klasycznym Niemcem z dowcipów. Służbista, pozbawiony wyobraźni i wyzuty z poczucia humoru, uparł się, żeby testament, odczytany w obecności całej rodziny, tłumaczył Lalce urzędowy tłumacz, a nie ktoś z najbliższych. Umówiwszy dzień i godzinę odczytywania testamentu, wręczył nam kartkę z adresem i nazwiskiem tłumacza - kobiety, jak wynikało z tych danych. Trzeba było ją zawiadomić i opłacić.

Kto wpadł na pomysł, żebyśmy to my z Lalką do tłumaczki pojechały, już nie pamiętam. Być może nikt nie miał czasu. Pomysł nie był jednak najlepszy, Lalka bowiem знаła francuski, ja angielski i włoski, obie trochę pamiętałyśmy ze szkoły rosyjski, no i mówiłyśmy po polsku. Niemiecki był dla nas całkowicie językiem obcym. Miałyśmy tylko plan miasta i nadzieję, że z tłumaczką porozumiemy się po polsku.

Plan miasta okazał się niewystarczający. Gdy po raz trzeci, jadąc zgodnie ze strzałkami wskazującymi jeden kierunek ruchu, powróciłyśmy pod hotel, z którego wyruszyłyśmy do tłumaczki, doszłam do wniosku, że ruch drogowy organizował w tym mieście jakiś szaleniec, będący na domiar wyznawcą co najmniej religii koła. Komunikację w Osnabrück pomyślano tak, że można było jeździć wyłącznie zataczając koła. Mniejsze i większe, zależnie od upodo-

bań. Gdy po raz czwarty przejechałam kilkanaście ulic zgodnie ze wskazówkami siedzącej obok Lalki i ponownie wylądowałyśmy pod hotelem, wydarłam jej plan z ręki. Takie obłądne miasto, gdzie jeździ się tylko w kółko, nie może na świecie istnieć! Tym bardziej że mieszkańcy nie wyglądają na idiotów, a trudno przecież dojechać gdziekolwiek, zataczając nieustannie koła!

Nie szczędząc wysiłku umysłowego, udało mi się znaleźć dwie ulice, w które z tego obłądnego koła można było zjechać. Jedna prowadziła w prawo, druga w lewo, a żadna tak naprawdę w kierunku pożądanym. Czołgając się nieomal i wzbudzając w wyprzedzających mnie kierowcach mordercze uczucia, osiągnęłam wybraną ulicę i skręciłam w prawo. Potem znowu był ruch jednokierunkowy i po kilkunastu minutach udało mi się stwierdzić, że ponownie zataczamy koła, tym razem wokół kwartału robiącego wrażenie ryneczku z przyległościami.

Zatrzymałam się więc, wypatrzywszy wcześniej wolne miejsce przed Blumenmarkt, który już dwa razy minęłam. Da się to przełożyć na nasz sklep ogrodniczy albo może kwiatowo-ogrodniczy, gdyż sprzedaje się tam kwiaty i rośliny nadające się do posadzenia, a nie cięte, jak w naszych kwiaciarniach. Dużo tam takich sklepów było, prawie na każdej ulicy co najmniej jeden, bo żywe kwiaty rosły nie tylko na skwerkach i balkonach, ale też przed wejściami i do urzędów, i do domów prywatnych. Zadziwiająco, że nikt tych kwiatów nie kradnie, by sprzedawać je zaraz obok jako sadzonki. Najwyraźniej dobrobyt im się na mózg rzucił i takiego sposobu zarabiania nie wymyślili.

Pod tym sklepem kwiatowo-ogrodniczym udało się nam znaleźć na planie znowu dwie ulice, w które z tego zaczarowanego koła można zjechać. Znowu jedną w prawo i drugą w lewo. Ta w prawo była jakby bliższa kierunkowi, w którym uparcie podążałyśmy. Ponownie wykonałam ćwiczenie z czołganiem do wybranego zakrętu, lekceważąc uczucia wszystkich jadących za mną. Dobrze im tak, jeśli tolerują ten zbiorowy kołowy obłąd.

Dalej poszło już gładko. Z nieznanых przyczyn ruch jednokierunkowy skończył się jak nożem uciął. Wszystko wróciło do normy i z satysfakcją podjechałam pod dom, którego numer widniał na wymiętej kartce w spoconej od emocji dłoni Lalki.

- Chyba pierwsze piętro - rozpoczęła Lalka, rozglądając się nerwowo. - Nazwisko ani polskie, ani niemieckie. Dziwne jakieś. O, jest - dodała, podchodząc do domofonu.

Jasne, tutaj wszyscy mają domofony. Jak my wytłumaczymy, do kogo idziemy? Może otwierać będzie ktoś, kto nie zna polskiego? W domofonie coś warknęło.

- My do pani Perekasz - powiedziała po polsku Lalka, starannie wymawiając nazwisko.

- *Bitte* - zabrzmiało w głośniku i drzwi stanęły otworem.

- Widzisz - ucieszyła się Lalka - zrozumiała nas.

- Od tego jeżdżenia w kółko skołowaciałam, ale trafiłyśmy dobrze. To ten adres - potwierdziłam.

W drzwiach na pierwszym piętrze stała buroszara osoba w spodniach; przy pewnym wysiłku można było w niej rozpoznać kobietę.

- Dobry den - zagadła do nas.

- Dzień dobry - odpowiedziałyśmy zgodnie, zaskoczone powitaniem.

- Szto wy pany cheta? - zabrzmiało pytająco. Spojrzałyśmy na siebie z rozpaczą. Polski to nie był.

- My od pana Klausa Noubaera - wolno, wyraźnie wymawiając słowa, powiedziała Lalka, patrząc na postać z determinacją.

- Ja, ja. Klaus Noubaer - ucieszyła się osoba.

- Do pani Kersten Perekasz - kontynuowała Lalka.

- *Ich bin* Kersten Perekasz - powiadomiła nas osoba, obnazając dziąsła w uśmiechu.

- Pani jest tłumaczką? - zapytała z niedowierzaniem Lalka.

- *Ja, da, ano. Ich bin* dolmeczter. Wszystka język. Slowiany.

- Co ona powiedziała? - jęknęła Lalka.

- Po mojemu, że tłumaczy ze słowiańskiego. Rozumiesz, tutejsi Niemcy uważają, że jest jakiś jeden język słowiański, i ona właśnie jest tłumaczką - zwerbalizowałam nagle olśnienie umysłowe, którego właśnie doznałam.

- Z jakiego słowiańskiego? My chcemy po polsku - jęczała Lalka.

- Bierzemy ją. Ja nie podejmuję się temu Niemcowi wyjaśniać różnic w językach słowiańskich - zdecydowałam.

- Ale on przecież chce tłumacza na polski - upierała się Lalka.

- Nieprawda. On chce ją. Niech tłumaczy na ten słowiański. Co za różnica? - przekonywałam.

- No, ale przecież ona po polsku nie mówi - dalej jęczała Lalka.

- Ja mówi polsku. Trochu - wtrąciła osoba.

- Wszystko jedno, niech tłumaczy, na jaki chce. Na polski przełoży ci rodzina. Umów się z nią na pojutrze, niech tłumaczy. Jak będę znowu musiała robić te kółka w poszukiwaniu polskiego tłumacza, to dostanę trwałej kołowaczyny i do Polski też wrócimy ruchem kołowym - popędzałam.

- Jak? - spytała Lalka.

- Co jak? - warknęłam.

- W jakim języku mam jej powiedzieć, że pojutrze ma tłumaczyć? - zapytała Lalka ja-dowicie.

- W jakim chcesz - odparłam niegrzecznie, bo problem do mnie dotarł.

Spojrzałam na kartkę, którą bezwiednie wymachiwała Lalka, i ponownie doznałam olśnienia. Wyrwałam jej arkusik firmowego papieru, na którym notariusz pod własnym adre-sem i nazwiskiem zapisał datę i godzinę odczytania testamentu, i podsunęłam osobie.

- *Ja danke* - ucieszyła się postać, łapiąc kartkę, po czym wydała z siebie szereg dźwię-ków, prawdopodobnie niemieckich. Ponieważ pokazywała palcem datę i godzinę, udało nam się zrozumieć, że będzie tłumaczyć w zapisanym terminie.

Z ulgą opuściłam przedpokój, ciągnąc za sobą opierającą się Lalkę.

- To nie będzie dobrze - zajęczała, gdy tylko zamknęła za sobą drzwi wejściowe.

- Dlaczego? - zapytałam bez zainteresowania, zajęta myślą o znalezieniu drogi powrot-nej bez konieczności zataczania kół.

- Ja jestem prawnik - powiedziała Lalka, łapiąc się za głowę.

- No i co z tego? - zawarczałam.

- Taki tłumacz, rozumiesz, ma tak tłumaczyć, żebym ja zrozumiała - wyjaśniała. - A ja jej nie rozumiem - dodała.

- Ogólnie biorąc, tłumacz jest potrzebny notariuszowi, żeby świeżo odnaleziona rodzina przy spadku cię nie wykiwała. Prawda? - spytałam. - Ale ty tego spadku przecież nie chciałaś. No więc jak cię rąbną na kilka tysięcy, to jest ci wszystko jedno. Prawda?

- No, w zasadzie masz rację - powiedziała Lalka, sadowiąc się w samochodzie. - A w ogóle to nie wierzę, że oni chcą mnie oszukać. A ty?

- Co ja? Też nie wierzę czy też nie rozumiem? - spytałam, usiłując wydobyć spod Lalki plan miasta.

- Oba - odparła, przysiadając mi mocniej prawą dłoń.

- Rusz się. Na planie siedzisz. Bez tego nie wrócimy do domu, to jest do hotelu - wy-szarpnęłam spod niej rękę z planem, dziwnym trafem w jednym kawałku.

- Pytam, rozumiesz czy też jej nie rozumiesz i czy wierzysz, to jest chciałam powie-dzieć, czy też nie wierzysz? - wypowiedziała się Lalka, sięgając po papierosy.

- Skomplikowanie pytasz. Ja tej tłumaczki też nie rozumiem, ale mam olśnienia umy-słowe. A rodzina robi na mnie dobre wrażenie i nie wydaje mi się, żeby chcieli cię oszukać - odparłam, studiując plan miasta.

Powrót do hotelu okazał się czystą przyjemnością. Tylko dwa razy musiałam skręcać. Można powiedzieć, że droga nas sama doprowadziła. Zadziwiająco, ale nie widziałam żadnych jednokierunkowych ulic.

Upiornie uprzejma rodzina Lalki dowiozła nas obie na odczytanie testamentu. Jako osoba niezainteresowana, a przynajmniej nie będąca spadkobiercą, byłam tam potrzebna jak dziura w moście, ale przyjęło się jakoś, że Lalka beze mnie nigdzie nie chodzi, więc w krew im weszło zabieranie nas razem. Z uciechą oczekiwałam, że zaczniemy zataczać kółka, ale od razu przy hotelu skręcili w drugą stronę i żadnych kółek nie robiliśmy.

Na imprezę udałam się z uczuciem przyjemnego oczekiwania, spodziewałam się bowiem po tłumacze wielkich rzeczy, a wysokość spadku i jego rozdysponowanie były mi obojętne. Dlatego spokojnie usiadłam w gabinecie notariusza z tyłu, tuż pod ścianą, jako jednosobowa publiczność. Wszyscy pozostali byli mniej lub bardziej zainteresowani. Ich to notariusz usadził na przygotowanych krzesłach, z wyraźną przyjemnością celebrując uroczystość. Z samego przodu siedziała Lalka i dwaj wnukowie Marysi. Za nimi Marysia z mężem, ich zięć, wdowiec, a ojciec jednego z wnuków, oraz ich córka, matka drugiego z wnuków, z drugim mężem.

Notariusz gdał wyjaśniająco i informacyjnie, żadnego niepokoju nie przejawiał, przypuszczałam więc, że tłumaczka też przyjdzie, a może nawet czeka gdzieś w głębi biura.

Gdy wszyscy zgromadzeni zajęli wyznaczone im miejsca, notariusz obrzucił obecnych zadowolonym spojrzeniem, zasiadł za biurkiem i zagdał do telefonu. W drzwiach sekretariatu pojawiła się postać tłumaczki. Notariusz wskazał jej miejsce za sobą, wyjął dokument i uroczyście zaczął czytać. Pierwsze zdanie składało się z wielu bardzo długich słów.

- To jest czytane ostatnia chcieć nieboszczyka - zabrzmiało w języku zbliżonym do polskiego.

Treść komunikatu zabrzmiała, na moment wywołując bezruch zebranych. Po chwili zbiorowego osłupienia zrobił się gwar, wszyscy bowiem zaczęli poprawiać dziwną treść komunikatu, przekładając „ostatnią chcieć” na „chęć”, „zamiar”, „chcieć” oraz „ostatnią wolę”. Tylko Lalka zachichotała. Mnie z kolei bardziej rozbawiły usiłowania rodziny i nietaktownie się do niej przyłączyłam.

Notariusz zbladł, a następnie poczerwieniał, jakby szykował się do ataku apopleksji w obliczu zebranych spadkobierców. Udało mu się jednak ów proces zatrzymać, po czym z oburzeniem zagdał do tłumaczki.

- Zgłaszać protesta? - zabrzmiało w wyraźnie pytającej intencji.

Chichocząca Lalka odpowiedziała: „Żadne protesta”, po czym rozpełtało się piekło. Uprzejma rodzina Lalki chciała po niemiecku wytłumaczyć notariuszowi, że język tłumaczki wydaje się im nieco dziwny i wątpliwości mają co do intencji spadkodawcy w polskim przekładzie. Chichocząca Lalka usiłowała powiedzieć po polsku, że żadnego protestu nie zgłasza, że w ogóle wszystko w porządku. Użyty rzeczownik wchodził jej nieustannie w paradę, wydawała więc okrzyki, odmieniając ów „protest” w różnych przypadkach, co zwiększało zamieszanie. Tłumaczka coś mówiła do notariusza, wzbudzając wątpliwości rodziny, czyjej znajomość niemieckiego jest na poziomie znajomości polskiego i wystarczy do wyjaśnienia powstałego nieporozumienia. Nagły gwar w gabinecie, w którym uroczyste miał być odczytany testament, zaniepokoił sekretarkę - wkroczyła więc, wyraźnie zamierzając bronić pracodawcę własną pierśią, i zobaczyła scenę, w której kilka osób, w tym jedna po polsku, mówiło, gestykulując do znękanego notariusza, usiłując wyjaśnić zaistniałe nieporozumienie. Przyłączyła się zatem do ogólnego rwetesu, zadając jakieś pytania.

Pandemonium zakończyło się po kilku minutach, kiedy każdy z obecnych powiedział notariuszowi, co o tym myśli, przy akompaniamencie nieustannego chichotu Lalki, która się jakoś nie mogła powstrzymać.

Przede mną zmaterializował się radiowóz z komendantem za kierownicą i Lalką w środku. Komendant dostojnie wysiadał, nabzdyczony znacznie bardziej niż poprzednio, Lalka żywo wyskoczyła z radiowozu i przesiadła się do mnie.

- Ale go obsobaczyli. Mówię ci - rozpoczęła, sięgając po leżące na desce rozdzielczej bułki z szynką. - Głodna jestem tak, że konia z kopytami mogę pożreć.

- Nie zapchaj się. Masz tu wodę. - Podałam jej butelkę.

- Zrugali go obrazowo. Głównie stosowali porównania z nierogacizną, ale nie tylko - dodała niewyraźnie, pospiesznie połykając.

- Za co mu się tak dostało? - spytałam.

- Zdeptali wszystko. Mówiłam ci przecież, że latali koło tego trupa. Śladów nie mogą znaleźć - wyjaśniała pospiesznie.

- Nie spiesz się tak, nie widzę nikogo, kto by tu leciał zabrać ci bułkę. Co z naszym przesłuchaniem?

- Jak zjem, jedziemy do Poznania. Mamy się zgłosić w Komendzie Wojewódzkiej. Będą na nas czekać.

- A tu co? Po co tu tyle czasu sterczałam?

- Tu już nic. Ci, co zostali w lasku, wezwali pomoc do różnych badań i ekspertyz. Parę godzin im to zajmie - wyjaśniła Lalka, popijając wodą spożyte pożywienie.

Pomijając fakt, że spisywanie naszych zeznań trwało trzy godziny, do Łodzi dotarliśmy bez przeszkód.

Nieprzespana noc i emocje podróży sprawiły, że poszłam do łóżka natychmiast po kąpieli.

W dwa dni później kilka minut po siódmej obudził mnie telefon Wiesi. Błagała, żeby jej pomóc odebrać samochód Marka z warsztatu i odstawić wieczorem do Ośrodka Badawczego Uniwersytetu. Ośrodek taki istniał w zasadzie już poza miastem, a na jego terenie mieściły się źródła Bzury. Nieustannie pętali się tam biologowie i ekolodzy, licząc ilość żab, skrzeku i klasyfikując komary czy też inne latające paskudztwa. Ze względu na wielkość przynależnego do Ośrodka budynku Uniwersytet urządzał tam również mniejsze konferencje naukowe i właśnie na takiej konferencji od świtu tkwił Marek. Jako organizator był całkowicie uziemiony aż do bliżej nieokreślonych godzin wieczornych, kiedy konferencję miano zakończyć bankietem. Wieśka miała mieć wolny dzień i dlatego mąż poprosił ją o odebranie samochodu. W parady weszły im jednak ambicje świeżo mianowanego szefa Wieśki, który uparł się poprawiać nagraną już audycję, co Wieśka musiała robić błyskawicznie jako nadprogramowy montaż, korzystając ze studia w przerwach między innymi nagraniami, gdyż audycja miała być nadana jeszcze tego samego dnia.

Ogłuszyła mnie tym kompletnie. Nigdy nie miałam w sobie nic ze skowronka i wstawanie o świcie wzbudzało żywiołowy protest całego mego organizmu. Do życia nadaję się dopiero po wypiciu pierwszej porannej kawy, co pozwala mi ustalić, jak się nazywam i gdzie jestem. Telefon Wiesi i skomplikowane wyjaśnienia przekraczały moją zdolność pojmowania czegokolwiek o tej porze. Zgodziłam się więc na wszystko, aby tylko przerwać jej monolog z wykrzyknikami i dobudzić się do końca. No, a potem już przepadło. Musiałam zrobić to, do czego się tak nieopatrznie zobowiązałam.

Całkowicie już rozbudzona, o przyzwoitej godzinie odebrałam samochód Marka z warsztatu dwa domy dalej. Udało mi się pozatawiać kilka rzeczy oraz zrobić zakupy i nawet na rękę mi było, że miałam odstawić samochód właśnie do Ośrodka. Na dziś bowiem zaprosiłam swojego wieloletniego angielskiego przyjaciela - Briana - na uroczystą kolację, którą chciałam go podjąć, skoro już przyjechał do Polski. Wyświadczył mi wiele przysług i nieustannie objawiał życzliwość w czasie mojego pobytu w Anglii, w ten sposób zatem chciałam

mu wyrazić choć w jakiejś mierze swoją wdzięczność. Wymyśliłam, że pożegnalną kolację zjemy w „Borku”, restauracji przy źródłach Bzury, do której dziwnym trafem Brian jakoś wcześniej nie trafił. Od Ośrodka było do restauracji nie więcej niż sto pięćdziesiąt metrów, taką zaś odległość swobodnie mogłam przejść pieszo, nawet ze śpiewem na ustach.

Dodatkową przyjemność sprawiał mi fakt, że nie musiałam do „Borku” jechać taksówką. Nie wykluczałam, że czegoś się napiję, więc powrót do domu własnym samochodem raczej wykluczałam. Miałam zamiar skorzystać z taksówki. Samochód Marka rozwiązywał część problemu.

Odpowiednio wcześniej odmeldowałam się pod zamkniętą bramą Ośrodka. Przewidywałam, że zostawię auto na parkingu i jeżeli nawet nie uda mi się dopaść Marka, zostawię mu kluczyki i dowód rejestracyjny w portierni, a sama powędruję pieszo do nieodległej przecież restauracji. Płot wzdłuż Ośrodka był obstawiony samochodami, a brama zamknięta. Natomiast parking przed budynkiem świecił pustką. Okazało się, że parkowanie na terenie może szkodzić zabom czy też komarom i te kilka metrów do budynku można przebyć jedynie piechotą. Nie mogłam zostawić samochodu w poprzek drogi, i to jeszcze przed bramą. Pojechałam więc do restauracji i elegancko zaparkowałam, starannie pilnując, żeby nikt nie mógł stanąć za mną i zablokować wyjazdu. Od drogi do parkingu prowadziła wąska wybrukowana alejka, a parking starczał zaledwie na kilka samochodów, przy czym usytuowany na zboczu, pochylony był w kierunku niżej położonej restauracji. Po lewej stronie zbudowano coś w rodzaju trzech pawiloników połączonych wąskim tarasikiem, na który wchodziło się z boku. W parkowaniu wybitnie przeszkadzał mi zielony mercedes, który wjechał tuż przede mną i też próbował się ustawić w sposób ułatwiający wyjazd. Z mercedesa wysiadły trzy osoby, a ściśle biorąc, blondynka o pięknych nogach i dwóch osobników w ciemnych garniturach, przypominających posturą przedwojennych, znanych mi z filmów, rzezimieszków. Ku mojemu zdumieniu skierowali się nie do restauracji, ale weszli na ów tarasik i zniknęli w środkowych drzwiach pawiloniku. Oglądałam to wszystko, przeczekując manewry zielonego mercedesa, który beznadziejnie miotał się po niewielkiej przestrzeni i wykręcał przodem do wyjazdu. Sama mu przeszkadzałam, ale twardo postanowiłam, że zaparkuję w upatrzonym miejscu i zdobytej przestrzeni nie miałam zamiaru nikomu odstępować. W końcu bałwan z mercedesa ustawił się dość prosto, a ja równolegle do niego. Kierowca nie opuścił mercedesa, uznałam zatem, że przywiózł swojego pracodawcę i nawet przelotnie zastanowiłam się, który z wchodzących osobników nim był. Wspominając swe wcześniejsze doświadczenia, zdziwiłam się, że pracodawca zaniechał nylonowego dresu i białych skarpetek, przywdziewając coś na kształt garnituru.

Na szczęście Briana jeszcze nie było, co stwierdziłam obleciawszy knajpę dwukrotnie. Od ostatniego mojego w niej pobytu zmieniono bowiem nieco wystrój wnętrza, a zwłaszcza oświetlenie, i teraz gęby siedzących przy stolikach można było obejrzeć tylko z bardzo bliska, najlepiej zaglądając im w oczy, co u niektórych wywoływało nerwowe reakcje.

Powędrowałam w eleganckich szpilkach i wieczorowej kreacji do Ośrodka, znalazłam Marka po przejściu za portierem kilku kilometrów wewnątrz budynku, oddałam mu kluczyki i kartę wozu, gromko wykrzykując, gdzie zostawiłam samochód, Marek był bowiem zajęty konwersacją z czterema osobnikami różnej płci i sądząc po używanych językach, różnych narodowości.

Odległość do „Borku” po tych przymusowych spacerach okazała się większa, niż sobie wyobrażałam. Niezbyt wygodne szpilki pokrył pył. W ogóle byłam nieco przykurzona, bo mijające mnie samochody nie zwalniały na widok przedzierającej się przez piaszczyste wądoły wieczorowo ubranej kobiety, uznając postać za fantasmagorię. Moje starania o to, by się wytwornie prezentować, diabli wzięli. Zarówno eleganckie odzienie, jak i makijaż pokrywała równa warstwa piaskowej szarości.

Zaraz potem, na parkingu, wpadłam na Lalkę z jakąś jej francuską ciotką czy kuzynką, co pogłębiło frustrację, bowiem baba wyglądała jak prosto z żurnala, ale znała jedynie francuski, co również było przygnębiające, gdyż miała dużo do powiedzenia. Stałyśmy więc na tym parkingu, francuska dama informowała mnie o najnowszych tendencjach w modzie, co związane było z krojem mojej toalety, a Lalka do tłumaczenia dodawała po kilka zdań, wyjaśniając, skąd się tu wzięły.

Z relacji wynikało, że dama owa ma posiadłość nad Atlantykiem, w swojej podróży po Europie Lalka zaplanowała tam krótki postój, a teraz gościła ją w Polsce, niejako awansem. Dama była wielomówna i spragniona konwersacji, a Lalka już nieco wyczerpana umysłowo.

Przerwałam zebranie towarzyskie na parkingu. Nade wszystko pragnęłam usiąść już na krześle, co ulżyłoby nie tylko nogom, ale i umysłowi. Zaraz przy wejściu dostrzegłam Briana, który stosowaną przeze mnie poprzednio metodą zaglądał w zęby siedzącym przy stolikach. Oświetlenie było niedostateczne nie tylko dla mnie. Zabrałam go od stolika, przy którym pan siedzący z atrakcyjną brunetką spęczniał w sobie na widok Briana, doprowadziłam do pierwszego wolnego stolika, przy czym siłą rzeczy znalazła się przy nim również Lalka i jej kuzynka. Przedstawienie, które daliśmy, przekroczyło wszelkie wyobrażenia, albowiem francuska dama zapalała gorącą sympatią do Briana i nie bacząc na trudności językowe, chciała mu od razu usiąść na kolanach, a co najmniej po obu jego stronach. Usadowiliśmy się w końcu z Lalką po jednej stronie prostokątnego stolika, pozostawiając drugą dla dwojga naszych gości.

Brian, co prawda, sprawiał wrażenie nieco ogłuszonego nagłą sympatią damy i objawami tejże, ale nie wyglądało, żeby sprawiało mu to przykrość. Powiedziałabym nawet, że był dość rozbawiony, co jak na Anglika oznaczało, że bawi się szampańsko.

Uciążliwa kuzynka miała mu wiele do powiedzenia, przy czym tryb konwersacji był nieco skomplikowany. Dama mówiła do Lalki po francusku, Lalka do mnie po polsku, ja do Briana po angielsku. O tym, żebym sama mogła choć przez chwilę porozmawiać z Brianem, mowy nie było. Francuska kuzynka postanowiła go sobą zająć bez reszty i stanowczo ów zamiar realizowała, domagając się nie tylko tłumaczenia tego, co ona ma do powiedzenia, ale również tego, co on myśli na różne podejmowane przez nią tematy. Kiedy doszliśmy do konwersacji o francuskich konfiturach i brabanckich koronkach, wyłączyłam umysł, postanawiając uratować tę resztkę, która mi jeszcze pozostała.

Upiorna kolacja dobiegła wreszcie końca, zamówiliśmy taksówkę do domu. Wsiadając, niemrawo zauważyłam, że samochód Marka zniknął z parkingu. Zielony mercedes stał nadal, a dwaj przebrani w garnitury osobnicy wnosili właśnie do niego blondynkę, która uprzednio z niego wysiadła. Poznałam ją po oszałamiających nogach. Obok nich pojawił się postawny mężczyzna po pięćdziesiątce, prezentując niemiecką elegancję w postaci marynarki w niedużą, ohydłą kratkę. Rzadko wybaczam mężczyźnie ubranie w kratę, chyba że chodzi o Szkota, niemieckie kratki były jednak wszystkie obrzydlistwa na głowę. Dlaczego Niemcy uznawali to za ubranie eleganckie, nigdy nie pojmę, choć wielokrotnie widziałam tam mężczyzn zamożnych i z pozycją, ubranych w kratki, od których w oczach ćmiło i zęby bolały. Po upojnym wieczorze do myślenia nie byłam zdolna. Do zastanawiania również.

Nazajutrz rano, znowu bladym świtem, zadzwoniła Wiesia, stanowczo żądając informacji, jak udało mi się przejechać całe miasto bez użycia hamulców. Pojąć pytania nie mogłam, a dodatkowo przeszkadzało mi wspomnienie poprzedniego wieczoru i nurtujące mnie przekonanie, że uroczysta kolacja na cześć Briana niezupełnie wyglądała tak jak powinna.

Okazało się, że Marek bez przeszkód zabrał samochód z parkingu po bankiecie, kiedy już było ciemno. Przejechał wertepy prowadzące do głównej drogi i stwierdził, że nie ma hamulców. Aby znaleźć się na asfalcie, musiał wjechać pod górę i właśnie wówczas stwierdził, że hamulce nie działają. Samochód stanął, gdy tylko zdjął nogę z gazu.

Wezwał więc pomoc drogową i odjechał do warsztatu na sztywnym drągu. Teraz oboje z Wiesią zaintrygowani byli nie tylko tym, dlaczego odebrałam z warsztatu samochód bez hamulców, ale również tym, jak udało mi się użytkować go przez cały dzień w tym stanie.

Zapewnień, że gdy odbierałam samochód i nim jeździłam, hamulce działały, oboje nie przyjęli do wiadomości, pozostając w przekonaniu, że opanowałam specjalną technikę jazdy. Nie miałam siły ani czasu na wyprowadzanie ich z błędu, życie bowiem wymagało ode mnie znacznie większej niż dotychczas aktywności i egzystencja stała się uciążliwa.

Zaraz potem zadzwoniła Lalka ze szpitala, domagając się, żebym pomogła jej przerejestrować przywieziony z Niemiec samochód. W szpitalu wylądowała po tym, jak wracając do domu, weszła pod spadające rusztowanie. Nic jej się nie stało, twierdziła, w pierwszej jednak chwili była przestraszona i czuła się nieco poobijana, co pozwoliło lekarzowi wydobyć od niej zgodę na pobyt w szpitalu. Uciążliwość to była, ale bardziej zdumiał mnie fakt, że służba zdrowia upierała się przy zatrzymaniu chorego w szpitalu. Do tej pory wydawało mi się, że szpitale na nadmiar miejsc nie cierpią i chętnych raczej wszystkimi siłami odganiają, a jak już ktoś się uprze i tam wyląduje, stwarzają nieznośne warunki egzystencji. Zapewne istotny był tu fakt, że Lalka była prokuratorem, a ostatnio głośno było o przypadkach niewłaściwego leczenia i tym, że karetki nie chcą przyjechać do rzeczywiście chorych ludzi. Sprawy te prowadziły prokuratury, możliwe więc, że tym razem lekarze chcieli się wykazać i zrobić dobre wrażenie. Zabawne było jednak to, że Lalka specjalizowała się w sprawach cywilnych. Występowała w sprawach, gdzie należało się troszczyć o jedną ze stron - załatwiała alimenty dla mało rozgarniętych matek, pozbawienie władzy rodzicielskiej wrednych rodziców czy przejęcie przez skarb państwa majątku pochodzącego z przestępstwa. Z prawdziwie karnymi sprawami i dochodzeniami nigdy nie miała nic wspólnego i specjalnie tego nie żałowała.

Przy okazji wyzebrałam, żeby zadzwoniła do Poznania i dowiedziała się, co słyhać w sprawie dziewczyny. Jak na morderstwo, sprawa wydawała się iść bardzo wolno. Bo że mamy do czynienia z morderstwem, żadna z nas nie wątpiła, trudno bowiem podejrzewać młodą dziewczynę o to, że dobrowolnie odbierze sobie życie w krzakach za wiaduktem, z dala od ludzkich siedzib. Żądaniu mojemu Lalka nawet się specjalnie nie opierała, najpewniej jej się nudziło.

Po dokumenty przywiezionego samochodu, z otrzymanymi od Lalki kluczami, udałam się prosto ze szpitala. Przy okazji obejrzałam rusztowania otaczające budynek, w którym mieszkała Lalka, z niejaką obawą wypatrując ruchomych elementów. Konstrukcja wydała mi się stabilna i mało ruchliwa. Zastanawiające, jak te podesty mogły spaść na Lalkę, zwłaszcza że wieczorem nikt przecież na rusztowaniach nie pracował.

Dokumenty znalazłam tam, gdzie je Lalka pozostawiła. W teczce na stole w dużym pokoju. Wykorzystując fakt, że akurat był wtorek i urzędy funkcjonowały do piątej po południu, od razu pojechałam do Wydziału Komunikacji.

Jedyny w mieście Wydział Komunikacji mieści się w oficynie pałacu Poznańskiego. Parking przed budynkiem przeznaczony jest dla urzędników, interesanci zaś mają do dyspozycji wyłożone płytami pole wzdłuż drogi wyjazdowej. Żeby przypadkiem nikt nie miał wątpliwości, kto tu jest dla kogo i kto ważniejszy. Stojący przy wjeździe osobnicy, którym bez oporu ujawniłam, że przyjechałam do Wydziału Komunikacji, zaoferowali mi miejsce w kolejce. Za jedne dwadzieścia złotych uzyskałam numerkę uprawniający mnie do konwersacji z odpowiednim urzędnikiem za dziesięć minut, a nie po upiornym odstaniu swego po numerkę i odczekaniu kilku godzin. Zrozumiałam, że troska władzy o nieprzemęczanie urzędników państwowych osiągnęła szczyty.

Pani w okienku przyjęła dokumenty bez protestów, wydała mi kwestionariusz do wypełnienia i zaskoczyła tym, że muszę doprowadzić do urzędu byłego męża Lalki. Ściśle biorąc, chyba nie całkiem byłego, gdyż nic mi nie wiadomo, żeby Lalka kiedykolwiek wystąpiła o rozwód. Po prostu nie mieszkała z nim i nie żyła od wielu już lat, ale wygodniej było im pozostawać formalnie małżeństwem. Że jej byłemu było wygodniej, to rozumiałam. Nie musiał się od razu żenić z każdą podrywką. Dlaczego było tak wygodniej Lalce, nie wiem i nigdy w to nie wnikałam. Uzyskana informacja mocno mnie jednak zakłopotwała. Może Lalka będzie wiedzieć, gdzie można go znaleźć. Urzędniczka Wydziału Komunikacji ujawniła mi, że potrzebny jest mąż Lalki, gdyż małżonków obowiązuje ustawowa wspólność małżeńska i w takim razie samochód powinien być zarejestrowany na oboje małżonków. Moje poparte dokumentami wyjaśnienie, że samochód stanowi spadek i do żadnej wspólności nie wchodzi, pani z okienka zlekceważyła.

- Mam wytyczne i w dowodzie rejestracyjnym muszą być oboje - stwierdziła stanowczo, znikając w głębi.

- A co, jeżeli samochód nie jest wspólny? Na przykład został kupiony za honorarium z pracy twórczej?

Na te pytania nie uzyskałam odpowiedzi. Beznadziejnie oczekiwałam na jej powrót, zastanawiając się, w jaki sposób przywlec do okienka byłego męża Lalki. Po kilku minutach urzędniczka powróciła z karteczką. Miałam się ponownie stawić z tym mężem nazajutrz o ściśle wyznaczonej godzinie. Na karku dyszał mi już interesant z kolejnym numerkiem i żywiołowymi objawami wstrętu do mnie. Pokonana wróciłam do szpitala.

Wiadomością o mężu uszczęśliwiłam Lalkę niebotycznie. Zdenerwowana przeglądała raz po raz notes w poszukiwaniu numeru telefonu do swojego byłego. W końcu znalazła ten numer na karteczce wielkości dwóch paznokci, z nieznanym mi przyczyn podlepionej do szminki. Bez szczególnych trudności przekonała go do tego, aby stawił się o wyznaczonej

godzinie w Wydziale Komunikacji. I wówczas w całej okazałości objawił się nam kolejny problem. Lalka, jak każdy chory leżący w szpitalu, posiadała szlafrok i nocną koszulę oraz kapcie. Jej obecność w Wydziale Komunikacji też była niezbędna, a wizytowanie urzędów państwowych w kapciach i szlafroku nie weszło jeszcze w zwyczaj i z pewnością wzbudziłoby sensację. Co prawda, na upartego, mogła ze szpitalnej szatni odebrać swoją wytworną toaletę, ale Lalka, przywalona podestem czy innymi dechami z rusztowania, nie pamiętała, czy owa elegancka odzież nie uległa bezpowrotnemu zniszczeniu, a co najmniej podarciu. Podarta i zszargana wizytowa suknia również nie wydała się nam odpowiednia na tę okazję.

Ofiarnie zobowiązałam się, że zabiorę z domu Lalki stosowną odzież jutro rano, zrobił się już bowiem wieczór i ruchomych o zmroku rusztowań oglądać nie chciałam.

Następny dzień znowu zaczęłam o świcie i niewyspanie zaczęło mi się rzucać na umysł. Kolejno wracałam do domu po zapomniane przedmioty, za każdym razem przysiadając przed wyjściem, zgodnie z utrwalonym we mnie przez babcię przekonaniem, że wracając po zapomnianą rzecz, należy usiąść i sprawiać wrażenie, że przedtem się z domu nie wychodziło. Inaczej zapominalskiego mogłoby spotkać nie wiadomo co, a najmarniej objawienie siedmiu plag egipskich.

Skołowana zapomnieniem i wielokrotnym przysiadaniem, podjechałam pod dom Lalki i weszłam do jej mieszkania po naciśnięciu klamki. Co prawda, od razu wydało mi się to nie w porządku, ale dopiero gdy zamknęłam za sobą drzwi, dokładnie je oglądając z niesprecyzowanego bliżej powodu, uświadomiłam sobie, że przecież powinny być zamknięte. Nikogo w domu nie było i sama je wczoraj zamykałam. No właśnie! Czy ja je w ogóle zamknęłam? Za żadne pieniądze nie mogłam sobie przypomnieć, czy zamknęłam wczoraj drzwi na klucz, wychodziłam bowiem zaabsorbowana myślą o Wydziale Komunikacji i długością kolejki, która mnie czeka.

Sploszona obleciałam cały trypokojowy apartament. Szkód żadnych nie zauważyłam. Telewizor i różne urządzenia stały na swoim miejscu, bałaganu szczególnego nie było. Wyjęłam z szafy zieloną sukienkę, która wyglądała na nową, dobrałam do niej stosowne pantofle i opuściłam lokal, starannie zamykając drzwi na wszystkie zamki.

Lalka na wstępie zgłosiła pretensję, że przywiozłam jej właśnie tę sukienkę.

- Nie wiedziałam co zabrać. Wybrałam tę, bo wygląda na całkiem nową. Myślałam, że chcesz dobrze wyglądać w obliczu swojego byłego - tłumaczyłam się.

- Toteż właśnie. Kupiłam ją i nigdy nie włożyłam, bo mi się przestała podobać. A teraz muszę ten gałgan włożyć, bo w szlafroku przecież nie pójdę - warczała Lalka zza drzwi łazienki, w której przemieniała się ze schorowanej lokatorki szpitala w atrakcyjną kobietę.

- Ja bym chciała, żebyś zobaczyła swoje mieszkanie. Jak dzisiaj przyszłam, drzwi były otwarte. Znaczą niezamknięte na klucz i nie wiem, czy coś nie zginęło - mówiłam.

- Brakuje czegoś? Byłaś przecież w środku? - zawołała Lalka, przekrzykując odgłosy splukiwanej wody, dochodzące z sąsiadującego z łazienką pomieszczenia.

- Na oko wszystko w porządku. Może miałaś coś schowane, i to coś zginęło?

- Wykluczone. Wszystko, co miałam, zawiozłam do ciotki zaraz po powrocie. Przecież wiesz, że wyjeżdżam. Poza meblami nic tam nie było - dochodziło do mnie przy akompaniamencie ściekającej wody.

- Meble są i żadnego braku nie dostrzegłam. Po prostu głupie szczęście. Najwidoczniej nie zamknęłam tych drzwi wczoraj, ale nikt za klamkę nie łapał i nie było wiadomo, że otwarte - ucieszyłam się.

- Jedziemy! - W korytarzu pojawiła się Lalka, doskonale prezentując się w zieleni podkreślającej kolor jej oczu.

- Świetnie wyglądasz. Twój były powinien się wściec - zauważyłam.

- Prędeż ja się wścieknę. W ogóle wątroba mnie boli, że mam go znowu oglądać - odparła.

Nie rozumiałam dlaczego. Jej były mąż olśniewał hiszpańską urodą i miał prawo się podobać, tyle że nie mnie. Wysoki, barczysty, ozdobiony czarną falującą czupryną i ciemnymi, błyszczącymi oczami, przedstawiał typ uwodzicielskiego bruneta i tłumy za nim mogły szaleć. Ja osobiście wolałam blondynów i nic na to nie mogłam poradzić. Delikatnie, żeby nie rozdrażniać Lalki, wyraziłam wątpliwości.

- Właśnie. Wszystkie baby na niego lecą. Jak jesteśmy razem, to w ogóle mnie nie widzą. Szyba jestem, ściana. W najlepszym wypadku jakiś mebel. Rozumiesz, robi mi się w środku tak jakoś, że mogłabym pozagryzać, rozszarpać i rozdeptać - wyjaśniła.

- A on co? - zapytałam ostrożnie.

- A on, rozumiesz, nie umie odmawiać. Najgorsza raszpla go do łóżka zaciągnie, bo on by nie śmiał kobiecie despektu zrobić. Jak sobie przypomnę te jego podrywki, to jeszcze mnie trzęsie.

- I co? On tak ze zwykłej uprzejmości idzie z każdą do łóżka? Jak leci? - zainteresowałam się głębiej zjawiskiem.

- Żebyś wiedziała. Wyłącznie z uprzejmości. I powiem ci, że chyba mu nawet wierzę, gdyż niektóre jego podrywki były takiej urody, że płakać się chce. O intelekcie nie mówię, bo na co komu w pościeli intelekt.

- A dlaczego się nie rozwiodłaś? Też z uprzejmości, żeby biedactwu przykrości nie robić? - zaciekawiałam się jeszcze bardziej.

- Prawie zgadłaś. Wiesz, ja mu nawet wierzę, że on tak z uprzejmości. Na początku miałam nadzieję, że mu to z wiekiem przejdzie albo sił na baby zacznie brakować. A teraz to ze zwyczajnej litości. Masz pojęcie, ile razy musiałby się żenić i rozwodzić? Tak to przynajmniej śluby ma z głowy. I nie mogę powiedzieć, mnie też czasem świadczy uprzejmości.

- No wiesz?!

- A nie, nie takie. Tylko umiem go wykorzystać. Jak już nikogo nie mogę poprosić o przysługę, dzwonię do Ryśka i on to załatwia. Rozumiesz, nie umie odmówić. Dzisiaj też zrobi mi uprzejmość.

- No przecież będzie w tym Wydziale Komunikacji.

- To tak, ale wymyśliłam, że mi nowe tablice przykręci. Pamiętasz, jak się na granicy umęczyliśmy. A chłop sobie poradzi.

Do Wydziału Komunikacji podjechałyśmy pięć minut przed wyznaczoną godziną. Ryśk czekał na nas na podeście pierwszego piętra, w całości zajmowanym przez ów wydział. Z daleka dostrzegłam, że w dość bliskiej od niego odległości krążyły co najmniej trzy baby. Jego uprzejmy ukłon wywołał u nich błysk zazdrości. Rzeczywiście harpie.

Swoją drogą nie rozumiem, dlaczego uprzejmość mężczyzny powoduje u kobiet taką agresywną zaborczość. Ogólnie biorąc, uważam, że schamieniu społeczeństwa winne są kobiety. Byłe dobrze wychowany chłop podał płaszcz, otworzył drzwi czy choćby ustąpił miejsca, a baby już uważają to za nie wiadomo jakie awanse. Jak się mężczyzna nie chce na stałe podrywy narażać, musi schamieć, inaczej żyć mu nie dadzą. A potem są lamenty, że chamstwo się panoszy.

Aczkolwiek niektóre kobiety, zaawansowane w dążeniach do emancypacji, takie grzeczności uważają za uwłaczające. One same tonę węgla przeniosą, samochód naprawią, koło wymienią i wszelką zaoferowaną pomoc za obrazę uznają. W ogóle za skrzyżowanie Baszanowskiego z Gołotą chcą uchodzić, a przynależność do płci nazywanej niegdyś piękną za osobisty despekt poczytują, nie mówiąc o tym, czym jest dla nich ugotowanie obiadu.

Nie rozumiem tego. Moja matka była piękną kobietą i przynależności do tej płci nie uważała za kalectwo osobiste. Obiady, owszem, gotowała, ale ojcu konkurencji w noszeniu węgla na trzecie piętro do mieszkania dziadków nie robiła i nigdy taki pomysł jej w głowie

nie powstał. Teraz dziewczyny i kobiety chcą czołgi prowadzić, z mężczyznami na macie, i nie tylko, walczyć, a do chłopów pretensje mają, że zamiast dzieci bawić, naczynia zmywać i obiady gotować swoją pracę wykonują i kobiet nie szanują. Kogo taki facet ma szanować? Tę babę, której przed chwilą jak kumplowi manto na macie spuścił? Podziwiać siniaki, które jej własnoręcznie sprawił w ramach równouprawnienia?

Obie z Lalką nie miałyśmy przerostu ambicji na tle równouprawnienia i z wdzięcznością przyjęłyśmy starania Ryśka, który torował nam w tłumie drogę do właściwego okienka.

Tam zaś zobaczyłam na własne oczy to, o czym mówiła mi Lalka. Baba w okienku ogłuchła i oniemiała. Wpatrzona w Ryśka, bez mała piła mu z ust. Każda wypowiedź była dla niej znacząca i odkrywczą. Zamiast Lalki mógł obok niego stać słoń albo hipopotam w różowym kaftaniku. Też by mu wydała dowód rejestracyjny na nazwisko Lalki. Bez oporu przyjęła również informację, że Rysiek nie chce mieć nic wspólnego ze spadkowym samochodem.

Zrozumiałam szarpiące Lalką uczucia, kiedy przebywała w towarzystwie mniej czy bardziej aktualnego współmałżonka. Też by mnie trafiał potężny szlag, a nie wykluczam, że na tym tle przejawiałabym większą niż ona aktywność.

Odwiozłam Lalkę do szpitala, Ryśka do jej samochodu wraz z tablicami. On sam zobowiązał się, że próbne tablice po odkręceniu dostarczy do Wydziału Komunikacji. Byłam wolna. Najwyższy czas. Na popołudnie bowiem umówiłam się ze swoją wieloletnią przyjaciółką, obiecałam, że obejrzę kupiony przez nią segment i doradzę przy wyborze i nabyciu odpowiednich do niego mebli.

Okolica zwana Radiostacją istnieje od przedwojny. Naprzeciwko wybudowanej w latach trzydziestych rozgłośni Polskiego Radia, obecnie Radia Łódź, przed wojną postawiono kilkanaście domów zwanych willami. W czasach późnego Gomułki zezwolono na postawienie tam kilkudziesięciu domów jednorodzinnych, za Gierka rozdzielono następnych kilkadziesiąt zezwoleń, i tak oto pomiędzy ulicą Narutowicza a parkiem 3 Maja, powyżej ulicy Kopcińskiego, powstał kwartał zabudowy willowej. W czasach późnego Gierka urzędnicy odkryli, że przedwojenne wille mają wokół siebie za dużo terenu, okroili więc co się dało, nie oszczędzając też domów wzniesionych za Gomułki. Powstałe w ten sposób pasy gruntu o różnorodnej i skomplikowanej konfiguracji i jeszcze bardziej skomplikowanym dojeździe zabudowano segmentami. Dla mnie było to coś w rodzaju bloków, tyle że w poziomie.

Przestrzegając otrzymanych instrukcji, wjechałam w Tkacką, skręciłam w prawo, potem zaś dokładnie za czwartym domem - w dróżkę szerokości samochodu, z obu stron ograniczoną siatką. Zastanowiłam się przelotnie, przejeżdżając tym przesmykiem, jak Halina ma zamiar pokonywać go śnieżną zimą. Chyba odśnieżać go będą do imentu i wyrzucać śnieg na Tkac-

ką, czym zablokują część mieszkańców, wywołując bunt okolicy. Innej możliwości na usunięcie śniegu z tych wąskich osiedlowych drózek nie widziałam.

Po przejechaniu pięćdziesięciu metrów zatrzymałam się na placyku. Z prawej strony pysznił się nowością szereg siedmiu segmentów, z lewej wznosiła się obszerna przedwojenna willa, lśniąca bielą, najwyraźniej również niedawno odnowiona. Przed wjazdem do willi zobaczyłam zielonego mercedesa. Najwidoczniej właściciel braków materialnych nie odczuwał. Z boku stała szaro-biała furgonetka, sprawiająca wrażenie, że też przynależy do willi.

Zgodnie z instrukcją zatrzymałam się na podjeździe środkowego segmentu.

Praktycznie cały parter zajmowały drzwi garażowe. Zastanawiałam się, czy koniecznie do mieszkania należy wchodzić przez garaż, gdy obok dostrzegłam niewielkie drzwiczki, coś jakby wejście do składziku przy garażu. Wydało mi się, że widnieje na nich jakaś wizytówka. Wątpliwości rozwiała Halinka, która w tych drzwiczkach się pojawiła. To jednak było wejście do nabytego segmentu.

Apartamenty zwiedziłyśmy starannie i wnikliwie. Od frontu, poza garażem, znajdował się wąski korytarzyk prowadzący do schodów, za nimi zaś obszerne pomieszczenie z wyjściem do ogródka wielkości chustki do nosa, które Halina przeznaczyła na gabinet do pracy. Ten był w całości urządzony. Książki i biurko miała od zawsze, niezbędne regały być może dokupiła. W każdym razie miejsce do pracy miała. Potem już trzeba było wspinać się po schodach. Na pierwszym piętrze poza nieprzesadnie obszerną i zabudowaną meblami kuchnią oraz niewielką łazienką znajdował się otwarty na schody salon, czy jak się dziś mówi living room, dalej znowu należało się wspinać. Na górze były dwie klitki i jeden pokoik umeblowany już jako sypialnia oraz druga, nieco większa, łazienka. Nie chciałam przyjaciółce sprawić przykrości, ale lokum niezbyt mnie zachwyciło. Pomijając oczywistą usterkę estetyczną, czyli dominujące u potencjalnego gościa wrażenie, że do apartamentów należy wjechać samochodem, konieczność nieustannego chodzenia po schodach wywoływała dyskomfort psychiczny.

Umeblowania wymagał salon, na razie zupełnie pusty. Jego okna wychodziły na placyk. Czekając na przyrządzaną przez Halinę kawę, bezmyślnie gapiłam się przez te okna na stojącą na wprost okazałą willę. Przed wojną nikt nie upierał się, by upychać wielodzietną rodzinę w pionie na kwadracie pięć na sześć metrów. A jak już mieli schody, to chodziła po nich służba i donosiła państwu kawę, herbatę i inne ruchomości tam, gdzie trzeba. Segment to wymysł socjalizmu.

- Niskie meble. Ta ściana z oknami na wprost schodów aż krzyczy o niskie meble. Jakieś kanapy, fotele - powiedziałam w zamyśleniu.

- Otóż to. Chcę z tobą pojechać i kupić kanapę, może kilka foteli - odparła Halina, wychylając się z kuchni. - Jak myślisz? Na tej ścianie od kuchni chciałabym zrobić kącik jadalny. Nienawidzę jadać na jamnikach - dodała.

Ja też żywiołowo nienawidziłam stolików wstawianych między fotele, wysokości leżącego psa, powszechnie określanych jako jamniki. Wypicie zwykłej kawy wymagało uprawiania ćwiczeń gimnastycznych zwanych podczas szkolnych lekcji WF-u skłonami tułowia. Figura była o tyle trudniejsza, że należało siedzieć w kucki na fotelu stanowiącym pendant do owego jamnika. Spożywanie przy tym meblu jakiegokolwiek posiłku stanowiło odmianę chińskich tortur.

Halinka zawołała mnie, gdy w willi naprzeciwko zaczęło się coś ruszać i pojawił się kierowca mercedesa. Że kierowca, a nie właściciel, poznałam po odzieży i po tym, że poza uruchomieniem samochodu nie zrobił nic. Spokojnie czekał w fotelu kierowcy. Nie ma takiego faceta, który, zasiadłszy za kierownicą własnego samochodu, wszystko jedno mercedesa czy małego fiata, nie poganiałby oczekiwanych pasażerów albo co najmniej nie wiercił się, wysadzając łeb za okno. Ten siedział jak głaz. Z całą pewnością pracownik najemny.

Spokojnie wypiliśmy kawę, rozważając, jakie meble są potrzebne. Byłam za tym, żeby styl poszczególnych części pokoju podkreślić zróżnicowaniem kolorystycznym. Halinka, wręcz przeciwnie, chciała całe wnętrze utrzymać w jednym tonie. Pokłóciłyśmy się przy tym okropnie o to, że krótka ściana, przy której było wejście do kuchni, nie pomieści dużego stołu i co najmniej sześciu krzeseł, a zwłaszcza z zajmującymi je osobami, oraz telewizora w samym rogu. Nawet zrobiłyśmy próbę, zaznaczając blat stołu różnymi narzędziami kuchennymi i symulując stojące wokół i zajęte przez hipotetycznych gości krzesła. Wyszło na to, że jeden z gości albo będzie siedział na telewizorze, albo w korytarzyku pomiędzy kuchnią i łazienką, przy czym schody w dół będą niedostępne z powodu stołu, a schody w górę z powodu ewentualnych gości.

- Cholera. W tym miejscu musi stać telewizor, bo tu mam gniazdo antenowe, czy jak to się nazywa - powiedziała Halina, w skupieniu patrząc w kąt, w którym zaplanowała umieszczenie mebla.

- Czekał, jest coś takiego jak przedłużacz, tylko do anteny. Nie wiem, kto ci to może zamontować, ale chyba w sklepach z częściami będą wiedzieć. Wtedy możesz przenieść telewizor do tego drugiego kąta, między kanapy i fotele. Nawet lepiej. Telewizję wygodniej oglądać z fotela. Jakbyś się upierała, to nawet ten obrzydliwy jamnik możesz tam wstawić - błysnęłam inteligencją.

- Jamnika nie. Ale jakiś niski stolik będzie potrzebny. Muszę go przymierzyć do foteli - odpowiedziała z roztargnieniem, dla odmiany w skupieniu wpatrując się w przeciwległy kąt.

Pozbierałyśmy z podłogi narzędzia kuchenne, odrabiając przydział gimnastyki na tydzień. Halinka wrzuciła je hurtem do zlewozmywaka, postanawiając umyć po powrocie, i udałyśmy się moim samochodem do wybranych przez nią magazynów.

Mercedesa na placyku nie było. Za nami ruszyła szaro-biała furgonetka. Nie widziałam kierowcy, a jedynie jakąś zmazę za przednią szybą, nie tylko dlatego, że jechał za mną w pewnej odległości, ale przede wszystkim dlatego, że skrywała go ciemna szyba.

Halinka uparła się zwiedzać składy meblowe w określonej kolejności, pojechałyśmy więc najpierw na Brukową. Całą ulicę zapępniały magazyny, które po zmianach ustrojowych stały się dostępne dla normalnych ludzi. Murowane ogrodzenia wokół magazynów obwieszane były wszelkiego rodzaju informacjami i reklamami. My nie musiałyśmy niczego szukać. Zaraz na początku znajdowały się składy meblowe, od zarania służące temu celowi, należące niegdyś do potężnego Domaru. Zwiedziłyśmy je bez pośpiechu. Na widok sypialni z łóżkiem wielkości kortu tenisowego i monstrualną szafą Halinka westchnęła i powiedziała pozornie bez związku:

- Wiesz, jedną z tych klitek na górze przerobię na garderobę. W ogóle przerobiłabym trochę ten segment, gdyby nie to, że ściany są z żelazobetonu. Rozumiesz, zużywali odpady z budowy bloków. Jak sobie wyobrażam przebudowę i wyburzanie tych ścian, to wszystko mi się w środku przewraca i wolę już mieć to, co jest.

Rozumiałam ją świetnie. Marzeniem każdej kobiety jest posiadanie szafy, w której niczego nie trzeba upychać na siłę, a stroje można wieszać w luksusie wystarczającej ilości miejsca. Obie przy tym cierpiałyśmy na schorzenie woli uniemożliwiające pozbycie się jakiegokolwiek łacha, chyba że był dziurawy, nieodwracalnie zaplamiony czy z innych przyczyn nienadający się do włożenia. Obowiązujące kanony mody oraz moda na wszystko, co już było, wybitnie utwierdzały nas w tym postępowaniu. Niemodny od dziesięciu lat łasek mógł się stać hitem mody nazajutrz. Stanowczo nie należało niczego wyrzucać.

Kolejny magazyn, który Halina uparła się zwiedzać, mieścił się przy głównej łódzkiej ulicy w pofabrycznych zabudowaniach. Z dojazdem na Piotrkowską nie było kłopotu, jednakże miejsca na zaparkowanie samochodu nie widziałam. Z determinacją wjechałam na teren dawnej fabryki, w środku było dość przestrzeni na pozostawienie nawet kilkunastu pojazdów. Co prawda, zaraz za bramą usytuowano przystanek tramwajowy, ale postanowiłam się na razie nie przejmować, jak stamtąd wyjadę.

Znowu oblazłyśmy hektary hal fabrycznych zastawionych różnej maści meblami, w zestawach i indywidualnie. Halinka nie znalazła nic dla siebie. Ja też nic interesującego nie dostrzegłam. Pozostał nam jeszcze jeden magazyn za placem Niepodległości i setki małych sklepików, z których można wydłubywać meble po sztuce.

- Rozbestwiłaś się w kapitalizmie. Grymasy robisz - powiedziałam, usiłując przy wyjeździe z byłej fabryki nie rozjechać pchającej mi się pod koła matki z dzieckiem w wózku.

- No pewnie. Lepiej było, jak żadnych mebli nie mogłaś kupić - zgryźliwie odparła Halina.

- Popatrz, jakie ciekawe zjawisko. Kiedyś mebli nie było, bo fabryki nie nadążały z produkcją. Teraz mebli od cholery, kupić nie ma co, a fabryki bankrutują - popisałam się bystrością spostrzeżeń.

- Świństwo robią. Widziałas przecież, że wszystko z płyt wiórowych i tylko papierem oklejone. Co prawda, starannie. Widzi mi się jednak, że to takie meble jednorazowego użytku - z niesmakiem zauważyła Halina.

- To nie nasze. Importowane. Nasze są porządnie pokryte drewnianą sklejką czy jak to się nazywa. Tylko mało ich było i po kątach schowane.

- Marzy mi się... marzy mi się taki stół, jaki miała moja babcia. Z prawdziwego drewna. I rozkładany. Na dobrą sprawę można było przy nim usadzić dwadzieścia cztery osoby - rozmarzyła się Halina.

- Majątek zapłacisz i nie wiem, czy coś takiego jest w ogóle osiągalne. Może spróbuj w komisach meblowych. Ktoś się przeprowadza i sprzedaje - studziłam jej zapały.

- Wolałabym nowy. Bo do takiego z komiszu trzeba stolarza lub renowatora. Też dużo kosztuje. Ale ostatecznie mogę poczekać. Nie planuję w najbliższym czasie żadnego spędu - pocieszała się moja przyjaciółka.

Ostatni magazyn opuszczaliśmy o zmierzchu. Jasno jeszcze było, ale słońce wyraźnie udawało się na spoczynek, a ja czułam się wyczerpana zarówno fizycznie, jak i umysłowo. Zaparkowałam po przeciwnej stronie, zlikwidowano tam bowiem duży dom handlowy i przeznaczone dla kupujących parkingi stały puste. Przechodziłyśmy, a raczej chciałyśmy przejść, w miejscu nie do końca do tego przeznaczonym. Na wprost stał na przystanku tramwaj, nic w tamtą stronę nie jechało. Spojrzałam w lewo i w przekonaniu, że jezdnia jest pusta, pociągnęłam Halinę za sobą, a raczej chciałam ją pociągnąć. Szpilka utkwiała mi w szparze między płytkami nierównego chodnika i trzymała na mur. Wykonałam coś w rodzaju zamachu do przodu i cofnięta przez tkwiącą między płytami szpilkę, wychyliłam się do tyłu, zmuszając Halinę do wykonywania tych samych ćwiczeń, trzymałam ją bowiem pod rękę. Wówczas to

przed moimi oczami, z rykiem silnika, zmaterializowała się szaro-biała zmasa, ryknęła głośniej i umknęła w prawo.

- Matko Boska! Skąd on się wziął, ten samochód! - wykrzyknęła Halina, podnosząc się z chodnika. - Sama patrzyłam i nic nie jechało - dodała, oglądając sponiewieraną przy upadku odzież.

- Też patrzyłam i też nie widziałam - stwierdziłam ponuro, usiłując dojrzeć samochód, który zniknął w głębi ulicy. - Miałam wrażenie, że to furgonetka.

- Wariat jakiś! Słyszałaś przecież, że dodał gazu, jak koło nas przejeżdżał. Gdyby nie ta twoja szpilka, to by nas rozjechał - oznajmiła z niesmakiem.

- Odwiozę cię do domu. Dość już mam tego chodzenia. Nie powiem, gdzie mi już nogi wchodzą, bo nie chcę się wyrażać. Nogi mi na głowę rzutują.

Odwiozłam Halinę do domu, wysadzając ją na Tkackiej. Uznałam, że pięćdziesiąt metrów może przejść sama.

Jutrzejszy dzień miał być nudny i spokojny, poświęcony uładowaniu mieszkania. Przychodziła pani Honorata, moja sprzątaczką.

Marcin zjawił się po jedenastej, gdy już miałam zamiar położyć się spać. Pierwszy dzwonek domofonu zabrzmiał krótko, jakby przez przypadek. Później były dwa krótkie sygnały, bardziej zdecydowane. Gdy spytałam, kogo przyniosło, w słuchawce usłyszałam świst, z którego wydobywały się samogłoski. Beztróska nacisnęłam przycisk domofonu, zakładając, że świszczące dźwięki i tak nie pomogą mi ustalić, czy nocny gość akurat do mnie przyszedł z wizytą. W kilka chwil później zabrzmiał dzwonek u drzwi. Znowu krótko i mało zdecydowanie. Otworzyłam. Przede mną stał Marcin, skulony i przytulony do futryny.

- Ciicho! - wyszeptał, wyglądając z trwogą na schody.

Wpuściłam go do środka, zachowując upragnioną przez niego ciszę. Stąpając na palcach, poszedł za mną do najbardziej odległego od klatki schodowej pomieszczenia, do kuchni. Tam uznałam, że nikt nas nie podsłucha, choć zupełnie nie wiedziałam, z jakiego powodu ktokolwiek miałby to robić.

- Gonił cię ktoś? Uciekasz? - postanowiłam zaspokoić ciekawość.

Marcin dramatycznie rzucił się na krzesło, w milczeniu wpatrując się we mnie z przerażeniem.

- Co się dzieje? Co ci jest? Dać ci coś? Może herbaty? - kontynuowałam indagację.

- Musisz mi pomóc - wyszeptał tragicznym tonem, po czym zamilkł na dłuższą chwilę. - Musisz mi pomóc. Cała nadzieja w tobie. Zawsze masz jakieś pomysły - zaszeptał ponownie, rozglądając się wokół. - Sama jesteś?

- Sama. Herbatę mogę zrobić? To nie hałasuje - zaszeptałam za jego przykładem.

- Możesz - tchnęło od strony Marcina.

Podaliśmy herbatę. Marcin zapalił papierosa, pomilczał jeszcze przez chwilę i normalnym już głosem zapytał:

- Czy ty wiesz, kogo do domu wpuściłaś? Otóż wpuściłaś przestępcę, aferzystę, prawie handlarza narkotykami - odpowiedział sam sobie.

Marcina znałam od czasu wspólnego uczęszczania do szkoły podstawowej. We wczesnej młodości zadatków na przestępcę w nim nie dostrzegałam. Potem nasze drogi się rozeszły, ale spotkaliśmy się na studiach, z tym że on był na historii. Zaraz po studiach znowu straciliśmy się z oczu, ale przez różnych znajomych dowiedziałam się, że jako historyk nie znalazł pracy i zatrudnił się w dziale zaopatrzenia „Bistony”, jednego z większych producentów tkanin. Był to już schyłek lat osiemdziesiątych i „Bistona”, tak jak większość naszych fabryk, robiła bokami, ale zaopatrzeniowców potrzebowała, szczególnie przy braku w kraju wszystkiego. Wkrótce po przekształceniach ustrojowych spotkałam Marcina, wówczas w charakterze bezrobotnego, jego fabryka była bowiem jedną z pierwszych, które w Łodzi zlikwidowano. Wraz z nim, jak obrazowo opowiadał, bez pracy wylądowało kilka tysięcy pracowników „Bistony”. Włoski nabywca fabryki obiecywał ich zatrudnić, ale jedynie zdemontował i wywiózł na Ukrainę maszyny, gdyż tam była tańsza siła robocza, jak tłumaczył. Budynki pofabryczne zostały rzucone na pastwę losu. Władza nie była w stanie wyegzekwować od nabywcy zobowiązania, że fabryka będzie nadal działać, a pracownicy dalej pracować. Może nikomu też na tym nie zależało.

Przed Marcinem, gdy skończył się okres zasiłku dla bezrobotnych, stanęło widmo śmierci głodowej, żadnych bowiem bliskich, gotowych świadczyć na jego rzecz, nie miał. Wówczas zaczął produkować ikony. Początkowo odwzorowywał te, których reprodukcje miał w domu, z czasem doszedł do wprawy. Nie były to żadne fałszerstwa, wszystkie dzieła opatrywał własnym nazwiskiem na odwrocie desek. Ikonki wywoził do Niemiec i Francji zaprzyjaźniony z nim producent różnego rodzaju okropieństw ze skóry, takich jak obrazy, szklanki i karafki osadzone w skórze, które Niemcy z zapalem nabywali, udowadniając całej Europie monstrualne bezguście. Ku zdumieniu polskich eksporterów, nacinanych stale i wielokrotnie przez niemieckich odbiorców, Marcin za swoje dzieła otrzymywał regularnie zapłatę, co

uchroniło go od śmierci głodowej, i nie tylko. Żadnej działalności przestępczej w tym nie dostrzegałam.

Nieustannie poszukując pracy, Marcin pozaliczał wszystkie proponowane przez wydział zatrudnienia kursy i w końcu zaoferowano mu funkcję kierownika administracyjnego w Kolegium Nauczycielskim w Zgierzu, osiemsetletnim mieście zdegradowanym obecnie do roli przedmieścia Łodzi. Znalazł tę posadę tuż przed moim wyjazdem za granicę i o ile wiem, nadal tam pracował.

- Dlaczego prawie? - spytałam z zainteresowaniem.

- Bo przez nieświadomość brałem udział w przemyśle. Teraz już mnie mają. Przysługę, cholera, człowiekowi zrobiłem! W mordę szarpany!

- No to nie wiem, czy powinieneś go obdarzać dalej mianem człowieka - zwątpiłam.

- Rzeczywiście. Świnia to mało. Przy nim to niewinny zwierzątek z zakręconym ogonkiem. Śmierdziel ohydny, padalec podły, bydlę niemyte!

- Może być jeszcze koczokodan upiorny - dodałam.

- Dlaczego upiorny? - zainteresował się Marcin. - Koczokodan to mała?

- Tak. Nie wiem dlaczego, dobrze mi brzmi. Mątwą jadowitą też mi dobrze brzmi. Albo bździałgwa. Chociaż to lepiej do baby pasuje.

- Takie zwierzątko chyba jest w naturze. W ogóle słyszałem, że wszystkie mątwy są jadowite, tylko w różnym stopniu. Ale bździałgwa?

- Zejdź z tej nierogacizny. I zacznij od początku. Od kiedy jesteś przestępcą i aferzystą?

- Od pieca. To jest, chciałem powiedzieć, że wszystko zaczęło się od pieca.

- Jakiego pieca? Mógłbyś mówić z większym sensem?

- Choćbyś i ryła w kamieniu, to sensu w tym nie znajdziesz za grosz. To ustawowy brak sensu.

- Dlaczego ustawowy? Ustawa zastrzega, że ma nie być sensu? Jaka ustawa?

- Właśnie. Wiesz, jak nasz sejm pracuje. Prawnik jesteś. Ciągłe uchwalają ustawy bez sensu. A ta to produkt szczególny. Całkowity brak sensu.

- Jaka to?

- O zamówieniach publicznych. Specjalnie ją tak uchwalili, żeby nic nie można było zrobić szybko, a już, broń Boże, niczego naprawić. Zanim przebrniesz przez konieczne procedury, wszystko zdąży się rozpaść i nic już nie musisz remontować. Ewentualnie możesz budować od początku, ale też nie wcześniej niż po dwóch latach.

- Nie rozumiem, co mówisz - oświadczyłam z niezadowoleniem. - Powiedz to jakoś jaśniej.

- W zeszłym roku w maju zepsuł się piec. Ty wiesz, że pracuję w Kolegium? No więc w Kolegium zepsuł się piec do centralnego ogrzewania. Akurat skończył się sezon grzewczy i do października, kiedy znowu trzeba grzać, miałem trochę czasu. Kobyła to jest wyjątkowa, składa się z trzydziestu czterech części.

- Ten piec, jak rozumiem? - dopytywałam.

- Właśnie. No więc od razu wystąpiłem do Urzędu Marszałkowskiego, bo Kolegium mu podlega, żeby przyznali fundusze na ten piec. Znaczący na remont. Fachowiec, co go zwykle naprawiał, stwierdził, że trzeba wymienić siedemnaście tych części. To się nazywa człony - ciągnął opowieść Marcin, zapalając kolejnego papierosa.

- Pewnie jak zwykle nie mieli pieniędzy - zasugerowałam, nauczona doświadczeniem.

53- Musieli mieć, najwyżej premie roczne by sobie obcięli. Ale nic nie mogłem zrobić, bo ta ustawa, o której mówiłem, nakazuje, żeby nic nie robić, dopóki nie ma funduszy. A ja, rozumiesz, musiałem najpierw sporządzić kosztorys, potem projekt inwestorski, przeprowadzić przetarg na wykonanie tych części i drugi na wykonanie remontu, i dopiero przystąpić do samego remontu. Przed decyzją z Urzędu, że pieniądze będą, nic ruszyć nie mogłem. No to siedziałem w tym Urzędzie przez cały czerwiec, więdnąc na korytarzach jako ta lilia. Na wszelki wypadek co tydzień składałem im pismo, że jak nie przeprowadzę remontu, to Kolegium na jesieni nie ogrzeję i studentów trzeba będzie w październiku na cztery wiatry rozpędzić. Po cichu się też dowiedziałem, że producent tych pieców w Krotoszynie, jedyny w Polsce, a nawet na świecie, bo gdzie indziej nic takiego nie wymyślili, bokami robi i ze śpiewem na ustach te człony mi sprzedają.

- Polska myśl techniczna? - upewniłam się.

- Właśnie. W lipcu już się zacząłem denerwować, bo czasu było mało. Wytworzenie tych papierków musiało trwać, a remontu z dnia na dzień się nie zrobi. Szczególnie że każdy człon do tej kobyły prawie pół tony waży i przewiezienie wszystkich kawałków też trwać musiało. W Urzędzie połowa poszła na urlop, to i ja co drugi dzień tam chodziłem. Prosiłem, zebrałem, klękałem przed wszystkimi i po rękach gotów byłem całować. I nic. Nikt ze mną gadać nie chciał. Po cichu, na kreta, te człony w Krotoszynie zamówiłem, bo w zapasie mieli tylko osiem. Dyrektor poszedł mi na rękę i zaczęli te człony dla nas robić, bez żadnego zamówienia. Z życzliwości człowieka do człowieka. Specjalnie w tym celu do Krotoszyna się udałem.

- No i co? Dostałeś w końcu te pieniądze?

- Owszem. Trzydziestego sierpnia! Oni wszyscy, w Urzędzie Marszałkowskim, są inteligentni inaczej, że się nie będą wyrażać. Związku pomiędzy nadchodzącą porą roku, ko-

niecznością ogrzewania Kolegium i tym, że remont musi trwać jakiś czas, nie byli w stanie pojąć. Zastanawiałem się nawet nad tym i uważam, że chodzi o to, że na początku są trzy elementy. Rozumiesz, jak zaczynają myślenie i mają na początku tylko dwie przesłanki, nawet nieźle im idzie. Tutaj trzeba było zacząć od trzech, nie dali więc rady.

- Ale ten piec naprawiłeś?

- Jasne. Olałem wszystkie kosztorysy, od razu zapotrzebowanie do Krotoszyna napisałem, a oni zdążyli dla mnie te człony zrobić i zaczęli je powolutku przysyłać. Na żadne przetargi też już nie miałem czasu, bo remont musiał co najmniej miesiąc trwać, a w ciągu miesiąca przetargu nie przeprowadzisz. Jakbym tej cholerniej ustawy przestrzegał, to miałem szansę zdążyć na początek następnego roku, a i to w dużym pośpiechu. Studentów w jesiennym semestrze trzeba by było rozpędzić. Tego, co od zawsze remonty nam robił i piec od lat znał jak swój, do wymiany zatrudniłem. Zdążyliśmy na dwudziestego października, bo kiedy te uszkodzone kawałki facet rozebrał, okazało się, że jeszcze cztery dodatkowo były uszkodzone, i też trzeba było je wymienić. Musieliśmy poczekać trochę, aż je w Krotoszynie zrobią i do Łodzi przyślą.

- No to masz z głowy. I żadnego przestępstwa w tym wszystkim nie widzę - pocieszyłam przyjaciela.

- Niedoinformowana jesteś. Taki remont bez kosztorysów i przetargów to przestępstwo. W ustawie jak byk stoi. Jak tylko skończyliśmy remont i kaloryfery zaczęły grzać, z Urzędu Marszałkowskiego pismo przyszło, że kontrolę wydatkowania tych pieniędzy mi zrobią.

- Mieli nadzieję, że nie zdązysz i ta forsa im na premie zostanie? Tak myślisz?

- Cholera ich wie. Po tej kołomyi o myślenie trudno ich posądzać. Ale cel jakiś w tym mieli.

- No i co zrobiłeś?

- Na wódkę z wykonawcą poszedłem. Trochę ze szczęścia, że udało się terminu dotrzymać, a ja roboty nie straciłem, trochę z rozpaczy, co teraz będzie.

- Nadużywanie alkoholu może chlubne nie jest, ale przestępstwa w tym żadnego dalej nie widzę. Chyba że to była łapówka?

- Coś ty! Sam za swoją wódkę płaciłem. Chociaż wykonawca był szczęśliwy, że taką robotę podłapał na koniec roku. Pieniądze i tak mu mieli przekazać dopiero za miesiąc, a może i później, więc w tym czasie groszem nie śmierdział, bo pracownikom przecież musiał zapłacić.

- Rozumiem, że mówiłeś o tym przestępstwie z ustawy o zamówieniach. Gdzie tu afera?

- spytałam, zaintrygowana opowieścią.

- Uczucia mi się na tej wódce pomieszały. Rozumiesz, z jednej strony radość, że wszystko wyszło i zdążyliśmy. Wdzięczność do dyrektora z Krotoszyna, co jak człowiek do człowieka do sprawy podszedł, i wdzięczność do wykonawcy, bo jak szatan zasuwał z remontem po dwanaście godzin dziennie, na nic się nie oglądając, z drugiej strony trwoga, jak z tej kontroli wyjdę, i obawa, że znowu za bezrobotnego będę, jeszcze z plamą w życiorysie. Gaść musiałem za dużo, bo taki jeden swołocz się do nas przysiadł i sposób na wyjście z opresji zaproponował.

- Życzliwy człowiek. Skąd tu afera i przemysł?

- Bydlak niemyty, a nie życzliwy. On mnie w to wszystko wpędził. Rozumiesz, zaproponował, że zna takie przedsiębiorstwo, co na zlecenie wszystkie przetargi i inwestycje prowadzi i wstecznie dokumenty konieczne sporządzi, tak że kontrola dobrze wypadnie. Wtedy to mi się wydało świetnym pomysłem i jedynym ratunkiem. Dyrektora przekonałem, zlecenie do tej firmy dał i wszystkie kosztorysy w try miga sporządzili, ogłoszenia o przetargach zrobili, protokoły z tych przetargów sporządzili i w terminach się zmieścili. Całą makulaturę wyprodukowali bez pudła. I jeszcze znaleźli jakichś, co w tych przetargach brali udział, ale od rzeczywistych realizatorów gorsi w ofertach byli.

- No to ty chyba też mogłeś?

- W życiu. Normalnie jak człowiekowi zleczysz zrobienie kosztorysu, to czas jakiś musi to trwać. Nikt ci kosztorysu z dnia na dzień nie robi.

- A oni zrobili?

- Ucho od śledzia. Tylko papiery wytworzyli, że kosztorysy zlecieli trzydziestego sierpnia, a dostali je już pierwszego września i przez cały wrzesień przetargi na te części i remont przeprowadzali. W papierach im wyszło, że wykonawca w dwa tygodnie cały remont zrobił. Niemożliwe fizycznie.

- Rozumiem. A kontrola była?

- Była. Papiery im się podobały, fizyczne możliwości nikogo nie interesowały.

- No to w porządku. Nikt się o tym nie dowiedział?

- A diabła tam. Te wszystkie machlojki w asyście tego bydlaka w knajpie poznanego trzeba było robić. W dodatku remont o dwadzieścia procent więcej kosztował, bo tyle sobie za usługę policzyli.

- No to jedyną osobą, która o wszystkim wiedziała, był ten twój bydlak?

- Właśnie. Życzliwość okazywał, wszędzie ze mną jeździł i załatwiał. I jeszcze mówił, że ta firma tylko dla niego i po znajomości tak wszystko przeprowadziła. Na łapówkę dla niego żadną nie miałem, bo przecież w Kolegium pieniędzy bez przerwy na zapłacenie za gaz i

światło brakuje, papieru do pisania nie ma za co kupić. Od siebie też, choćbym się postarał, dużo mu dać nie mogłem. Ale nie chciał wcale. Przysługę mi, rozumiesz, zrobił. Powiedział, że może mu się przysługą zrewanżuję. Swołocz.

- Może byś doszedł do końca. Nowy dzień nam się zaczął - delikatnie próbowałam przyspieszyć zwierzenia.

- No i miesiąc temu przyszło to bydlę i o przysługę poprosiło. Znajomy, rozumiesz, miał mu przysłać pieniądze z zagranicy, a on biedulek konta nie ma, więc chce z mojego skorzystać. Złego w tym nic nie widziałem, chociaż takie konto w jeden dzień można załatwić, ale faktycznie, z uzyskaniem numeru i kart trochę to trwa. Jak makolągwa głupia sam mu ten numer napisałem i pod nos podsunąłem. Bezmyślna jełopa.

- Bo co się stało? Jakieś pieniądze przyszły?

- Żeby to szlag! Trzysta tysięcy euro! Na mój rachunek. Zapłata za dzieła. Całe życie musiałbym te ikonki malować, żeby mi tyle zapłacili!

- Spory pieniądz. Ale mu chyba oddałeś?

- No właśnie. Oddałem, to nie problem. Ale on kazał mi przelew zrobić na takiego jednego, co farbami handluje. Niby że mu za farby płacę. Kaplicę Sykstyńską mógłbym od środka i od zewnątrz za takie pieniądze pomalować, i jeszcze by mi na dostatnie życie zostało!

- Trochę rozumiem. Jednak nie za bardzo. Jaka tu afera?

- Są dwie sprawy. Po pierwsze, żadnych papierów, że te farby kupiłem za takie pieniądze, nie mam. A po drugie, ja te pieniądze za dzieła w rozliczeniach podatkowych wykazuję i podatek od nich płacę. Muszę od nich zapłacić podatek. Normalny dochodowy, jak każdy uczciwy obywatel. Dwadzieścia procent to będzie sześćdziesiąt tysięcy euro. Jak się okaże, że przeskoczyłem do następnej grupy podatkowej, to nawet więcej! Masz pojęcie, jaka to kwota na złotówki?! W życiu Urzędu Skarbowego nie spłacę. No i jeszcze dzisiaj mi to bydlę powiedziało, że to za narkotyki, które z Polski przemycili! Za ich współnika zostałem!

- Faktycznie, afera - przyznałam, cała w emocjach.

- Rozumiesz już. Mało że za przemytnika narkotyków jestem, to w dodatku na podatek pieniędzy nie mam i nigdy ich nie spłacę.

- Oni tak cię zostawią?

- Skąd. Jak będę grzeczny i paszczą nie będę kłapał, to mi fakturę dadzą. Jeszcze wynagrodzenie za całą tę operację mi obiecywał, swołocz. Za cholerę nie wiem, co robić. Za przemytnika być nie chcę, na podatek pieniędzy nie mam. Dno i krewa.

- No dobrze, a jak ty te swoje ikonki wysyłasz? Jakieś dokumenty wypisujesz?

- Załatwiam tylko papiery z Ochrony Zabytków, że to bieżąca produkcja, a nie żadne skarby narodowe. Mirek ma już kilka sklepów, które tym moim towarem handlują. Jak sprzedadzą, piszą o więcej i forszę przysyłają na konto.

- No to chyba masz dokumenty, co i za ile sprzedałeś?

- Tak. Cena jest dowolna. Jak taki palant za jedną ikonkę chce zapłacić sto tysięcy euro, może płacić. Jego wola.

- Kto ci przysłał te pieniądze na konto, wiesz?

- Owszem. Jakiś Kunsthandel. Za odbiorcę mojej twórczości może być. Tylko papierów, że całe 300 tysięcy wydałem na materiały, nie mam!

- O, w mordę. Faktycznie cię w róg zapędzili.

- Mamer mam jak w banku. Nikt mi nie uwierzy. Za ofiarę mam być - wykrzyknął zdenerwowany Marcin, zapalając kolejnego papierosa.

- Czekaj. Oni taki numer z tobą zrobili jeden raz czy chcą cię dalej wykorzystywać?

- Dobrze nie wiem, ale sądząc z tych gróźb, że mam paszczą nie kłapać gdzie nie trzeba, i obietnicy, że papiery i nawet trochę na podatek mi dadzą, wynika, że może będą mi chcieli jeszcze jakieś pieniądze podesłać.

- Trzeba na policję. Inaczej z tego nie wyjdiesz - poradziłam.

- Ha, ha, ha. Mam podejść na ulicy do policjanta i o aferze mu opowiedzieć? Kto mi uwierzy! To wszystko rzetelni przedsiębiorcy. Dobrze im idzie. Podatki płacą. Że w tym kraju, w którym nie opłaca się niczego produkować, bo sprzedać nie można, oni jedni dochody mają? Kapitalistyczne szczęście. I tyle. Moje słowa przeciwko ich.

- No, ale przecież dokumenty, że pieniądze przyszły, w banku są? - zapytałam niepewnie.

- Jasne. Ale tylko tego dowodzą, że ktoś moje dzieła za wielki szmal kupił.

- A w drugą stronę?

- Przelew zrobiłem. Dokument niby mam na to. Tylko nie wiadomo, za co płaciłem. Mogę mówić, że farby kupiłem w sprzedaży detalicznej. Może mi na kredyt sprzedawał po tubie co pół godziny. Żadnego przestępstwa w tym nie ma. To że dużo? Moja sprawa. Może Pałac Kultury chciałem pomalować, a teraz mi się odwidziało i niewinnego człowieka pomawiam.

- Masz rację. To na nic. Znajomego trzeba mieć, żeby ci uwierzył, od razu nie zamykał i na następny przelew poczekał.

- Znasz kogoś?

- Paru kumpli poszło pracować do policji. Potrzebuję trochę czasu. Wiesz przecież, że co dwa, trzy lata w policji czystkę robią i wyrzucają. Głównie tych, co już się czegoś zdołali nauczyć. Ale za poglądy też. Te niesłuszne. Muszę się zorientować, kto został. Do tej pory wiedza o policji nie była mi do niczego potrzebna.

- Przyjmijmy, że znajdziesz kogoś, kto mi uwierzy. Co potem?

- Potem zostaniesz za świadka koronnego. Zawrzesz układ z prokuratorem. Nie będzie cię ścigał za popełnione przestępstwo, nieświadomie popełnione, ale jednak. A ty będziesz zeznawał, jak zamkną całą szajkę, przeciwko nim.

- Trzeba znaleźć kogoś, kto ci uwierzy sam z siebie. Bez ustawy o świadku koronnym.

- Pocieszyłaś mnie. Znajdziesz kogoś takiego?

- Mam duże nadzieje. Zaraz od poniedziałku zacznę szukać. Musisz mi dać trochę czasu.

- Sam rozumiem. Trzeba trafić na uczciwego policjanta. Takiego, co to łapówek nie bierze i w przestępstwach nie uczestniczy.

- Albo uczciwego prokuratora. Z tych, co się nie boją narazić naszej gwiazdzie - uzupełniłam.

- O czym ty znowu mówisz? - z niesmakiem zapytał Marcin, zapalając następnego papierosa.

- Mamy w Łodzi takiego medialnego prokuratora. Za gwiazdę robi i do mediów się pcha. Za pogromcę bandytów i aferzystów go mają. System ma taki, że wymyśla jakąś aferę, potem ogłasza to w prasie, a czasem w telewizji, i wtedy, jak dziennikarze na całą Polskę o aferze rozgłoszą, dochodzenie rozpoczyna.

- Coś nie bardzo rozumiem. Po mojemu to najpierw dochodzenie trzeba zrobić, jakieś wyniki mieć, a dopiero później o tym można mówić. A w ogóle to chyba jak takie śledztwo zakończą i do sądu sprawę skierują. Słyszałem coś o tajemnicy śledztwa i domniemaniu niewinności.

- Zacołany jesteś. Takie zasady to obowiązywały w poprzednim ustroju. On w odwłoku ma te tajemnice i domniemania. Od rozgłoszenia afery zaczyna, dopiero później dowodów szuka.

- Serio mówisz? I nikt go nie czepia?

- Poparcie ma. A dowody na cokolwiek zawsze znajdzie. Do firmy kontrolę skarbową przyśle, pouczy, że mają znaleźć, to coś znajdą. Nawet jak się z ogłoszoną aferą nie pokrywa, to żaden problem. Od czego interpretacja prawa?

- I nikogo to nie obchodzi? A co sądy?

- Sędzia też człowiek. Jak dostanie do sądzenia taką sprawę, o której wszystkie gazety piszą i w telewizji opowiadają, właściwe nastawienie już ma. Prokuratura dołoży mu jeszcze kilkudziesięciu albo kilkuset świadków, których miesiącami musi przesłuchiwać, choć te zeznania do sprawy nic nie mają, i jest ugotowany. Od razu sprawność sądzenia mu spada, a mediom się nie chce narazić, że żadnego przestępstwa nie widzi, najwyżej jakieś drobne wykroczenie.

- No to może do niego? Afera przecież jest jak w pysk dał. W karierze mu pomoże.

- Tępy jesteś. Twoja afera na nic mu się nie przyda. W tajemnicy ją trzeba trzymać i dowodów szukać, dochodzenie prowadzić. On tak nie umie. Co najwyżej ciebie aresztuje i za aferzystę ogłosi. O to ci chodzi?

- No coś ty! Przecież niewinny jestem! Niewinnego będzie zamykać?

- Paru takich znam. Niewinni byli, a on ich osobiście posadził i niektórzy po parę lat w mamrze czekali, aż śledztwo skończy. Teraz mu gorzej idzie, bo sądy kontrolę nad aresztowaniami mają, ale ryzyko zawsze jest.

- Co robić?!

- Mówiłam ci. Parę dni mi daj, kogoś z sensem znajdę. Pójdiesz do niego, zeznasz co trzeba, on śledzić tych twoich aferzystów będzie, a ciebie za świadka koronnego od razu wezmą i nikt cię nie ruszy aż do sprawy. Jak ich połapią, za gwiazdę będziesz.

O wpół do trzeciej udało mi się wreszcie Marcina przekonać i wypchnąć za drzwi.

O koszarnej siódmej godzinie obudził mnie telefon od Lalki. Wyjeżdżała w sobotę, chciała u mnie urządzić swoje pożegnanie, zapowiadając spęd przyjaciół i kilku nieznanym mi osób z nią zaprzyjaźnionych. O tej porze mogłam jedynie przyjmować do wiadomości, niemrawo pomrukując. Śpiący umysł odmawiał wszelkich usług.

- Wiem, że masz dzisiaj dzień sprzątanego, więc nie będę wredna. Zakupy zrobię sama i od razu je do ciebie przywiozę - zakończyła radośnie.

W wyniku różnych rodzinnych decyzji mieszkałam w trzypokojowej landarze o wysokości bez mała czterech metrów. Robienie jakichkolwiek porządków, a już szczególnie wtedy, gdy w grę wchodziło mycie okien, przekształcało się w katorgę, przede wszystkim z tej przyczyny, że dwa pokoje praktycznie miały frontowe ściany z okien. Rodzice przenieśli się podczas mojej nieobecności w kraju do nowoczesnego apartamentu zaopatrzonego we wszelkie udogodnienia. Mamuśka pozostawiła mi radośnie sprzątaczkę razem z mieszkaniem, informując z satysfakcją, że trzy pokoje w nowym apartamencie, zaopatrzonym w nowoczesne

okna i szyby, bez wysiłku sprzątać będzie samodzielnie. Swoją drogą kwestia szyb stanowiła dla mnie zagadkę nie do rozwikłania. Szyby w nowych oknach, wykonywanych wedle zachodniej technologii, miały równą grubość i były gładkie aż do przesady. Szyby pochodzące z epoki socjalizmu, mimo pozornej gładkości, były nierówne i pełne bruzd, które wybitnie ujawniały się przy ich myciu. Słyszałam o tym, że kraje socjalistyczne nie mogły kupić na Zachodzie niektórych technologii ze względu na przynależność do niesłusznego ustroju. Jakie jednak tajemnice ideologicznie ważne tkwiły w sposobie produkcji gładkich szyb?

Pani Honorata była prawdziwą instytucją. Samotna, choć nie pozbawiona nadziei na spotkanie mężczyzny swojego życia, pojawiała się o poranku w stroju nie sugerującym nawet, że zawodowo zajmuje się sprzątaniami. Była niezbyt wysoka i dość szczupła, co pozwalało jej na dowolną garderobę. Nieco podobna do mnie ze wzrostu i z figury, od chwili mojego przyjazdu z upodobaniem naśladowała mój styl odzieżowy. Nawet przemalowała sobie włosy na mój kolor. Nie przeszkadzało jej przy tym, że dzieli nas blisko dwadzieścia lat, zawsze bowiem powtarzała, że jest młoda duchem.

W ten piątek pojawiła się o ósmej, gdy piłam kawę, dochodząc do siebie. Co miesiąc, przy okazji gruntownego sprzątnięcia, myła jedno okno, co dawało mi stałe, komfortowe poczucie egzystowania w czystym mieszkaniu. Podczas jej obecności ja również popadałam w zapal sprzątnięcia, choć nie zawsze radośnie. Nie tyle pomagałam pani Honoracie, ile porządkowałam i sprzątałam swój własny bałagan, którego i tak nigdy bym jej nie pozwoliła ruszyć. Przy sposobności znalazłam, zachowane nie wiadomo jakim cudem, przemówienia z plenum KC nieboszczki PZPR. Posłużyły mi za podpórkę, gdy sklejałam uszkodzoną ramkę do fotografii. Przeglądając światłe myśli notabli minionej epoki, trafiłam na zdanie: „Kapitalizm z przodu się do nas uśmiecha, a z tyłu szczerzy zęby”. Zmusiło mnie ono do refleksji. Faktycznie, nie dostrzegałam teraz żadnych uśmiechów. Wyszczzerzone zęby kapitalizmu, owszem. Ciekawe jednak, że każda epoka ma swoje własne prawdy, którym potomkowie zaprzeczają. Powszechne wybory są podobno wyrazem społecznej mądrości. Wychodzi na to, że społeczeństwo, wybierając kapitalizm, urządziło co najmniej połowie zbiorowe „kęsim, kęsim”, pozbawiając miejsc pracy, niektórych również mieszkań, a wszystkich pewności jutra. Z tej niepewności większość żyła w frustracji, a ci, którzy mogli, zabezpieczali swoją i rodziny przyszłość pieniędzmi zagarniętymi z państwowej kasy, czyli naszymi podatkami. Jeżeli jest to wyraz społecznej mądrości, to co ufundujemy sobie następnym razem?

Tego dnia pani Honorata ubrana była w wymyślony kiedyś przeze mnie komplet kilku pastelowych zieleni. Nosiłam do niego beżowe sandały i także torbę, w wersji ubraniowej mojej sprzątaczkę zmienioną na biel, co odbierało kolorystyce cały urok i elegancję.

Nie przepadałam, szczerze mówiąc, za moją sprzątaczką. Poza tym, że denerwowała mnie naśladownictwem w ubiorze, miała również głębokie wewnętrzne przekonanie o własnej mądrości i przy każdej okazji dawała temu wyraz, pouczając mnie nieustannie i na każdy temat. Zawsze też po zakończeniu sprzątanania brała kąpiel, po której bez żenady i umiaru korzystowała z moich perfum i kosmetyków, to zaś rozbudzało we mnie co miesiąc mordercze instynkty. Obcowanie z nią było więc dość uciążliwe, dlatego nie darzyłam jej sympatią. Sprzątała jednak perfekcyjnie, nie pozostawiając po sobie drobiny kurzu, chcąc nie chcąc znosiłam zatem wszystkie jej kaprysy i zachcianki.

Do ablucji przystąpiłam niezwłocznie po zamknięciu drzwi za panią Honoratą, pamiętając, że zaraz ma przyjść Lalka z zakupami. Suszyłam włosy, co skutecznie uniemożliwiało usłyszenie dzwonka, spłoszyłam się więc łomotem do drzwi. Za nimi stała Lala, a wokół niej poniewierały się pakunki różnych kształtów.

- Na miłość boską. Nie musisz mi drzwi wywalać - przywitałam przyjaciółkę.

- Jesteś! - wykrzyknęła, łapiąc się w okolicy serca. - Jak ja się zdenerwowałam!

- Przestraszyłaś się, że cię nie wpuszczę? Taka wredna nie jestem. - Pochyliłam się, by pozbierać rozrzucone na podeście zakupy.

Lalka chwiejnie, dalej trzymając się za gors, wkroczyła do mieszkania.

- Wody - zażądała. - Albo może winiaku. Wyjmij z tej niebieskiej siatki. Kupiłam.

- Co ci jest? Ochwaciłaś się?

- Jestem zdenerwowana. Przez ciebie.

- Chyba przesadzasz. Trochę postałaś pod drzwiami. Nic takiego. Wiesz, że mam daleko z łazienki i nie zawsze słyszę - odpowiedziałam, składając na kuchennym stole przyniesione przez Lalkę torby.

- To nie dlatego. Zdenerwowałam się na dole.

- Duch święty nie jestem. Chyba za wiele ode mnie oczekujesz. Miałam na ciebie czekać na dole? Może jeszcze na ulicy? Ze śpiewem na ustach czy w przykłęku? - zapytałam złośliwie, uwalniając butelkę z tekturowego opakowania.

- Nie o to chodzi. Daj kieliszek - zażądała, nieprzytomnie rozglądając się wokół.

Żądanie nieco mnie zdumiało. Po raz pierwszy widziałam, żeby moja przyjaciółka z takim zapałem pożądała alkoholu. Abstynentką nie była i nie raz zdarzało nam się pić wódkę oraz inne płyny rozweselające. Zdarzało się to jednak głównie w większym towarzystwie i najczęściej przy jakiejś okazji. Dzisiaj jej chęci wydały mi się nadmierne, ale bez oporu wyjęłam kieliszek z kredensu i postawiłam przed Lalką wypełnioną do połowy lampkę. Łapczywie połknęła duży łyk i natychmiast się zakrztusiła.

- Nie o to chodzi - wyszeptwała, pokaszując. - Widziałam.

- Biały dzień jeszcze jest. Duchy widziałaś?

- Wydawało mi się... - kaszłała dalej - że ciebie widziałam.

- I przstraszyłaś się? - dociekałam. - Bez makijażu najpiękniejsza może nie jestem, ale do straszenia ludzi jeszcze mi daleko. Jak zmora wyglądam?

- Nie to - zamachała. - Na dole ktoś leży. Myślałam, że to ty.

- Jak leży? Dlaczego ja?

- Takie zielone. Jak twój komplet. Rozumiesz?

- Jakieś zielone szmaty tam leżą? Bez zawartości? Dlaczego myślałaś, że to ja?

- Na dole leży człowiek. Kobieta. Ubrana w takie zielone. Wyglądało jak twój komplet. Dlatego myślałam, że to ty - wyjaśniła obszerniej.

- To po co się pchałaś na trzecie piętro? Jeszcze z tymi zakupami? Jeżeli myślałaś, że to ja, trzeba było murem tkwić na dole.

- Toteż właśnie. Miałam nadzieję, że to nie ty.

- Zaraz, gdzie ta kobieta leży? Stało się jej coś?

- Na dole. Nie na parterze. Niżej. W windzie. Dlatego weszłam. Aby sprawdzić, że to nie ty.

- Takie zielenie jak moje, mówisz? Jezus Maria, pani Honorata! Co jej się stało?

- Po mojemu ktoś napadł na nią w windzie i dał jej po głowie. Tłum tam się kłębi, nie mogłam podejść bliżej. Dlatego chciałam sprawdzić tutaj.

- Pójdę zobaczyć. Może trzeba wezwać... Nie wiem. Lekarza. Pogotowie. - Zerwałam się w popłochu i runęłam do drzwi.

- Czekaj. Już ją pewnie zabrali. Jak wchodziłam na schody, to mówili, że pogotowie już jedzie - zatrzymała mnie Lalka, szarpiąc za rękę.

Co prawda, rozumiałam każde jej słowo pojedynczo, ale całość do mnie nie docierała, wrywałam się więc, by w tym stanie koniecznie wyjść na schody i lecieć gdzieś, chociaż żaden sensowny kierunek na myśl mi nie przychodził. Lalka okazała się silniejsza, oderwała mnie od drzwi, dowlokła do kuchni i usadziła na krześle. Zaserwowała mi resztę pozostałego w lampce winiaku i otrzeźwiła mnie natychmiast, szarpiąc mną bowiem wlała mi go nie do tej dziurki, co zaowocowało atakiem kaszlu.

- Obca osoba, czego się pchasz. Nawet jej nie lubiłaś - warczała Lalka, serdecznie waląc mnie w plecy. - To mógł być ktokolwiek. Jakiś obcy od sąsiadów.

- Dobrze już. - Udało mi się złapać oddech. - Przestań. Płuca mi odbijesz.

- No i widzisz. - Zadowolona z siebie przyjaciółka usiadła naprzeciwko. - Już ci przeszło.

- Pech, że trafiło na panią Honoratę.

- No widzisz, mogło na ciebie - pocieszyła mnie Lalka.

- Lepiej bym to przeżyła - stwierdziłam.

- W ogóle byś nie przeżyła. Wątpię, czy to jest lepiej.

- Ja w dół nie zjeżdżam. Do windy pcham się tylko wtedy, kiedy niosę coś ciężkiego. Normalnie aplikuję sobie taką gimnastykę. Chodzę po schodach - wyjaśniłam.

Zaproszeni przez Lalkę goście mieli być uhonorowani tylko bufetem na zimno. Od dawna bowiem zaprzestałam wydawania kolacji z sadzaniem gości przy stole. Tylko wyjątkowo, dla tych szczególnych, miałam wydawać przyjęcia z kolacją na gorąco. Wyliczyłam sobie kiedyś, że odległość od kuchni z przejściem wokół stołu wynosi dziesięć metrów w jedną stronę. Żeby nakryć stół, umieścić na nim półmiski i talerze, za każdym razem musiałam przejść dwadzieścia metrów. A zatem kolacja, zależnie od liczby zaproszonych gości i podanych herbat, ze sprzątnięciem ze stołu, wymagała ode mnie przejścia od ośmiu do dziesięciu kilometrów. Postanowiłam wówczas, że następnym razem poświęcę się tak jedynie dla głów koronowanych. Na szczęście wśród moich znajomych żadnych królów ani następców tronu nie było.

Przypomnienie Pawełka wypłoszyło mnie do łazienki.

Pawełek był naszym przyjacielem z lat szkolnych. Naturę miał artystyczną i rzeczywiście malował i tworzył grafiki. W imię przyjaźni obdarzał nas czasem swoimi dziełami. Posiadam jego abstrakcyjny obraz olejny, zatytułowany „Akt” i przedstawiający potężne udo z przyczepioną do niego maleńką, trudno rozpoznawalną ludzką postacią. Gdyby nie to udo, niewątpliwie damskie, o płeć postaci można by się spierać. Na wszelki wypadek trzymałam owo dzieło w sypialni, wmawiając wszystkim zainteresowanym, że czynię to przez skromność. Poza tym obdarowana zostałam dwiema grafikami. Jedna przedstawiała czarne linie pionowe, druga czarne linie poziome. Zgodnie z życzeniem autora wisiały obok siebie w salonie. Były absolutnie neutralne w wyrazie i nikomu nie czyniły krzywdy.

Poza wenań twórczą Pawełek posiadał cechę szczególną, mianowicie na wszelkich proszonych imprezach pojawiał się co najmniej pół godziny wcześniej. Zależnie od tego, czy był aktualnie w przyjaznych, czy też wrogich stosunkach ze swoją towarzyszką życia, pojawiał się sam lub też z Basią u boku. Gdy przychodził z Basią, najczęściej był w nastroju ponuro-

satanistycznym, serwując dowcipy z horrorów. Sam zaś przychodził wesolutki jak skowronek, nadużywał alkoholu jeszcze przed przyjściem pozostałych gości i wtedy stawał się duszą towarzystwa.

Pudrowałam się, gdy usłyszałam dzwonek. Niewątpliwie Pawełek.

- Dziewczyno! Kochaj i szalej. Nie myśl, co dalej! - zakrzyknął, witając Lalkę otwierającą mu drzwi.

Najwidoczniej Pawełek przyszedł dziś sam.

- Cześć, Pawełku. Znowu zapomniałeś zegarka? - przywitałam przyjaciela.

- Wiesz, gdyby nie było kobiet, człowiek udomowiłby sobie jakieś inne zwierzątko - odpowiedział na moje powitanie nieco nie *à propos*. Domyśliłam się, że sam sobie uzasadnia trwanie związku z Basią.

Zdążyłyśmy wystawić wszystkie zakąski na bufecie, w tym konkretnym przypadku na odsuniętym pod ścianę stole, gdy pojawiła się Elżbieta. Jej sukienka w dużą kratę nawet nie miała zamiaru ukryć bujnych kształtów właścicielki.

- Po coś ją zaprosiła? - spytałam Lalkę, strojąc powitalne grymasy do Elżbiety.

- Mam do niej interes - odpowiedziała, przybierając uradowany wyraz twarzy.

Elżbiety zawsze było dużo w każdą stronę. Obecnie nosiła przed sobą brzuch wielkości sporej walizki. W swoim rozumieniu miała jednak szczupłą sylwetkę i zupełnie jej to nie przeszkadzało. Nawet czasem próbowała się przeciskać przez otwory, przez które w zasadzie nawet jej połowa nie miała szansy się przecisnąć.

- Nie ma brzydkich kobiet, tylko wódki czasem brak! - zakrzyknął Pawełek na widok znanej mu Elżbiety i hojnie dolał sobie rzeczzonego trunku do szklanki.

Goście posypali się, dzwonek dzwonił, Lalka otwierała drzwi, ja pełniłam honory domu przy bufecie, zaopatrując przybyłych w talerze i napoje. Większość znała się z innych spotkań i biesiad, niektórzy ze szkoły lub z kontaktów zawodowych. Pełnienie funkcji gospodyni nie wymagało szczególnych starań, tym bardziej że Pawełek wszedł w rolę duszy towarzystwa i wędrując od grupki do grupki, rozweselał zebranych.

- Na początku był chaos... i tak już zostało - ogłosił nagle Pawełek, dzierżąc w ręku butelkę.

- Wódka lepsza jest od chleba, bo gryźć nie trzeba - dorzucił Andrzej z kąta.

W tym momencie w drzwiach pojawiła się Lalka, prowadząc dwie obce osoby. Obok niej stał osobnik nie tyle filigranowy, ile zdecydowanie nieduży, ciemnowłosy, choć z czupryną zdecydowanie przerzedzoną na czubku głowy. Bystrymi brązowymi oczami lustrował zebranych w pokoju. Za nim stał wysoki blondyn, z lekko falującymi włosami. Spoglądał

wokół z rozbawieniem w szaroniebieskich oczach i lekkim uśmiechem w kąciu ust. Linia atletycznych ramion atrakcyjnie zbiegała do wąskich bioder okrytych dżinsami, podtrzymywanymi szerokim skórzanym paskiem. Wyglądał jak moje marzenie. Zaparło mi dech w piersiach, serce gwałtownie biło w gardle.

- Moi koledzy z pracy - rzuciła w przestrzeń Lalka z dziwnym wyrazem twarzy. - Pan Roman i pan Krzysiek.

Z wrażenia podeszwy przywarły mi do podłogi i nie chciały się ruszyć.

- Rosną ci skrzydła? - zapytał niższego z przybyłych Pawełek, zataczając się w jego stronę. - Znaczy, że masz ptasi mózdzek! - obwieścił wszystkim, oczekując aplauzu.

Udało mi się oderwać od podłogi i przejść kilka kroków w kierunku przybyłych.

- Miło mi, chyba że panowie tu służbowo - powiedziałam, wyciągając rękę na powitanie.

Niższy wymamrotał coś pod nosem, najpewniej nazwisko. Nawet gdyby w pokoju panowała głucha cisza, i tak nie zdołałabym go zrozumieć. W ukrywaniu nazwiska doszedł do perfekcji. Blondyn przytrzymał dłużej moją rękę.

- Niezupełnie służbowo - odparł, nie przedstawiając się. Dusza podpowiedziała mi, że to on ma na imię Krzysztof. Wprowadziłam przybyłych do pokoju i znowu zadzwieczał dzwonek. Otworzyłam drzwi Wiesi i Markowi.

- Wiesz, przychodzi blondynka do apteki - powiedział na powitanie Marek - i pyta aptekarza, czy są testy ciążowe. „Oczywiście”, odpowiada aptekarz.

- „A czy pytania są trudne?”, pyta blondynka - dopowiedział Andrzej z końca korytarza.

- Ukradłeś mi dowcip - z udawaną obrazą stwierdził Marek, zwracając się do Andrzeja.

- Nic nie szkodzi. I tak nie pójdę do nieba. Mam lęk wysokości - poinformował Andrzej.

Goście bawili się dobrze, o czym świadczył gwar licznych rozmów. Koledzy Lalki wtąpili się między zebranych. Szatyna, pewnie z powodu niekczemnej postury, w ogóle nie mogłam dostrzec, blondyn utkwił w przeciwległym rogu pokoju za nalewającym mu wódkę Pawełkiem. U boku miał Elżbietę z kokieterijnym uśmiechem na twarzy. Co do szerokości, była dwa razy tęższa od niego.

Wszystko we mnie rwało się do obiecującego blondyna i nawet zrobiłam dwa kroki w jego stronę, gdy szarpnęła mnie za rękę Lalka.

- Chodź, muszę ci coś powiedzieć - szeptała, ciągnąc mnie do kuchni.

Impreza rozwijała się. Ktoś nastawił muzykę, usłyszałam upojne tanga. Pawełek zmaterializował się przed Markiem i zaprosił go do tańca. Marek przez nieśmiałość nie odmówił i

runęli do korytarza w rytm wyśpiewywanego przez Pawełka krakowiaka. Lalka wciągnęła mnie do kuchni.

- Wiesz, oni myślą, że to wszystko nie był przypadek.

- Co takiego, jacy oni i jakie wszystko? - zapytałam, spoglądając w głąb korytarza w obawie przed unicestwieniem lustra, przy którym Pawełek wywijał hołubce.

- Znaczą policja. Chodzi o te wypadki. Moje deski i twoją windę - dopowiedziała zde-nerwowana Lalka.

- Dlaczego mówisz mi to teraz? Dowiedziałas się, co było z tą dziewczyną? - spytałam półprzyciemnie, ciągnąc ją do pokoju, w którym usłyszałam brzęk tłukącego się szkła.

- Właśnie ci mówię - syczała Lalka, opierając się wyjściu z kuchni. - Okazało się, że ona była z Łodzi czy okolic i pojechała na jeden dzień do Berlina. Zginęła w drodze powrotnej.

- Wierzę, że nie przez przypadek. Człowieka trudno zabić przez przypadek, chyba że się go najedzie. Wtedy na ogół nikt ofiary nie wybiera. Jak zginęła? Dowiedziałas się?

- Dziewczyno, uśmiechnij się. Jutro możesz nie mieć zębów. - Pawełek runął w moje ramiona, opuszczając wyraźnie zawiedzionego Marka.

Przed Lalką wytwornie skłonił się Andrzej, zapraszając do argentyńskiego tanga. Wiesia prześlizgnęła się przez drzwi kuchni.

- Zrobię herbaty - powiedziała. Impreza nabierała rumieńców.

W jednym kącie Zbyszek, Elżbieta i nieznany mi z nazwiska ani z imienia ciemny szaryn - prawdopodobnie pan Roman - wdali się w dyskusję polityczną. Stojący za ich plecami Wojtek gromko grzmiał:

- Jeżeli jeszcze nie zwariowałeś, to znaczy, że jesteś niedoinformowany.

Rozgrzebany bufet wymagał uporządkowania. Goście wołali o więcej wódki, więcej napojów, więcej wody mineralnej. Niektórzy wspominali o kawie. Obowiązki gospodyni zmusiły mnie do krążenia z pokoju do kuchni i donoszenia pożądanych wiktuałów i napitków. Lalka tańczyła w ramionach gości. Pawełek wykonywał solo w roli łabędzia, nie rozstając się z niepełną butelką wódki. Elżbieta rżała w kącie, pragnąc sprawić wrażenie, że się śmieje.

Późnym wieczorem z ulgą żegnałam ukochanych przyjaciół, nie bardzo świadoma tego, z kim akurat wymieniam serdeczne uściski. Z Lalką, odprowadzaną zbiorowo do domu przez znajomych, umówiłam się na drugą, obiecawszy jej dostarczyć mapy tej części Europy, którą uparła się zwiedzać. Z kimś umówiłam się na wpół do drugiej, że pojedziemy razem. Nie pamiętałam z kim, ale nie stanowiło to problemu. Ktokolwiek pojawi się o tej godzinie, będzie

umówiony. Czy koledzy Lalki z pracy dotrwali do końca imprezy, nie pamiętam. Zmęczona zasnęłam, postanawiając porządki pozostawić na jutro.

Wyspałam się i odzyskałam przytomność całkowicie dobrowolnie. Nikt mnie nie budził i nie nakłaniał do żadnych czynów. Byłam zadowolona i wyspana po raz pierwszy od kilku dni. Sprzątanie po upojnym wieczorze zostawiłam sobie na później. Co prawda, w trakcie wybierania map, które mogły się przydać w planowanych podróżach mojej przyjaciółce, błąkało mi się po umyśle jakieś wspomnienie, że umówiłam się z kimś, ale nic więcej nie mogłam sobie przypomnieć. Jak ten ktoś nie przyjdzie, jego strata. Uczciwie z zegarkiem w ręku doczekałam do pierwszej trzydzieści, chociaż gotowa byłam kilka minut wcześniej, i zamknęłam drzwi. Winda była nieczynna, o czym informowały paski rażącej żółci ponalepiane wszędzie, gdzie się dało. Mapy nie były specjalnie ciężkie i nieczynna winda mi nie przeszkadzała. I tak schody w dół pokonałabym pieszo. Na parterze przelotnie zastanowiłam się, czy panią Honoratę udało się odratować, czy też będę musiała szukać nowej sprzątaczkki. Postanowiłam, że o stan pani Honoraty zacznę dowiadywać się po definitywnym pożegnaniu z Lalką. Po czym lekkomyślnie wyszłam na parking.

Obok mojego golfa trwał blondyn. Nie spoglądał niecierpliwie na zegarek, a zatem nie skojarzyłam sobie, że umówił się ze mną. Po prostu był. W świetle słońca wyglądał na przystojniejszego niż wczoraj, serce znowu podeszło mi do gardła i tam pozostało. Wysilek związany z poruszaniem nogami wydał mi się w tych warunkach nadmierny, zatrzymałam się więc na środku parkingu.

- O, jest pani. Już zaczynałem się niepokoić. - Blondyn podszedł do mnie szybko i wyjął z ręki siatkę, w której niosłam mapy.

- Jestem. Byliśmy umówieni? - spytałam słabo.

- Nie pamięta pani? Na wpół do drugiej. Jedziemy do Lalki.

- Jakoś dziwnie się pan wczoraj przedstawił. Na imię ma pan Krzysztof? - kontynuowałam nieco pewniej.

- Tak. Nawet przeszliśmy wczoraj na ty, ale przypuszczałem, że pani nie będzie pamiętać.

Kompletnie mnie замуrowało. Nie pamiętałam. Co gorsza, nie potrafiłabym sobie wyobrazić, co mogła robić i mówić moja osobowość pozbawiona kontroli. A raczej byłam w stanie wyobrazić sobie wszystko, szczególnie w obliczu tego faceta, który podobał mi się od pierwszego wejrzenia. Zrobiło mi się trochę słabo.

- Ale nazwisko jakieś pan posiada? Lubię znać nazwiska znajomych, szczególnie tych, z którymi jestem po imieniu - brnęłam dalej.

- Posiadam. Nawet podałem je pani wczoraj. Powinna pani pamiętać. Tańczyliśmy wówczas.

No nie, co za piramidalny pech! Tańczyć w ramionach najprzystojniejszego mężczyzny od paru lat, flirtować z nim i nic z tego nie pamiętać? Nie móc powspominać, ponapawać się. Nie móc rozmyślać, co by było, gdybym powiedziała inne słowo, zrobiła inny gest. Ktoś mnie chyba przeklął.

- Pamiętam. Lalka mówiła, że jest pan jej kolegą z pracy? - spytałam.

- Poniekąd. Zostaniemy tu czy jednak dostarczy pani przyjaciółce te mapy?

Nie miałam wyjścia. Z głębokim poczuciem niesmaku wobec samej siebie i niesprecyzowanymi wątpliwościami, że zabieram właśnie do najlepszej przyjaciółki bliżej mi nieznanego faceta, choćby i najprzystojniejszego, o którym nic nie wiem, uruchomiłam samochód i wolno ruszyłam w stronę mieszkania Lalki.

Jechaliśmy w milczeniu, musiałam bowiem wykonać intensywną pracę umysłową. Wydłubać z pamięci wszystko, co w niej zostało z wczorajszej imprezy, ze szczególnym uwzględnieniem tych dwóch, których wczoraj wprowadziła Lalka. Pamiętałam, że oprócz blondyna był jakiś nieduży szatyn. Lalka ich dziwnie przedstawiała. A w każdym razie miała przy tym dziwną minę.

- Wczoraj był pan z kolegą. Pamiętam go - podjęłam z wysiłkiem rozmowę.

- Poniekąd - odparł.

- To pana ulubione słowo? Czego w tym wypadku dotyczy? Poniekąd był pan z kolegą czy też on jest poniekąd pańskim kolegą? - spytałam rozdrażniona.

- Obiecuję, że wszystko wyjaśnię u Lalki. Słowo daję - powiedział skruszony.

Moja olśniewająca inteligencja nie podrzuciła mi innych tematów do uprzejmej konwersacji, resztę drogi przebyliśmy więc w milczeniu.

Lalka otworzyła drzwi w towarzystwie dwóch obcych mi jednostek ludzkich płci męskiej. Zdumienie spowodowało, że milcząc przekroczyłam próg mieszkania, co nie znaczy, bym nie zauważyła porozumiewawczych spojrzeń rzucanych przez owych mężczyzn do stojącego za moimi plecami Krzysztofa. Wobec tego jawnego spisku poczułam wzbierającą we mnie furię.

- Co jest? - zakrzyknęłam.

- Odejdźmy od drzwi - rozpoczął Krzysztof. - Zaraz wszystko paniom wytłumaczę.

Lalka wprowadziła nas do największego pokoju, w którym na środku królował stół jadalny. Nie spuszczać oka z najprzystojniejszego z blondynów, usiadła w milczeniu za stołem, oczekując wyjaśnień. Poszłam w jej ślady.

Było po nas wyraźnie widać, że nie damy się zbyć byle czym.

- No więc tak - chrząknął Krzysztof, przyglądając się nam intensywnie. - Jesteśmy z pewnej instytucji śledczej. Potrzebujemy pomocy obu pań. Trafiliśmy na coś, a ściśle mówiąc na przestępstwa, które są w pewien sposób z obu paniami związane. I nie umiemy tego połączyć, choć afera wydaje się dość poważna.

- Co to znaczy z pewnej instytucji? - zimno zapytała Lalka.

- Jakie znowu przestępstwa się z nami wiążą? Uczestniczymy w jakichś przestępstwach i nie wiemy o tym? - wpadłam jej w słowo.

- Jesteśmy z CBS. To znaczy z Centralnego Biura Śledczego - wyjaśnił blondyn, nic nie wyjaśniając.

Uświadomiłam sobie w tym momencie tajemnice Marcina powierzone mi w środku poprzedniej nocy i zatkało mnie radykalnie. W zamian rozjaśnił mi się umysł i przypomniałam sobie, że rewelacyjnych informacji o znalezionej przez nas dziewczynie Lalka udzielała mi wczoraj już po przyjściu Krzysztofa i tego drugiego. Skrupulatnie obejrzałam trzech otaczających nas mężczyzn. Niepozornego szatyna wyliniałego na czubku głowy wśród nich nie dostrzegłam. Pozostanawiałam się przez chwilę i doszłam do wniosku, że „pan Roman”, którego wczoraj razem z Krzysztofem wprowadziła Lalka, był ze zwyczajnej policji.

Zaczęłam szybko wymyślać pretekst, który pozwoli mi porozmawiać z Lalką w cztery oczy. Musiałam uzyskać od niej jeszcze przed wyjazdem informację, do którego z prokuratorów można mieć tyle zaufania, by w razie czego zainteresować go aferą Marcina. Zrobić to musiałam delikatnie, nie mówiąc nic o jego zwierzeniach, nie byłam bowiem pewna, czy ona sama nie musi zawiadomić kogoś, jeżeli dotrą do niej informacje o przestępstwach. Gdy wróciłam do rzeczywistości, Krzysztof właśnie tłumaczył:

- Dzięki zbiegowi okoliczności policja odkryła, że upadek tego podestu nie był kwestią przypadku. Jak tylko pogotowie ratunkowe zawiadomiło, że ofiarą wypadku jest prokurator, dyżurny z Komendy Miejskiej Policji wysłał na miejsce ekipę dochodzeniową dla zabezpieczenia śladów. Chodziły po Łodzi pogłoski, że prokuratorom grożono śmiercią, choć tym razem nie było ofiary...

- Jak to nie było!? - z oburzeniem wykrzyknęła Lalka. - Ja byłam ofiarą! Chyba że chciał pan powiedzieć, że nie było denata - dodała z urazą.

- Chodzi o to - z zakłopotaniem sprostował Krzysztof - że te groźby dotyczyły prokuratorów z pionów śledczych. Kiedy do komendy dotarła informacja, czym się pani w prokuraturze zajmuje, ślady były już zidentyfikowane. Ustalono, że należały do dwóch zasłużonych kryminalistów i podejrzewanie ich o dobrowolne wchodzenie na rusztowania w środku nocy dla jakiegoś chuligańskiego dowcipu nie miało sensu. Z rozpędu policja sprawdziła jeszcze, że ci dwaj nigdy na tej budowie nie pracowali i nikt ich tam nie znał. Przy okazji okazało się też, że podesty były na rusztowaniach wyjątkowo solidnie zamocowane i do oderwania tego jednego należało dołożyć dość znacznego wysiłku, co z kolei wykluczało przypadkowy wygłup. Wyglądało na to, że to zamach na panią prokurator, co znowu nie miało jednak żadnego sensu. Gdy te wyniki trafiły do komendanta, akurat byłem u niego, bo to CBS przypadło prowadzenie śledztwa w sprawie znalezionej przez obie panie martwej dziewczyny. Komendantowi z niczym się ten zamach nie kojarzył, mnie trochę, przez tę znaną zamordowaną. Na wszelki wypadek dostała pani ochronę po opuszczeniu szpitala.

- Co takiego! - z oburzeniem wykrzyknęła Lalka. - Ktoś za mną łąził?

- Właśnie. I wczoraj trafił za panią na ten napad w windzie.

- Nie rozumiem. - Uznałam, że milczałam już zbyt długo. - Co winda ma z tym wszystkim wspólnego? Przecież uszkodzona została moja sprzątaczką, a nie Lalka!

- Co się stało z panią Honoratą? Czy ona nie żyje? - wtrąciłam.

- Niestety tak. To znaczy nie żyje. Mamy do czynienia z kolejnym zabójstwem. Od razu, jak wyszło, że to może nie być przypadek, przyjechaliśmy do pani. Na miejscu okazało się, że ofiarą mogła być właśnie pani - zwrócił się do mnie Krzysztof. - Ze względu na ubranie i ogólne podobieństwo. Albo więc ktoś usiłuje obie panie usunąć z tego świata, albo po Łodzi szaleje psychopata.

- Jak to podobna? W ogóle nie była do mnie podobna! - zaprotestowałam. - Miała podobny kolor włosów i ubranie, ale przecież była ze dwadzieścia lat starsza. Tylko ślepy mógł nas pomylić - dokończyłam ciszej, przykro mi się bowiem zrobiło z powodu śmierci pani Honoraty. Nie lubiłam jej, ale uciechy jej śmierć mi nie dostarczyła, nawet wręcz przeciwnie. A na myśl, że zginęła zamiast mnie, zrobiło mi się jeszcze bardziej niewyraźnie.

- Wyszła z pani mieszkania. Dla kogoś, kto pani nie znał, w dodatku mężczyzny, te różnice między panią a pani sprzątaczką mogły być nie do uchwycenia. Wsiadł za nią do windy i wysiadł piętro lub dwa niżej - stwierdził wyłysiały i wymięty szatyn.

- No i znowu obie panie wiąże ta znaleziona denatka. Ona też pochodziła z Łodzi - podjął wyjaśnienia Krzysztof. - Wszystko to łączy się trochę słabo, ale na razie nie mamy nic

więcej. Przyjęliśmy roboczą hipotezę, że miały miejsce zamachy na obie panie i że są one w jakimś związku z tą znaną dziewczyną.

- Zaraz, zaraz - oprzytomniałam. - Musicie wiedzieć, a przynajmniej podejrzewać, z jaką aferą łączy się ta dziewczyna. Myśmy ją znalazły przypadkowo, potem znów były same przypadki. Afera też jest przypadkowa? Nie wierzę w takie nagromadzenie przypadków.

- Podejrzewamy - uprzejmie odpowiedział trzeci, dotychczas niemy, i zamilkł, sprawiając wrażenie, że następne słowo wydusi z siebie po upływie co najmniej doby.

- Oczywiście nic nam nie powiecie? - bez nadziei spytała Lalka.

- Nie możecie nam oczu mydlić, że to ze względu na dobro śledztwa - wtrąciłam się. - Po pierwsze, obie jesteśmy zainteresowane, a po drugie, nie takie już informacje w tym mieście były rozpowszechniane, i to z pomocą tak zwanych środków masowego przekazu. Z naszej strony nic takiego nie grozi, wyrwane do kontaktów z mediami nie jesteśmy. O tym, że stałyśmy się celem bandytów, też rozgłaszać nie będziemy. Na karierze politycznej również nam nie zależy.

- Wyjaśniać jednak w szczegółach niczego nie możemy - spokojnie stwierdził mój urodziwy blondyn. - Chcemy tylko prosić o pomoc. Proszę opowiedzieć nam o dziwnych rzeczach, zdarzeniach, które spotkały obie panie po znalezieniu... a właściwie po powrocie z Niemiec. O każdym dziwnym zdarzeniu. Przede wszystkim niespodziewanym, nieprzewidywalnym...

Uczciwie zastanowiłyśmy się obie, po czym Lalka oznajmiła, że żadne niespodziewane zdarzenie jej nie spotkało, poza tym, że zaatakował ją podest niejako u wrót własnego mieszkania. Jediną nieplanowaną okolicznością było przekształcenie się spokojnej kolacji z kuzynką w „Borku” w ucztę z udziałem Briana i moim, co poprzedzało ten atak. Ponadto codziennie pracowała w nadgodzinach, nie chciała bowiem pozostawiać zaległości, wyjeżdżając na urlop.

Ja ze swej strony im nie pożałowałam. Opowiedziałam o dziwnym i niepojętym dla mnie zjawisku dotyczącym samochodu Marka, który zabrany przez niego z parkingu restauracji przestał nagle mieć hamulce, dołożyłam opowieść o próbie przejechania mnie i Haliny przez szaro-białą zmasę i na zakończenie oświadczyłam, że życzę sobie pożegnać przed długotrwałą podróżą ukochaną przyjaciółkę bez udziału osób postronnych. Zaćmienia umysłowego chyba doznałam, nic bowiem nie pomyślałam, kiedy ku mojemu zdumieniu wszyscy opuścili apartamenty Lalki bez protestów. Wzięli jedynie ode mnie adresy ukochanych przyjaciół, których zdarzenia dotyczyły, co nie zmartwiło mnie zbytnio, nie takich im bowiem atrakcji życiowych dostarczałam.

Dyplomatycznie przystąpiłam do ustalania, który z prokuratorów nada się Marcinowi do zawarcia umowy o świadku koronnym. Dyplomacji szczególnej nie potrzebowałam, Lalka była bowiem nad wyraz wzburzona faktem, że policja od kilku dni śledziła ją bez jej wiedzy i zgody.

- Popatrz tylko - mówiła zdenerwowana - co za obyczaje teraz nastąpiły. Mnie, prokuratora, policja śledzi, nikogo o zgodę nie pytając. Jakby im wyszło, że mam gacha i do niego chodzę, nikt by nie wiedział, skąd taka informacja pochodzi, ale jakbym chciała gacha ukryć, zaraz by mi się jakiś gnojek odmeldował i za ukrycie informacji przysługi domagał.

- Ale gacha nie masz i nic nie odkryli. W każdym razie w ciągu tych kilku dni, kiedy ogon miałaś - pocieszałam ją bez przekonania.

Przyszło mi bowiem na myśl, że mnie oni też teraz pewnie jakiś ogon przyczepią, a ja miałam do załatwienia sprawę Marcina, było to zaś coś, co na pewno powinnam ukrywać. Rozwiązanie problemu, jak to zrobić, pozostawiłam sobie na później, próbując wydobyć z Lalki informację, któremu z prokuratorów w Prokuraturze Okręgowej rzeczywiście można zaufać. Ona sama - miotając się między spakowanymi już bagażami, decyzją, czy jechać już i stawić się na czeskiej granicy w środku nocy, przeczekując do świtu na poboczu w samochodzie, czy wyruszyć jutro wczesnym rankiem, przekroczyć granicę jak normalny człowiek w godzinach popołudniowych i jak jednostka ludzka przespać noc w Czechach w wynajętym pokoju - udzielała pożądaną przeze mnie informacji niechętnie, robiąc między nimi duże przerwy poświęcone rozważaniom, jak cywilizowany Europejczyk powinien po świecie podróżować. Pomijając kontrowersję, czy Polska już należy do Europy, zgodne byłyśmy, że podróże nie mogą polegać na nocowaniu pod mostem i myciu w przydrożnych, przynależnych do stacji benzynowych toaletach. Ta wymiana informacji i poglądów tak nas zajęła, że byłabym zapomniała zapisać, że godzin zaufania w wydziale śledczym prokuratury jest jej zdaniem jedynie Zbyszek Maciejewski, współpracujący zwykle ze śledczym w policji o nazwisku Rybarczyk i imieniu Lalce nieznanym.

Tenże Zbyszek Maciejewski był, zdaniem Lalki, odporny nie tylko na wszelkie protekcje i perswazje, ale sprawy swoje przygotowywał rzetelnie, pary o nich z gęby przed czasem nie puszczał i działania kolegi, który za gwiazdę medialną robił, miał co najmniej w głębokiej pogardzie. Na skutek pracowitości i starannego zbierania dowodów osiągał w sądzie imponujące wyniki, co kolegów kłuło w oczy, i nie tylko.

Wyboru wielkiego na razie nie miałam i opinii Lalki musiałam zawierzyć. Zaraz od poniedziałku postanowiłam poszukać naszych wspólnych kolegów, którzy podjęli pracę w poli-

cji, o Maciejewskim i Rybarczyku możliwie dużo się dowiedzieć i dopiero wówczas podjąć decyzję, do kogo iść ze sprawą Marcina.

Ostatecznie zostawiłam Lalkę, nadal miotającą się pomiędzy bagażami i coraz mniej zdolną do podjęcia decyzji. Uznałam, że tę kwestię załatwi upływ czasu, zaczynało się już bowiem późne popołudnie albo może wczesny wieczór i ruszanie o tej porze w stronę granicy gwarantowało spędzenie nocy za kierownicą.

To, że mogą mnie śledzić, wcale mi nie przeszkadzało. Najwyżej samochodu mi popilnują. Trochę przykro mi było, że najprzystojniejszy z blondynów okazał się zainteresowany mną zawodowo, a nie osobiście. Trudno, nie można mieć wszystkiego naraz, a jeśli nieznani mi bandyci okażą się wytrwali, to spotkam go przy okazji następnego zamachu na moje życie. Możliwości, że mnie skutecznie zabiją, z nieznanых powodów poważnie pod uwagę nie brałam.

Do ordynarnego podrywu i otwartego leczenia na faceta nie byłam zdolna. Wychowana przez babcię, która nieustannie ostrzegała mnie, że jawne i natarczywe awanse raczej zrażają mężczyzn, niż ich zachęcają, wyhodowałam w sobie coś, co stawiało wewnętrzny opór, gdy tylko chciałam się posunąć poza zachęcające uśmiechy i milczącą aprobatę starań o moje względy. Nachalne podrywanie nigdy w moich możliwościach nie leżało. W czasie studiów nikogo podrywać nie musiałam, z niemałej grupy ubiegających się o moje względy łaskawie zaakceptowałam zabiegi mojego byłego męża, co nie pozbawiło nadziei pozostałych adoratorów, ignorujących konsekwentnie fakt mojego zamażpójścia. Po rozwodzie i wyjeździe za granicę również na brak towarzystwa nie narzekałam, a w żadne związki nie wikłałam się z tej przyczyny, że właściwego mężczyzny nie udało mi się spotkać. W Polsce, zaaferowana rozwijaną właśnie działalnością gospodarczą, udzielałam się towarzysko rzadko i raczej ostrożnie, natykałam się bowiem głównie na sytuacje, gdy wspólne zjedzenie kolacji czy wyjście do teatru uznawane było za wstęp do związku, a co najmniej preludium do zakończenia wieczoru w łóżku. Zwykle nie miałam na to ochoty, głównie z tej racji, że towarzyszący mi w rozrywkach facet nie wzbudzał we mnie gorących pozytywnych emocji. Awansów, czynionych przez klientów w czasie podróży zagranicznych, pod uwagę nie brałam. I teraz właśnie spotkałam mężczyznę, który wzbudził moje pozytywne emocje. I co? I chała.

Postanowiłam opracować plan na skuteczne zgubienie ogona. Zastanawiałam się nad tym przy niedzielnym sprzątanii, usuwając wspomnienia po pożegnalnym przyjęciu Lalki.

Miałam zajęte głównie ręce, umysł mógł pracować. Tylko raz mi przeszkodzone. Zadzwoił Marek.

- Jak ty kogoś ubiłaś moim samochodem, zrobiłaś to bezśladowo. Chcę wiedzieć jak, bo też mam takiego jednego, którego chętnie przeniosę do lepszego świata - rozpoczął.

Czynniki śledcze działały pomimo niedzieli. Przesłuchali Marka na okoliczność braku hamulców i z całego przesłuchania wyniósł przekonanie, że uczyniłam komuś krzywdę, żadnych śladów nie pozostawiając. Wyjaśniłam sprawę, prawdopodobnie mętnie, bo coś mi się plątało, że mam zachować dyskrecję. Zachwiał się jedynie nieco w przekonaniu, że używałam jego samochodu przez cały dzień bez hamulców. Z żalem też rozstał się z myślą, że nie znam sposobu na usunięcie wrogiego osobnika bez pozostawiania śladów.

Telefon Marka zmącił trochę moje myśli, ostatecznie jednak postanowiłam wykorzystać specyficzny i od lat utrwalony obyczaj prowadzenia remontów ulic w Łodzi. W kierunku północ-południe można się zwykle przemieszczać bez przeszkód i nie zdarza się, by te ulice były jednocześnie wyłączane z ruchu. Ulice prowadzące ze wschodu na zachód i odwrotnie, z reguły jednokierunkowe, zawsze były remontowane w tym samym czasie. W rezultacie takich decyzji, niezrozumiałych dla normalnych użytkowników, ale niewątpliwie podjętych w imię wyższych racji, przemieszczenie się ze wschodu na zachód wymagało objechania połowy miasta. Obecnie właśnie trwały remonty i fakt ten postanowiłam wykorzystać dla zgubienia ogona, a przede wszystkim ustalenia samochodu, którym ten ogon będzie się za mną poruszał.

W poniedziałkowy poranek przystąpiłam do wykonywania planu. Zasadziłam się przy telefonie, pragnąc uzyskać od informacji telefonicznej aktualny numer mojego przyjaciela ze studiów, który trafił do policji, i o ile dobrze słyszałam, jeszcze go z niej nie wyrzucili. Zaczęłam od grzecznej prośby o numer Jacka Rzetelskiego, który telefon na pewno miał, ale ten figurujący w moim notesie okazał się nieaktualny. Pani z informacji grzecznie mi odpowiedziała, że numeru nie poda. Nie wierząc w to, co usłyszałam, usiłowałam jej wytłumaczyć, że numer znajomego, który miałam, okazał się nieaktualny. Być może go zmienił, a może zmienił adres, w każdym razie na pewno ma inny numer telefonu. Na to pani z informacji spytała o aktualny adres Jacka Rzetelskiego, informując, że być może będzie mogła pomóc. Pomijając fakt, że jego adres nigdy mi nie był do szczęścia potrzebny, z całą pewnością nie znałam aktualnego. Beznadziejnie usiłowałam więc wytłumaczyć, że jak mi poda wszystkich Jacków Rzetelskich, którzy przecież nie mogli występować w tysiącach egzemplarzy, znajdę sobie właściwego. W odpowiedzi usłyszałam, że to niemożliwe. Ochrona danych osobowych.

Wzięłam głęboki oddech, szybko sobie samej wyjaśniając, że w informacji telefonicznej nie muszą pracować tytany intelektu. Odwołałam się do faktu, że gdybym miała aktualną książkę telefoniczną, to wszystkich Rzetelskich mogłabym znaleźć i obdzwonić bez jej pomocy. Przyznała mi rację, dalej odmawiając informacji, gdyż aktualnej książki telefonicznej nie ma, a niektórzy Rzetelscy nie podpisali zgody na ujawnianie swych numerów, co muszą zrobić zgodnie z ustawą o ochronie danych osobowych. Gdyby to oświadczenie podpisali, to co innego. Nie podpisali, więc nic zrobić nie może.

- Ale nie zastrzegli sobie numerów i normalnie byliby w książce telefonicznej? - pytałam z coraz mniejszą nadzieją na uzyskanie satysfakcjonującej mnie odpowiedzi.

- Tak. Ale takiej książki nie ma - stanowczo odpowiedziała mi informacja telefoniczna, kończąc dyskusję.

Pytanie, po co w takim razie istnieją, skoro nie wolno im podawać numerów telefonicznych, zawisło w powietrzu. Oblędna ustawa o danych osobowych dopadła mnie osobiście. Nie pozostało mi nic innego jak bezpośredni kontakt.

Przypomniałam sobie jeszcze jednego z kolegów, który być może nadal pracuje w policji, i udałam się na parking, rozpoczynając wprowadzenie w życie podstępного planu pozbycia się ogona.

Na parkingu starannie obejrzałam wszystkie stojące pojazdy, ale żadnego obcego nie dostrzegłam. Obejrzałam jeszcze ulicę, przy której istniał parking, zakładając, że powinnam w samochodzie dostrzec jakąś postać. Zamiary powiodły mi się średnio.

Od wczesnego dzieciństwa jestem krótkowidzem. Z bliska widzę doskonale, okularów używam do prowadzenia samochodu i do niczego więcej. Przyjaciele znają moją przypadłość i nie obrażają się, gdy ich nie dostrzegam. Z reguły zresztą poznaję ich po sylwetce i po ruchach, więc widok twarzy nie jest mi do niczego potrzebny. Poza tym jestem babą, a połowę ludzkości, jak wiadomo, stanowi rodzaj męski, który ma obowiązek pierwszy kłaniać się kobietom. Na takie ukłony zawsze uprzejmie odpowiadam, nawet jeżeli osobnik z nikim mi się nie kojarzy. Co prawda, kilkakrotnie zdarzało mi się być podrywaną na uprzejmy ukłon, ale przykrości szczególnej mi to nie sprawiło, więc stałego noszenia okularów nadal nie uznawałam za konieczne.

W obecnej sytuacji dostrzec mogłam kogokolwiek jedynie w najbliższych pojazdach. Zaniechałam zatem bezprzedmiotowych usiłowań, zakładając, że przydzielony mi ogon ujawni się, gdy ruszę. Zidentyfikuję go na ulicach miasta i podstępnie zgubię. Informacje, które chcę zdobyć, do tajemnic zawodowych nie należą i pytani o nie znajomi udzielą mi ich

bez oporu. Gdyby jednak ktoś zaczął się zastanawiać, na co mi one, tajemnica Marcina może wyjść na jaw. Na tym zaś zupełnie mi nie zależało.

Skomplikowany plan zaczęłam realizować nieprawidłowo, wycofując samochód z parkingu przy Jaracza na Uniwersytecką. Jeżeli ogon stał przy Jaracza, jedynej ulicy, na którą powinnam zgodnie z przepisami wyjechać z parkingu, powinien powtórzyć mój manewr, cofając auto na jednokierunkowej na tym odcinku ulicy. Specjalnie zacząłam się za rogiem, żeby poczekać na naśladowcę, jednak bez rezultatu. Przejechałam więc krótki odcinek Uniwersyteckiej z zamiarem skręcenia w lewo w Narutowicza, co było dość trudne. Ulica Narutowicza była bowiem w tym miejscu bardzo ruchliwa, dodatkowo zaś uszczęśliwiała kierowców intensywnym ruchem tramwajów. Za mną ustawił się brudnobiały golf, również sygnalizując zamiar skrętu w lewo. Wymuszając pierwszeństwo, wyskoczyłam na Narutowicza, przejechałam kawalek, szczęśliwie niezatrzymana przez stojący na przystanku tramwaj, i skręciłam w prawo w Tramwajową. Przy ulicy tej, w zasadzie w centrum miasta, znajduje się najstarsza w Łodzi zajezdnia tramwajowa, co na jezdni owocuje kłębowskiem szyn pomiędzy „kocimi łbami”, którymi wybrukowano ulicę na początku ubiegłego wieku, nie zmieniając tego stanu do dzisiaj. Niewielu kierowców jeździ tędy dobrowolnie. Dlatego właśnie wybrałam tę ulicę dla zidentyfikowania ogona, który będzie się za mną ciągnął. Zobaczyłam we wstecznym lusterku brudnobiałego golfa i coś zielonego za nim. Przejechałam na wprost pod wiaduktem, utrzymując szaleńczą na tym odcinku szybkość czterdziestu kilometrów na godzinę. Brudnobiały golf i zielone cokolwiek żwawo podążyły za mną. Ponownie zlekceważyłam pierwszeństwo poprzecznej ulicy Tuwima i przeskoczyłam ją na wprost tuż przed nadjeżdżającym autobusem. Wyminęłam trzy uliczki i znalazłam się pod widzewskim komisariatem policji. Przede mną był wyjazd na prawo w główną arterię prowadzącą ze wschodu na zachód, w ulicę Piłsudskiego. Golf i zielony prześladowca byli za mną. Ogon śledczy w postaci dwóch samochodów na mnie jedną wydawał się zbytnią rozrzutnością. Jeden z samochodów musiał być przypadkiem. Wiedziona przecuciem i faktem, że golfa zobaczyłam wcześniej, założyłam, że to on jest moim ogonem. Muszę się go w miarę szybko pozbyć, inaczej dojadę do komendy wojewódzkiej po zakończeniu godzin urzędowania.

Przejechałam skrzyżowanie z Kilińskiego, wyczaiłam czerwone światło i przy Sienkiewicza ustawiłam się na pierwszym prawym pasie dojazdu na wprost, po czym niespodziewanie zjechałam na skrajny prawy pas, skręciłam w Sienkiewicza i po przejechaniu dwudziestu metrów zjechałam w lewo w jednokierunkową ulicę Roosevelta. Jej wylot prowadził na Piotrkowską, w tym miejscu wybrukowaną kostką, uniemożliwiającą ruch kołowy. Technologia produkcji tejże kostki wykluczała poruszanie się po niej obiektów cięższych od pieszego, i to

przez okres dłuższy niż pięć lat. Fakt, iż kostka posiada takie właśnie właściwości, stwierdził odpowiedni instytut Politechniki Łódzkiej. Nikogo to jednak nie wzruszyło, bo kilka tygodni przed ogłoszeniem wyników ekspertyzy został zawarty kontrakt z wykonawcą. Od tego czasu po raz kolejny tenże wykonawca nie tylko poprawiał odcinek już wyłożony kostką, oczywiście nie w ramach reklamacji, ale za każdym razem na nowo opłacanego remontu, ale również dokonywał wykładania produkowaną przez siebie kostką dalszych odcinków Piotrkowskiej. Uwzględniając fakt, że cała ulica ma długość dwunastu kilometrów, a odcinki podlegające jednorazowo remontowi miały około pół kilometra, wykonawca zapewnił sobie dożywotni dochód. Niedającą się ukryć korzyścią z położenia kostki było rozszerzanie co roku nieprzejezdnego odcinka ulicy Piotrkowskiej, co rozkosznie dzieliło miasto na jego część wschodnią i zachodnią. Dodatkową korzyścią było to, że odpowiednie organy miasta nie musiały już się martwić i podejmować decyzji, na co wydać kilkaset tysięcy złotych rocznie. Wobec konieczności stałego remontu nawierzchni problem ten miały z głowy.

Zalety owej kostki powodowały, że z ulicy Roosevelta należało wjechać w lewo w Piotrkowską i po przejechaniu piętnastu metrów natychmiast skrócić w prawo w ulicę Piłsudskiego. Liczyłam na to, że o ile nie udało mi się prześladowców pozostawić na skrzyżowaniu, zidentyfikuję ich na Roosevelta. Odcinek Piłsudskiego pomiędzy Sienkiewicza a Piotrkowską wykluczał wiekowanie tam w jadącym samochodzie, a istniejący parking zapchany był stale do granic możliwości i o tej akurat porze można było co najwyżej bardzo ostrożnie przez niego przejechać, bez jakiegokolwiek możliwości zatrzymania. Jeżeli ogon nie wjedzie za mną na Roosevelta, musi dalej pojechać Piłsudskiego i ja znajdę się za nim. Nikt za mną nie wjechał. Ja też nie mogłam się tu zatrzymać, ulica obstawiona była samochodami do imentu, symulowałam więc wjazd w bramę, okazując rażącą nieudolność i ślamazarność, po czym czołgając się, dojechałam do Piotrkowskiej, by natychmiast skrócić w prawo. W ten sposób znalazłam się szczęśliwie po zachodniej stronie miasta, a Komenda Wojewódzka Policji była do osiągnięcia w ciągu kilku minut.

Obrzydliwego brudnobiałego golfa i towarzyszącą mu zieloną zmazę dostrzegłam natychmiast przy skręcaniu w równoległą do Piotrkowskiej aleję Kościuszki. Jeżeli był to mój ogon, nie udało mi się go zgubić, co wypełniło mnie wstrętem i odrazą do prześladowcy. Pozostało mi tylko jedno.

Mogłam się zgłosić do komendy miejskiej z legalnym i niewinnym pytaniem o panią Honoratę, wymusić rozmowę z kimkolwiek, kto będzie mógł o tej sprawie ze mną gadać, i wydrzeć z niego informację, jak skontaktować się z Jackiem Rzetelskim. Działanie nie było skomplikowane, wymagało ode mnie jedynie ponownego przedostania się na wschodnią stro-

nę miasta, co proste nie było, gdyż na jednokierunkowych ulicach tam prowadzących dokonywano akurat prac remontowych. Lekceważąc jadących za mną prześladowców, przejechałam całą długość alei Kościuszki, skręciłam w prawo w Północną i w ten sposób przedostawszy się ponownie do wschodniej części miasta, czołgałam się przez jakieś trzysta lat wzdłuż Kilińskiego w rytmie tramwaju, za którym się właśnie znalazłam, aż do Tuwima, gdzie skręciłam w prawo, by dostać się na jednokierunkową ulicę Sienkiewicza, przy której znajduje się Komenda Miejska Policji. Wolnych miejsc do parkowania oczywiście nie było, a postój przed komendą był surowo wzbroniony. Ktokolwiek miał interes do policji, z parkingu korzystać nie miał prawa.

Parkowanie przy Sienkiewicza na tym akurat odcinku miałam opanowane. Przypadkiem zupełnie wjechałam kiedyś w bramę, która miała przejezdne podwórko do parkingu przy sąsiedniej ulicy, choć pokonywać przy tym trzeba było niewyobrażalne wertepy. Pozostawiłam bez troski samochód na owym podwórku, przelotnie zastanawiając się, jak z tym problemem poradzi sobie mój ogon, i podążyłam do komendy.

Przedwojenny budynek komendy miejskiej z zewnątrz prezentuje równie przedwojenną elegancję. Szerokie stopnie, prowadzące do wysokich drzwi z ciemnego drewna, nie psują pierwszego korzystnego wrażenia. Wejście do środka radykalnie to zmienia. Po przekroczeniu progu znalazłam się w obskurnym i ciasnym pomieszczeniu zakończonym ponurą kratą. Zapach brudnej szmaty w połączeniu z wonią zastarzałych niedopałków pogłębiały poczucie dyskomfortu.

Po prawej, za szklaną szybą pyszniła się dyżurka w zielonoseledynowych odcieniach, akcentowanych czernią urządzeń tele-i telefonokomunikacyjnych. Szerokość blatu za szybą wykluczała nie tylko dyskretne, ale nawet ciche porozumienie z dyżurnym policjantem. Mówić trzeba było nie tyle głośno, ale wręcz bardzo głośno. Mała, na wysokości pasa położona dziurka w szybie dobrze zabezpieczała dyżurnych przed głosem interesantów. Na pierwszy rzut oka było widać, że policja jest bezpieczna i niezainteresowana żadnymi tajemnicami zwierzanymi szeptem. Ktokolwiek tu wszedł, nie powinien mieć nic do ukrycia.

Facet stojący przed szybą trzymał za ramię niewielkiego chłopca i ryczał do dyżurnego. Z całą pewnością nie miał nic do ukrycia. Złapał młodocianego przestępcę na kradzieży radia z własnego samochodu, doprowadził do komendy i oto domagał się teraz od policji podjęcia odpowiednich kroków - wyrzaskiwał pokrzywdzony do łagodnie uśmiechniętego za szybą policjanta, bezwiednie potrząsając sprawcą. Dyżurny poruszył ustami, żaden dźwięk do nas nie dotarł. Policjant zobaczył, że go nie słyszymy, coś pstryknęło i przemówił do nas głośnik. Dyżurny, nadal łagodnie się uśmiechając, mówił do mikrofonu. Sprawca jest znany z wielu

takich kradzieży od lat. Policja otóż nic w tej sprawie nie może zrobić i małolata należy natychmiast puścić, gdyż ograniczanie jego wolności osobistej jest nielegalne. Gówniarz podleża sądowi dla nieletnich i odpowiedni wniosek, owszem, można skierować, ale do tego należy sporządzić protokół. Taki protokół można będzie sporządzić za jakieś dwie, może trzy godziny, jeżeli szanowny pan zechce poczekać. Informacja zastopowała faceta radykalnie. Z otwartymi ustami przyglądał się dyżurnemu.

Zapadła nagle ciszę przerwał huk zamykających się drzwi. Wszedł następny interesant. Był to wysoki, chudy facet w dresie z kreszu i resztkami brązowych tłustych włosów wokół opalonej łysiny. Odruchowo wszyscy na niego spojrzeli, co spowodowało, że nieco się spłoszył. Facet z małym złodziejem zamamrotał. Słowa, które wypowiedział, niewątpliwie można było uznać za obelżywe. Dyżurny za szybko pochylił się nad mikrofonem i z naciskiem poinformował wszystkich obecnych, że używanie słów obelżywych pod adresem policji jest karalne, a odpowiedni protokół i przesłuchanie obecnych przy tym świadków można sporządzić natychmiast i jeszcze dziś przesłać sprawę do prokuratury w celu sporządzenia aktu oskarżenia, więc jeżeli szanowny obywatel chce, to mogą się nim zaraz zająć. Obywatel nie chciał. Puścił małolata i z niezrozumiałym rykiem wyskoczył za drzwi.

Przyszła moja kolej. Łgarstwa jakieś musiałam wygłosić, i to na tyle intrygujące, żeby dyżurny dopuścił mnie przed oblicze prowadzącego śledztwo. Nawet nieźle mi poszło. Naplotłam coś o zwierzeniach pani Honoraty w dzień śmierci, o obawach o życie i odmówiłam dalszych zeznań, domagając się kontaktu z osobą, która prowadzi śledztwo. Widziałam wyraźnie, że policjant musiał przełamać opory wewnętrzne, by sięgnąć po słuchawkę. Mówił coś do niej, ale treść była mi niedostępna ze względu na szybę. Potem głośnik mnie powiadomił, że mam poczekać. Ustąpiłam miejsca przed szybą następnemu interesantowi, ale facet w kreszowym dresie zmył się po cichu za moimi plecami. Tylko drzwi ponownie huknęły.

Czekałam może kwadrans, gdy za kratą pojawił się szatyn z gatunku tych, co to go od ściany trudno odróżnić. Dodatkowo ubrany był na szaro i wtapiał się w koloryt korytarza. Zauważyłam go tylko dlatego, że krata szczęknęła i uchyliła się. Zostałam zaproszona do środka. Przeszliśmy w milczeniu dwa piętra i koło kilometra korytarzy. Osobnik otworzył drzwi, zapraszając do klitki, w której stały dwa prostopadłe ustawione do siebie biurka. Żeby usiąść za tym na wprost drzwi, trzeba było przycisnąć się między ścianą a bokiem biurka, co mój towarzysz wykonał z dużą wprawą. Za biurkiem po prawej siedziała blondynka, równie niepozorna jak gospodarz pomieszczenia. Dla mnie zostało krzesło ustawione tyłem do drzwi i przodem do okna. Z prawej przestrzeń ograniczało mi biurko blondynki. Blaty obu biurk były puste. Szatyn sięgnął do szuflady i wyjął akta. Przed blondynką pojawił się formularz

przesłuchania. Wciąż w milczeniu wręczyłam jej dowód osobisty. Wiedziałam, jakie dane musi wpisać, i dowód był potrzebny. Blondynka pisała. W milczeniu przyglądaliśmy się sobie z szatynem. Padło na mnie. To mnie zależało na nawiązaniu kontaktu i nakłonieniu do ujawnienia, jak mogę dotrzeć do Jacka Rzetelskiego. Z łagodnym smutkiem wyznałam, że śmierć pani Honoraty stanowi dla mnie cios i głębokie przeżycie. Skłonna jestem do wszystkiego, byle tylko znaleźli sprawców, choć sama nie wiem, jak mogłabym organom ścigania pomóc.

Wyznanie nastawiło szatyna pozytywnie. Spisaliśmy protokół, z którego wynikało, że zmarła pracowała u mnie raz w miesiącu, że dni te były każdorazowo uzgadniane i z reguły nie powtarzały się. Bez oporu opisałam ostatnie minuty życia pani Honoraty, kończąc tym, że po zamknięciu za nią drzwi udałam się do łazienki i nie wiem, co się dalej działo. O tragedii dowiedziałam się następnego dnia. Lalkę z jej sensacjami starannie pominęłam, nie zależało mi bowiem na uniemożliwieniu jej wyjazdu za granicę, a co się działo na dole, mógł powiedzieć każdy z kłębiącego się tam tłumu. Uczestników tłumu policja sobie niewątpliwie spisała i jest w tej mierze lepiej zorientowana ode mnie. Grzecznie przeczytałam przed podpisaniem protokół, uwag żadnych nie zgłaszałam i przystąpiłam do dyplomatycznego załatwiania sprawy, dla której tu przyszłam. Na wstępie z uśmiechem powiadomiłam przesłuchującego mnie Andrzeja Mirskiego (personalia znałam z protokołu), że w policji mam wielu kolegów i sama instytucja jako taka cieszy się moją sympatią, również i z tego względu. Ostatnio szukam Jacka Rzetelskiego, zaprzyjaźnionego ze mną w czasie studiów. Zmienił on numer telefonu, a chciałabym go znaleźć. Zależy mi.

Facet za biurkiem, nieznaney mi rangi, gdyż abstrakcyjne, z niczym się niekojarzące słowo, w którym „komisarz” występowało z „nad”, „pod” lub „sub”, wyrzuciłam z pamięci natychmiast po przeczytaniu, nastroszył się nieco. Zmobilizowałam umysł w celu ustalenia przyczyny owego nastroszenia i wywnioskowałam, że uznał, iż Jacek jest mi potrzebny do nadzorowania sprawy pani Honoraty. W końcu on był z komendy miejskiej, a Jacek urzędował w wojewódzkiej. Niejaka podległość istniała. Mnóstwo wysiłku musiałam włożyć w to, by wytłumaczyć mu, że szukam kontaktu z Jackiem bez jakiegokolwiek związku z panią Honoratą, i do Komendy Miejskiej Policji, a w szczególności do niego osobiście, mam pełne zaufanie i nikomu bruździć nie zamierzam. Organizuję takie prywatne spotkanie kolegów z roku i telefon Jacka do tego celu jest mi absolutnie niezbędny. Rzewnie wspominałam okres studiów, nieomal przysięgając, że każdy, kto zdał prawo cywilne w Uniwersytecie Łódzkim, zasłużył na wejście do nieba, a weteranów tego egzaminu łączy co najmniej więź krwi. Sentymentalnie snułam wspomnienia ze łzami w oczach. Na ocenie mojego stanu umysłowego przez policję wcale mi nie zależało i mogłam sobie pozwalać. Sama sobie wydałam się bez-

nadziejną kretynką, ale w końcu facet zmiękł, wykręcił jakieś cztery numery w telefonie i poprosił Jacka Rzetelskiego, po czym oddał mi słuchawkę.

Jacek zdziwił się, ale i ucieszył. Od razu podał mi swój numer służbowy i prywatny, dodał numer komórki. Obiecałam mu ucieśzną relację z poszukiwania kontaktu z nim i od razu umówiłam się na jutro.

Wielosłownie wyraziłam panu Mirskiemu wdzięczność, podnosząc się z krzesła z zamiarem opuszczenia murów komendy. Facet, mamrocząc coś w odpowiedzi, podniósł słuchawkę, wykręcił tym razem dwucyfrowy numer i powiedział: „Pani wychodzi”, czym zdziwił mnie nieco, żadnych bowiem przepustek mi nie wydawano, a i dostałam się w te mury, nie zwracając na siebie uwagi dyżurnego. Ponownie przeszłam kilometr korytarzy, dotarłam do schodów umieszczonych w centralnej części głównego budynku, zaczęłam pokonywać te dwa piętra w dół i nagle mnie zastopowało. Na podeście pierwszego piętra stał Krzysztof. Wyraźnie czekał na coś albo na kogoś. Piknęło mi w środku, że czeka na mnie. Uruchomiłam ponownie nogi z postanowieniem, że tym razem jakiś kontakt na niego zdobędę.

Wszelkie postanowienia okazały się niepotrzebne. Krzysztof czekał na mnie. Uśmiechnął się radośnie, dostrzegłszy mnie w połowie schodów, i pomachał na powitanie. Serce znowu podskoczyło mi do gardła, ale w pokonywaniu schodów nie przeszkadzało. Pogratulowałam sobie w duchu odpracowania pełnego makijażu przed wyjściem z domu.

- Marzyłam o spotkaniu z panem - rozpoczęłam prowokująco.

- Czyżby? Kogoś spotkało jakieś nieszczęście? - spytał z uśmiechem, podnosząc moją dłoń do powitalnego pocałunku.

- Skąd. Moja tęsknota miała egoistyczną przyczynę - odparłam, obrzucając go spojrzeniem spod skromnie spuszczonej rzesy. - Po prostu przekonał mnie pan wczoraj, że zagraża mi niebezpieczeństwo - dopowiedziałam z półuśmiechem mającym skrywać obawę.

- Pani? Przecież pani niczego się nie boi! - ripostował.

- Najwidoczniej ma pan dużą siłę perswazji. Niedocenianą. Zaczęłam się bać. Cały dzień dzisiaj jeździł za mną biały golf. - Poświęciłam przypuszczalny ogon.

- Naprawdę? Jest pani pewna? - zapytał z zainteresowaniem, w którym wyczułam nutkę fałszu.

- Naprawdę - zapewniłam z niewinnym wyrazem twarzy, patrząc mu prosto w oczy. - Muszę mieć jakiś kontakt na pana. Dzisiaj ukryłam się tutaj. W komendzie policji. I spotkaliśmy się przypadkiem - zawiesiłam głos, sugerując pytanie.

- Pracuję tutaj - wyjaśnił pospiesznie.

- Nie w wojewódzkiej? Chyba na Lutomierskiej byłoby panu wygodniej? - wypytywałam, nie kryjąc zainteresowania jego osobą, trzymał mnie bowiem nadal za rękę.

Wymijający nas mężczyzna - staliśmy przy poręczy na podeście - zakrzyknął „Cześć, Krzychu!”, klepiąc go po plecach ze śmiechem. Krzysztof spłoszył się nieco, puścił moją rękę, ujął pod łokieć i skierował w dół schodów.

- Chyba rzeczywiście musimy porozmawiać, ale nie tu. Nie ma warunków. Bardzo ciasno - wyrzucał z siebie. - Już wiem, pójdziemy do kasyna.

Patrząc od strony głównego budynku, po prawej stronie parkingu, bokiem do ulicy Sienkiewicza stoi budynek robiący wrażenie przerośniętej stróżówki. Tam właśnie mieści się kasyno policyjne i tam też skierowaliśmy się po wyjściu z komendy. Krzysztof nadal trzymał mnie pod łokieć, zmuszając do szybkiego kroku, sam bowiem pospiesznie zdążył do kasyna.

W środku usadził mnie w kąciu przy oknie, zamówił dwie kawy i opadł na krzesło, intensywnie się we mnie wpatrując. Dusza mówiła mi, że jest mną zainteresowany osobiście, pretekstów żadnych nie potrzebuję i rozmawiać możemy o czymkolwiek. Speszyło mnie trochę nagłe milczenie, zapragnęłam nieco go podrażnić.

- Nie wierzy mi pan, czy też ten golf to był mój ogon? - zapytałam z przekornym uśmiechem.

- Skąd ten pomysł?

- Samo się nasuwa. Lalce przypięliście przecież ogon. Bez jej wiedzy i zgody, co, nie ukrywam, było bulwersujące. Jeżeli pomysł, że obie jesteśmy w coś zaplątane, ma jakiegokolwiek podstawy, ja też powinnam mieć ogon. Mam rację?

- Ma pani. - Opuścił spojrzenie na szklankę z kawą, w której właśnie mieszał cukier. - Szkoda, że nie jest pani trochę głupsza - wyrzucił z siebie myśl, która najwidoczniej od jakiegoś czasu go gnębiła.

Dowiedziałam się, że znaleziona przez nas dziewczyna zmarła z przedawkowania narkotyków. Że nie była narkomanką, to wiedzieli. Był tylko jeden ślad ukłucia, właśnie od tego przedawkowania. Poza tym patolog znalazł jakby cień śladu jakiejś substancji odurzającej czy usypiającej. Stąd podejrzenie o morderstwo. Można, co prawda, było przypuścić, że oddawała się nagannej rozrywce w większym towarzystwie, zwykle bowiem po raz pierwszy ludzie aplikują sobie narkotyki przy kimś doświadczonym, ale wówczas nie robiliby tego w samochodzie na środku drogi.

Torbę dziewczyny z jej dokumentami znaleziono w Łodzi, na śmietniku. Nie ulegało więc wątpliwości, że ktoś wysadził ją po drodze, być może już martwą, i sam dojechał do miasta. Szczęśliwy dla władz śledczych przypadek sprawił, że sprawę przekazano do Łodzi.

Gdyby prowadzono ją w Poznaniu, pies z kulawą nogą nie byłby zainteresowany dokumentami wrzuconymi do łódzkiego śmietnika i personalia ofiary pozostałyby tajemnicą. Szansę, że wszystkie te czynności wykonał narkoman, będący pod działaniem wspólnie ze zmarłą przyjętych narkotyków, były znikome, tym bardziej że nie zapomniał o odciskach palców. Od rodziny zmarłej policja dowiedziała się, że szukała ona pracy. Miała atrakcyjną propozycję, pracodawca był Niemcem lub też w Niemczech mieszkał, a interesy prowadził w Polsce, w każdym razie paszport był jej niezbędny. Dziewczyna wyszła z domu z paszportem i niewielkim bagażem. Wtedy rodzina widziała ją po raz ostatni.

- Nie bardzo widzę, jak to wszystko miałyby łączyć się z nami. To znaczy z Lalką i ze mną. Jednostkowy fakt, że Lalka się na nią natknęła, o niczym nie świadczy. Dziewczynę mógł znaleźć ktokolwiek. Dlaczego uważa pan, że to ma jakiś związek? - spytałam zaintrygowana.

- Te zamachy na obie panie są faktem. Udało nam się ustalić, że brak hamulców w samochodzie pani znajomego nie był przypadkiem. Mechanik upiera się, że przewody hamulcowe zostały przecięte - stanowczo stwierdził Krzysztof.

- Dlaczego jednak łączy pan to ze znaną dziewczyną?

- Czy w ciągu ostatnich kilku tygodni robiłyście panie coś innego wspólnie? Uczestniczyłyście razem w jakimś zdarzeniu? - odpowiedział mi pytaniami.

Zamyśliłam się na chwilę. Faktycznie w maju i pierwszych dniach czerwca uczestniczyłyśmy wspólnie w kilku imprezach, głównie imieninowych. Jak co roku zresztą. Na upartego można je było uznać za zdarzenia. Obecni byli na nich nasi znajomi, zaprzyjaźnieni od lat. Nic się tam nie działo, w każdym razie nic takiego, co mogłoby ściągnąć na moją głowę zagrożenie życia. Zagrożenie dla nas obu. Czyli musiałybyśmy wspólnie być świadkami czegoś. Z westchnieniem oderwałam się od wspomniania ekscesów Pawelka, które z całą pewnością nie stanowiły zagrożenia dla życia, jeżeli już, to raczej dla umysłu, i wróciłam do rzeczywistości. Rzeczywistość siedziała przede mną wpatrzona roziskrzonymi, szaroniebieskimi oczami. I serce, i dusza objawiły zadowolenie błogim samopoczuciem. Zmusiłam inteligencję do aktywności.

- Czy nie powinien mi pan pokazać zdjęcia tej dziewczyny? Może ją znam? - zasugerowałam.

- Nie widziała jej pani? - zdziwił się Krzysztof.

- Ja nie. Nie rwę się do oglądania nieboszczyków. Lalka ją widziała, choć myślę, że nie była w najlepszej formie. Znacząca ta dziewczyna. Na jakimś normalnym zdjęciu pokazaliście ją Lalce? Może ją kiedyś spotkała?

- Faktycznie! Co za niedopatrzenie. Trzeba to nadrobić. Pokażę oczywiście zdjęcia. Niewykluczone, że ma pani rację. Pani przyjaciółka już przekroczyła granicę, ale ostatecznie też można jej przesłać zdjęcia - ożywił się Krzysztof.

- Dajcie jej spokój. Jeżeli ja rozpoznam dziewczynę, wtedy będziemy ścigać Lalkę. Jeżeli nie, to znaczy, że obie jej nie znałyśmy wcześniej. Ale to nie jest jedyny pana problem - powiedziałam w natchnieniu.

- Rzeczywiście. Chyba nie powinienem tego mówić, ale na dobrą sprawę jest pani „z branży”. Męczy mnie... - rozpoczął z ociąganiem. - Wie pani oczywiście, że każde śledztwo i dochodzenie nadzoruje prokurator. To śledztwo też podlega nadzorowi. Ze względu na rodzaj przestępstwa podlega nadzorowi Prokuratury Okręgowej. Męczy mnie to, że prokurator, który nadzoruje to śledztwo, koniecznie chce je umorzyć. Ilekroć zjawiam się w prokuraturze z wynikami, słyszę tylko jedną propozycję. Umorzyć.

- Jak to! A śmierć pani Honoraty? Nie chcą tego wyjaśnić? - spytałam z oburzeniem.

- No właśnie. My to wszystko traktujemy łącznie, jak fragmenty tej samej sprawy. Prokurator każdy z tych trzech faktów, bo zamach na pani przyjaciółkę też jest faktem, rozdziela i rozpatruje odrębnie. Żadnego związku nie dostrzega i każde z tych postępowań chce umorzyć - wyjaśniał wyraźnie zmartwiony Krzysztof.

- Mam nadzieję, że to nie Zbyszek Maciejewski? - spytałam podstępnie.

- Skądże. Nie on. Nazwiska pani nie powiem, bo i po co. W zasadzie na upartego mogliby mi teraz zarzucić ujawnianie tajemnic śledztwa. Chociaż, jak to wszystko umorzą...

- Niech się pan nie martwi. Nikomu nie powiem. Ale w łódzkiej prokuraturze pojęcie tajemnicy śledztwa nie jest znane. Gazet pan nie czyta? - powiedziałam nieco rozdrażniona perspektywą niewykrytych, a czyhających na mnie z nieznanymi przyczyn bandytów.

- Słyszałem, że ten Maciejewski jest do rzeczy. Pochopnie w każdym razie niczego nie umarza i umie czekać na wyniki - z rozpędu dodał Krzysztof.

No proszę. Moja wizyta w komendzie przyniosła wszechstronne korzyści. Nie tylko Krzysztofa udało mi się spotkać, duszę i serce ukoić, ale i na następne spotkanie z okazji wzięciem zdjęć mogę liczyć, a jeszcze uzyskałam dodatkową opinię o Maciejewskim. Same korzyści mi ci przestępcy przynoszą. Nie wiadomo, czy nie powinnam im być wdzięczna.

Żegnaliśmy się, a ja podstępnie przygotowywałam kwestię, która powinna doprowadzić do naszego następnego spotkania, gdy zadzwoniła moja komórka i zamiary się wściekły. Krzysztof ucałował mi dłoń na pożegnanie i zniknął, pozostawiając mnie na parkingu komendy. Ostatecznie, nic straconego. Miesiącami z tym okazywaniem fotografii nie będzie się ociagał.

W słuchawce rozpaczliwie zabrzmiała Marylka:

- Przyjedź natychmiast! Ja chyba zwariowałam! Jestem oskarżona! Nie, będę oskarżona!

- Jakiś wypadek? Co się stało? - odrzyknęłam w popłochu.

- Przyjedź zaraz! Jaki tam wypadek! Jestem w domu! No, ogólnie można powiedzieć, że wypadek - odparła i rozłączyła się.

Ogromnie zdziwiło mnie jej podniecenie. Z zawodu fizyk nuklearny, zatrudniona była w Uniwersytecie Łódzkim jako starszy wykładowca i właśnie pisała pracę habilitacyjną. Ani z tytułu zawodu, ani uprawianego namiętnie hobby nie miała zwyczaju wpadania w panikę. Hobby miała dziwne, była bowiem karateką. Zdobywszy różne pasy i kolory, dostąpiła zaszczytu figurowania na listach międzynarodowych sędziów, prywatnie zaś pielęgnowała swoją pasję, prowadząc w jednym z klubów szkółkę karate dla małych dzieci. Nie tylko zawód, ale i uprawiane hobby wymagały od niej opanowania i działania po dojrzałym namyśle, we mnie zaś jej umiejętności wzbudzały nieustanny podziw. Ataki paniki nie zdarzały się jej dotąd nigdy.

Cała moja wiedza o Marylce spowodowała, że ja też wpadłam w panikę. Machnęłam ręką na prześladowającego mnie od rana białego golfa, zignorowałam wertepy, przepychając się do utwardzonego parkingu, i jak strzała pomknęłam do niej, lekceważąc po drodze co najmniej dwa światła żółte przekształcające się właśnie w czerwone i pierwszeństwo przejazdu na Wólczańskiej. W popłochu przypomielałam sobie nazwisko specjalizującego się w sprawach drogowych adwokata. Jak on się nazywał... Wyrwał... Wylazł... Przybył! Tak. Tadzio Przybył. Znałam go, choć był kilka lat starszy ode mnie. Wsławił się tym, że już w czasie studiów drogowki go pasjonowały, szczególnie zaś wyliczenia biegłych sądowych, które wymagały dość skomplikowanych działań matematycznych. Matematyka jest obca duszy prawdziwego prawnika, stąd wśród kolegów wzbudzał podziw tym większy, że wypadki drogowe w opinii ogółu studentów uchodziły za mało interesujące. Tadzio widział w nich poezję i nieomal sens życia, wdając się, już po studiach, podczas praktyki sądowej, w szeroką dyskusję z biegłymi. Co dziwniejsze zaś, często owe spory wygrywał, znał bowiem nie tylko matematykę, nieodzowną biegłym do wyliczania czasu hamowania i innych niezbędnych elementów, ale również zasady fizyki, konieczne przy określaniu ruchu pojazdów, na przykład w przypadku zderzenia, i obrazowo przedstawiane przez wielokierunkowe strzałki uczenie nazywane wektorami.

Przed czteropiętrowymi blokami wzniesionymi za Gomułki, co prawda z cegły, ale w przekonaniu, że lud pracujący nie zasługuje na luksus windy, zjawiłam się z szybkością błę-

skawicy. Zobaczyłam wjeżdżającego z przeciwnego krańca parkingu Bartka, co uspokoiło mnie nieco. Bartek przynależał do Marylki. Był jej starszym, ale zdominowanym przez nią bratem. Oboje mieszkali wspólnie z matką i użytkowali wspólnie posiadany samochód marki Fiat. Samochód był cały i żadnych śladów kolizji drogowej nie nosił. Na wszelki wypadek zatrzymałam się obok Bartka i dokładnie obejrzałam pojazd. Bartek, również karateka, ale rangi nieporównanie niższej niż siostra, także wydawał się zdenerwowany. Dawał temu wyraz, bezwiednie pobrzękując kluczykami.

- Jakiś wypadek? - wykrzyknęłam, obiegając oglądany właśnie samochód.

- Jaki wypadek? - zainteresował się Bartek.

- Miałeś wypadek? - wykrzyknęłam ponownie, podniecenie nie pozwoliło mi bowiem poprzestać na zwyczajnym pytaniu.

- Ja nie. A ty? Miałaś wypadek? - dowiadywał się Bartek.

- Marylka dzwoniła - wyjaśniłam, zaprzestając galopu.

- Miała wypadek? - zaniepokoił się Bartek.

Runęliśmy do drzwi klatki schodowej. Bezmyślnie pomijając fakt, że nawet jeżeli Marylka miała jakiś wypadek, to nie może on być związany z samochodem, którym właśnie przyjechał Bartek, ponownie usiłowałam sobie przypomnieć nazwisko adwokata, specjalisty od drogowek.

Pokonanie czterech pięter galopem wymagało znacznego samozaparcia i odebrało mi dech. Bartek, który wyprzedził mnie nieznacznie na schodach, wykrzyknął do otwierającej drzwi Marylki:

- Był wypadek!?

- Przybył! - wykrzyknęłam ostatkiem tchu.

- Kto przybył? - natychmiast zainteresował się Bartek.

- Jaki wypadek?! - gwałtownie pytała Marylka, szarpiąc brata za rękaw. - Miałeś wypadek?

- Ty miałaś wypadek - wysapałam.

- Kto przybył? - natychmiast zapytała Marylka, ponownie szarpiąc brata, tym razem dla odmiany za klapę.

Przez chwilę wszyscy patrzyliśmy na siebie bezrozumnie. Brak tchu uniemożliwił mi zadawanie pytań, umysł mogłam natomiast uruchomić i nieporozumienie rozśmieszyło mnie, nie pozwalając na wydanie z siebie głosu. Rodzeństwo spoglądało na mnie w milczeniu. W ich spojrzeniach widziałam coraz większy niepokój, śmiech odbierał mi możliwość wyjaśnienia. Marylka ostrożnie podeszła do mnie.

- Nie zwariowałam. Przybył to nazwisko - wyjęczałam, zarykując się ze śmiechu.

- No, to nikt nie przybył - powiedział Bartek z ulgą.

- Myśmy przybyli - oznajmiłam, odrywając się od poręczy, przy której przed chwilą skręcałam się ze śmiechu. - I chciałabym wiedzieć, o jakim wypadku mówiłaś - zwróciłam się oskarżycielsko do Marylki.

- Ach, o to chodzi! No, dzwoniłam do was, bo przez chwilę miałam wrażenie, że zwariowałam - powiedziała Marylka, prowadząc do wnętrza. - Usiądźcie oboje. Zaraz wam zrobię herbaty. Potem pokażę to, od czego niemal nie zwariowałam. Musicie poczekać, bo nie będę najbliższych narażać na wstrząsy.

Czekaliśmy w fotelach niepewni, co nas spotka. Marylka wniosła jednakże tacę z herbatą, rozłożyła na stole serwetki i uparła się dogodzić nam wszechstronnie, proponując zimne napoje. W przewidywaniu wstrząsów poprosiłam o wodę mineralną z lodem.

Po zaspokojeniu naszych zachcianek Marylka wyszła na moment i po chwili wróciła z plikiem papierów w ręku. Odruchowo sięgnęłam po trzymaną przez nią makulaturę, odsunęła się jednak ode mnie.

- Zaczę od początku. W zimie, chyba w lutym, wychodziłam z klubu z jednym uczniem. Takim Januszkiem. Chłopak ma piętnaście lat, ale dorósł do metra osiemdziesięciu i jeszcze nie przestał. W klubie ćwiczy od czterech lat, wiadomo już jednak, że karateką nie będzie. Za wysoki. Może przejdzie do siatkarzy - zastanowiła się.

- Co to ma do rzeczy? Po jakiego grzyba nam jakiś Januszek, karateka czy siatkarz, wsio ryba - jęknęłam, bo uczyniony przez nią wstęp ogłuszył mnie doszczętnie.

- Wiesz, że my kończymy treningi przed dziewiątą wieczorem - poinformowała Marylka. - No więc było już ciemno - dodała.

- Nic mi się z niczym nie wiąże. Ale przyjąłam do wiadomości i niech to ma jakiś sens - odpowiedziałam.

- Pamiętasz chyba, że ja nie noszę torebki, tylko takie coś zakładane przez ramię i głowę. Z przodu zwisa i ręce mam wolne - znęcała się dalej nade mną.

W obawie, że przerwie relację i o tym jakimś wypadku niczego się nie dowiem, przytaknęłam skwapliwie, bo istotnie coś takiego niejasno sobie przypomielałam.

- Skręciliśmy za róg, bo byłam bez samochodu, i szliśmy do przystanku, a tam nas zaatakowało trzech podpitych łobuzów. Jeden sięgnął od razu do tej torebeczki, która wisiała mi z przodu. Na chłopaka żadnej uwagi nie zwrócili, bo chociaż wysoki, z daleka było widać, że gówniarz - kontynuowała Marylka bez litości dla mojego niepokoju o całość wszystkich klepek.

- Napadli cię? - wykrzyknął Bartek. - Nic nie mówiłaś!

- Miej litość! Co dalej? - jęknęłam.

- Dalej, tośmy się bronili. Ja siebie, Januszek mnie - zignorowała Bartka. - Broniliśmy się skutecznie. Łobuzy dostali manto. Jedna złamana noga, jedna złamana ręka i ogólne potłuczenia. Sama po policję i pogotowie dzwoniłam z komórki. Tak uczciwie, to mogłam łobuzowi ręki nie łamać, ale właśnie tą łapą złapał za moją torebkę i tak mnie jakoś poniosło - powiedziała ze skrucą. - Dopiero lekarz pogotowia mu tę moją torebkę zabrał, bo jakiegoś skurczu czy czegoś podobnego przy tym złamaniu dostał i dłoni nie mógł rozprostować. Jak złapał, tak mu zostało.

- No, rozumiem. Można to nawet nazwać wypadkiem. Ale to przecież było w lutym! Teraz jest lipiec. Opóźnioną reakcję rozumiem, ale żeby tyle miesięcy! - wykrzyknęłam z pretensją. - Myślałam, że zawału dostanę.

- Wcale mi nie o to chodziło. Wypadek to był dziś - odparła.

- Znowu cię napadli! - wrzasnął Bartek.

- Nie wiem, czy to jako napaść można zakwalifikować - zastanowiła się przez chwilę, machając makulaturą. - Chyba że napaść niebezpośrednią.

- Co to jest? - spytałam słabym głosem, wpatrując się w papiery.

- Akt oskarżenia! - obwieściła triumfalnie Marylka. - Zostałam oskarżona o to, że uszkodziłam trzech pracowników przedsiębiorstwa państwowego oraz naraziłam Zakład Ubezpieczeń Społecznych na straty, bo za czas niezdolności do pracy musiał im wypłacić zasiłki chorobowe.

- Zwariowałaś! Upiłaś się? Co to za brednie? - spytałam, sięgając po papiery, które tym razem wręczyła mi bez oporu.

Faktycznie. Jak byk był to akt oskarżenia o ciężkie uszkodzenia ciała dwóch delikwentów i lekkie trzeciego, a także spowodowanie strat ZUS na kilkanaście tysięcy złotych. Cała kwota wynikała z kosztów leczenia i wypłaconych zasiłków chorobowych.

- Nie rozumiem. Mówiłaś, że wezwałaś policję. Byli tam? - podpytywałam nieufnie Marylkę. - Spisali protokół?

- Oczywiście. Nawet zeznania od tego lekarza wzięli, że musiał wydobywać z łobuza moją torebkę - odpowiedziała.

- No i co? Nie oskarżyli ich? - niedowierzałam.

- Jak widać nie. Może dlatego, że spisujący zdarzenie sierżant postraszył mnie, że przez kilka miesięcy będą mnie wzywać na przesłuchania, a przez następne kilka miesięcy każą do sądu chodzić. Nie żądałam ścigania - wyjaśniała z satysfakcją.

- No, ale przecież zanim przysłali ci akt oskarżenia, musiałaś rozmawiać z prokuratorem. Nie mówił ci, że będziesz oskarżona? - pytałam, usiłując uporządkować zamęt w głowie.

- Owszem, nawet mówiła, ale myślałam, że żartuje. Powiedziała, że zasiłki im się nie należą, a koszty leczenia musieliby sami pokryć, gdyby się wydało, że zachorowali ze swojej winy. Nie ma takiego dowodu, więc ZUS musiał za wszystko zapłacić. I teraz chce odzyskać. Wiesz, że ZUS jest biedny i nie ma czym płacić emerytom - wyjaśniała dalej.

- Nie rozumiem. Przecież taki napad na ciebie to przestępstwo publicznoskargowe. A to znaczy, że nie musiałaś składać żadnego wniosku. Nawet w przypadku, kiedy oświadczyłaś, że nie żądasz ścigania, policji to nie wiąże. To tych łobuzów trzeba postawić w stan oskarżenia - wykrzyknęłam, wyjaśniwszy sama sobie wszystkie wątpliwości.

- Nie przejmuj się tak. Ja też na początku myślałam, że zwariowałam, ale teraz mi już przeszło - podjęła Marylka. - Przypomniałam sobie, co mówiła ta prokurator, przetłumaczyłam z polskiego na nasze i rozwiązałam już tę zagadkę. Nie żądałam ścigania, więc policja nie umieściła tego w statystyce przestępstw. Rozumiesz? Nie zawiadomili prokuratury o przestępstwie nawet wykrytym, a więc przestępstwa nie było. Jasne? No, ale tych łobuzów ktoś uszkodził i ponieważ, jak sama mówisz, jest to przestępstwo publicznoskargowe, to oni nawet nie musieli składać wniosku o ściganie. Wystarczyło, że ZUS poprosił o ustalenie, kto ich tak uszkodził, że chorzy byli. Potem już samo rozpędem poszło.

- Boże, miej litość! - jęknęłam. - Przecież ta sprawa to postawienie wszystkiego na głowie. Czy ty tej prokurator nic nie mówiłaś? Jakies zeznania wszak składałaś. Przesłuchiwali cię w ogóle?

- Oczywiście, że wszystko powiedziałam. Zostało zapisane. Sama czytałam i każdą kartkę podpisałam. Tylko ta prokurator mi tłumaczyła, że łobuzów nie może oskarżyć, bo żadnych dowodów nie ma. Ja i Januszek jesteśmy zainteresowani, i to żaden dowód. Jako świadkowie jesteśmy do chrzanu.

- Czy ona zwariowała? To te łobuzy będą lepszymi świadkami! I może ci jeszcze powiedziała, że oni nie są zainteresowani? - wrzasnęłam w trosce o całość umysłu.

- No, nie, ale tłumaczyła, że nie ma żadnego takiego przepisu, jeśli pracownik sam sobie, że tak powiem, uszkodzenie ciała załatwił, by ZUS mógł mu chorobowego nie wypłacić i jeszcze zwrotu kosztów leczenia żądać. Jak sąd mnie uniewinni, będzie musiał w wyroku stwierdzić, że uszkodzenia ciała doznali z własnej winy, i wtedy ZUS od nich zwrotu pieniędzy zażąda. Podobno to taka akcja wspólna prokuratury z ZUS-em.

- Idiotyizm jakiś. Gdyby ich skazali, byłoby prościej. Nie rozumiem, w czym tkwi kruczek - rozmyślałam na głos.

- Jak nie wiesz, o co chodzi, to chodzi o pieniądze - wygłosił odkrywco Bartek.

- Możesz mieć rację. Jeżeli na to spojrzemy z punktu widzenia pieniędzy... to rzeczywiście. Niewątpliwie jesteś bardziej wypłacalna niż tych trzech łotrów - rozważałam. - Z punktu widzenia sprawiedliwości to oczywisty nonsens, ale gdyby przyjąć, że w gruncie rzeczy chodzi o pieniądze... No tak, ale ogólnie to przecież bzdura. Broniłaś się. Żeby ci jeszcze przypisali przekroczenie granic obrony koniecznej, mogłabym zrozumieć, szczególnie że w tej dziedzinie prokuratura nie takie byki strzelała, że pominę już, iż z miejsca zamykała w areszcie właśnie tych, co się bronili. No, to rozumiem. Tyle razy im różne organa za tych broniących się skórę przetrzepały, że o przekroczenie granic obrony koniecznej przestali oskarżać. - Zrobiłam przerwę w rozważaniach, gdyż musiałam wspomóc intelekt nikotyną, co spowodowało drobne zamieszanie wywołane poszukiwaniem popielniczki. - O zwyczajne pobicie cię oskarżają - uświadomiłam Marylkę. - Dziwię się, że przy tych zarzutach w areszcie nie siedzisz.

- Coś tam ta prokurator mówiła o tym, ale niespecjalnie słuchałam - radośnie odpowiedziała Marylka. W ogóle jak na sytuację, w jakiej się znalazła, objawiała teraz nadzwyczajną radość życia i humor wręcz szampański.

- Jeżeli chodzi o pieniądze, to rzeczywiście prawo pracy rządzi się własnymi zasadami. Takiemu łobuzowi trzeba najpierw wypłacić zasiłek i go wyleczyć, potem można go ścigać o zwrot. Możesz mieć rację - zwróciłam się do Bartka - coś słyszałam o takiej akcji, że teraz ZUS i przedsiębiorstwa ubezpieczeniowe będą odyskiwać wypłacone odszkodowania i koszty leczenia. Nie ma dwóch zdań - zawiadomiłam Marylkę - padłaś ofiarą akcji.

- Ale przecież to wszystko od początku jest chore - zaprotestowała.

- Trzeba było wcześniej używać tego, co masz w głowie. Teraz już przepadło. Jesteś za oskarżoną - stwierdziłam ponuro.

- Naprawdę nic się nie da zrobić? - zdziwił się Bartek.

- Teraz już nie. W gazecie cię opiszą, rektora zawiadomią. Bandyta jesteś - podsumowałam z satysfakcją.

- Słuchajcie. Wydaje mi się to tak śmieszne, że nie mogę się powstrzymać. Ty mówisz poważnie? - spytała niedowierzająco Marylka.

- Bardzo poważnie. Jeśli trafisz na sędziego o tym samym poziomie intelektualnym, co pani prokurator, to ani się obejrzysz, jak wylądujesz w więzieniu i jeszcze ZUS-owi będziesz płacić jakieś monstrualne kwoty. Musisz iść do adwokata - poradziłam z przekonaniem.

- Nie mam pieniędzy, a to kosztuje. Wszystkie oszczędności wpłaciliśmy z Bartkiem na nowego fiata. Pojutrze odbieramy. Sama widziałaś, że ten nasz już się sypie - jęknęła. - Oddadzą mi?

- W życiu. Jak cię uniewinnią, to powinnaś skakać pod sufit i jeszcze adwokatowi jakąś gratyfikację wybulić - sprowadziłam ją na grunt realizmu.

- No jak to? Przecież sama mówisz, że ten akt oskarżenia to bzdura - zawtórował jej Bartek. - Na koszty nas naraża. Ten, co naraża na koszty, powinien je zwrócić.

- Nie ma tak. Jakby skarb państwa musiał płacić wszystkim uniewinnionym, to albo by nie było wyroków uniewinniających, albo państwo ogłosiłoby bankructwo. Sędziowie nie są zainteresowani bankructwem pracodawcy. Z czystego oportunistycznego wyprzedzenia wydawaliby wyroki skazujące nawet niewinnych. Płacą odszkodowania, i to niechętnie, tylko tym, których w areszcie niesłusznie posadzili - wdałam się w wyjaśnienia. - Taki zwyczajnie uniewinniony ma się cieszyć, że jedynie takie koszty poniósł.

- Napisali mi, że mam złożyć wnioski dowodowe. Może sama wskażę tego Januszka i lekarza, a sąd ich przesłucha i przyzna mi rację. Pomożesz mi? - wystękała oszołomiona Marylka.

- Wnioski pisać można. Ile chcesz. Papier wszystko zniesie. Zasada jest taka, że jak sprawa trafiła do sądu, to musi się zakończyć wyrokiem. Ty tylko na uniewinnienie możesz liczyć i dobrze ci radzę, idź do adwokata.

- Rany boskie. Naprawdę nic już teraz nie można zrobić? - jęknął Bartek.

- Jedna szansa na tysiąc. Jest coś takiego jak zwrot akt do uzupełnienia śledztwa. Napisać można, ale sędziowie rzadko z tego korzystają. - Sięgnęłam do zardzewiałych niecodomosci.

- Co to znaczy? Sąd pisze taki wniosek? - zainteresowała się Marylka.

- Nie, wniosek piszesz ty lub twój adwokat. Sąd może to uwzględnić i jak podejmie decyzję o zwrocie, pisze uzasadnienie. To jest właśnie najtrudniejsze i dlatego sędziowie wolą nie zwracać spraw do prokuratury. - Wygrzebywałam informacje z pamięci.

- Możesz to napisać? - wyjęczała Marylka.

- Mogę, ale wolałabym, żeby to zrobił adwokat. Lepiej się na tym zna. Wie, jakie argumenty trafią do sędziego, co zlekceważy - broniłam się.

- No dobrze. Poszukaj nam adwokata. A na razie będziemy pisać ten wniosek. Razem z tobą. Nie zaszkodzi przecież - podjął decyzję Bartek.

Wypiłam wodę z lodem, zakąsiłam herbatą i poprawiłam sokiem, którego mi Marylka z rozpędu naląła. Uzgodziłam terminy i sposoby kontaktów, po czym uciekłam do samochodu. Egzystencja stawała się coraz bardziej uciążliwa, życie nakłaniało do wykonywania wyuczonego zawodu. Właśnie zafundowałam sobie urlop i okazał się on bardzo pracowity. Za ty-

dzień miałam zamiar wrócić do pracy. Może wtedy odpocznę. Wyjazdy dwa razy w tygodniu do Niemiec wydały mi się nagle szalenie relaksujące. Co za bęcwał mnie przeklął!

Postanowiłam wracać do domu nawet wówczas, gdyby na ogonie siedziało mi siedem golfów. Nie dam się. Niech sobie jeżdżą. Jeszcze tylko telefon do Marcina i będę wolna. Zafunduję sobie aromaterapię. Wonna kąpiel przywróci do życia wymięte ciało i zmaltretowaną duszę.

Wykąpać się, owszem, zdążyłam. W chwilę potem, jak zawinęłam się w gruby szlafrok, usłyszałam łomot do drzwi. Dzwonka przedtem nie słyszałam, to mogła być tylko córka mojej sąsiadki, Magda.

I rzeczywiście. Wkroczyła do mnie oszczędnie omotana czymś czerwonym na piersiach, w dzinsach biodrówkach i z gołym brzuchem. W pępku umieściła kolczyk z perełką. Chciała się pochwalić tą nową ozdobą i nakłonić mnie na wspólne wyjście do dyskoteki. W poniedziałki jedynie w Hotelu Centrum funkcjonowała dyskoteka i tam właśnie Magda miała zamiar wyeksponować swoją nową ozdobę.

Dwudziestosiedmioletnia Magda pomimo ukończonych studiów była rozpaczliwie naiwna i niespożyta w poszukiwaniu mężczyzny dla siebie. Każdy życzliwy męski odruch traktowała jak sygnał rozpoczęcia stabilizacji u boku dającego sygnał. Było jej przy tym wszystko jedno, jak wygląda i kim jest „ten” mężczyzna. Wystarczyło, że nosił spodnie. Wizytowała mnie przy różnych okazjach, obojętnie traktując wskazania zegarka i zawsze ignorując dzwonek przy drzwiach. Równie obojętnie traktowała moją odmowę. Jak małe dziecko namolnie namawiała mnie na dyskotekę, głucha na moje racje. Gdy rozległ się odgłos dzwonka, miałam jej już dosyć. W drzwiach objawił się Krzysztof. Zanim zdążyłam ich przedstawić, wisiała mu już na ramieniu, przytulała do piersi główkę z masą czarnych pukli, przekonując, że wieczór jest wymarzony na dyskotekę.

Byłam w puchatym szlafroku i zawiązanym w turban ręczniku na łbie. Nie tak chciałam się prezentować w oczach upragnionego mężczyzny. Nie umiałam podjąć decyzji. Wyjść do łazienki i zrobić się na bóstwo czy zostać, uniemożliwiając Magdzie wyprowadzenie Krzysztofa? W to, że sam się od niej uwolni, wątpiłam. Nie tylko dlatego, że była atrakcyjna, choć miała w sobie coś z pijawki, ale również dlatego, że bardzo rzadko mężczyźni przy pierwszym spotkaniu odmawiali jej czegokolwiek. Dopiero później, gdy dzwoniła co godzina i przychodziła codziennie pod pracę wybrańca, zaczęli mieć dość. Ulgę w sercu poczułam, gdy stanowczo ją od siebie odsunął.

- Przepraszam za najście o tak późnej porze - powiedział, ignorując Magdę i jej namowy. - Możemy iść na tę dyskotekę, oczywiście, jeżeli ma pani ochotę. Poczekam. - Stanowczo oddzielił się od Magdy trzymaną w ręku plastikową teczką, zmierzając do ustawionego w kącie fotela.

Widziałam wyraźnie, że da sobie radę z Magdą i jej nie ulegnie. Dusza ucieszyła się, że jej awanse wrażenia żadnego na Krzysztofie nie robią, i pogoniła mnie do łazienki. Makijaż zrobiłam błyskawicznie, dosuszyłam włosy i pognałam ubrać się stosownie. Postanowiłam, że oczywiście do dyskoteki pójdziemy, nawet z Magdą.

Poszliśmy. Magda płątała się wokół jak psiak. Koniecznie chciała Krzysztofa sobą zająć i wyraźnie widziałam, że za każdym razem traktował jej awanse niechętnie. Mną zajmował się dobrowolnie, drzwi otwierał, papierosy przypalał i w ogóle świadczył uprzejmości jak przedwojenny galant. Tańczyliśmy trochę, bo przy dyskotekowym łomocie trudno rozmawiać. Choć w dyskotece tłumów nie było.

Magdzie udało się w końcu znaleźć partnera na wieczór. Krzysztof, jakby na to czekał, zaproponował spacer. Wieczór był ciepły i rozgwieżdżony. Lipy pachniały jak szatan. Razem z wonią innych krzewów i drzew powietrze odurzało. Szliśmy wolno. Rozmawialiśmy o wszystkim i jakoś tak samo wyszło, że zaczęliśmy sobie mówić na „ty”. Gdy po raz piąty obeszlśmy park, znajdujący się na wprost mego domu, uświadomiłam sobie, że przecież mogę go do siebie zaprosić. Ledwo jednak złożyłam taką propozycję, zaczął się żegnać. Prawdę mówiąc, rzeczywiście było już bardzo późno, minęła druga w nocy. Umówiliśmy się na jutrzejszy wieczór. Mam obejrzeć fotografie, które pozostawił mi w teczce. Jeżeli rozpoznam dziewczynę, pomyślimy co dalej. Jeżeli nie, spędzimy razem miły wieczór. Od dawna tak lekko nie wchodziło mi się po schodach. Z nadzieją na dzień jutrzejszy, a właściwie już na dzisiejszy wieczór, sprawdziłam, czy teczka Krzysztofa leży na stole, i zasnęłam z uśmiechem na ustach.

Obudził mnie budzik i choć nie miałam uczucia, że jestem wyspana, wstawało mi się lekko i radośnie. Czekало mnie dzisiaj spotkanie z Jackiem i ewentualnie rozmowa z prokuratorem Maciejewskim, o ile Jacek potwierdzi dobrą opinię o nim, a on sam będzie w prokuraturze. Nie zdążyłam wczoraj zadzwonić do Marcina. Przy Magdzie było to niemożliwe, przy Krzysiu niepożądane. Nie szkodzi. Dzisiaj będę mu miała więcej do powiedzenia. Muszę to tylko załatwić natychmiast po powrocie do domu. Krzysztof przyjdzie i nie należy go wciągać w tajemnice Marcina.

Już jadąc na spotkanie z Jackiem, nastawiłam się, że samochód zostawię przy Centralu. Był tam, co prawda, płatny parking, ale przy wyjeździe żądali okazania kwitka z godziną

wjazdu i kasowali należność. Pocięczałam się więc, że przynajmniej samochodu mi nie ukradną, a przy Piotrkowskiej i na sąsiednich ulicach musiałabym zapłacić tyle samo. Objechałam dwukrotnie cały Central, nie widząc żadnego wolnego i nadającego się do parkowania miejsca. W końcu stanęłam za jakimś autem, które na upartego mogło opuścić parking, przejeżdżając przez chodnik i nie uiszczając opłaty, było mi już jednak wszystko jedno. Wsiadając zauważyłam, że pojazd wydaje mi się jakiś znajomy, nie miałam jednak głowy do takich rozważań. W połowie drogi do Piotrkowskiej, na środku parkingu, zatrzymał mnie Marek, który wyszedł właśnie z sąsiadującego z Centralem wieżowca. Przy powitaniu rzucił okiem przed siebie i wykrzyknął:

- No, popatrz! To już żółtaczkę można dostać albo innego dyfterytu! Larwa jakaś ustawiła się na moim samochodzie.

Odwróciłam się, spojrzałam przed siebie i prawie bez zdziwienia stwierdziłam, że tą larwą jestem ja. Nie bez przyczyny pojazd wydał mi się znajomy.

- Mareczku, to ja - jęknęłam cichutko. - Bardzo przepraszam.

- Głupstwo, przestawisz. - Machnął ręką. - Dzień taki dziś mam. Kiedy wyjeżdżałem z parkingu przy domu, drogę zajął mi z prawej wstrętny padalec. Zaraz za nim pojawiła się oślica w zielonym renault. Wiłem się między nimi, gdy z przeciwka nadjechała głupia fladra w clio. Ledwie wyjechałem na prostą, widzę, że środkiem ulicy idą dwie krowy. Wymierzyły dokładnie, między przejściami dla pieszych, nawet próbowały przystanąć na środku. Jadący przede mną baran nie wytrzymał i zatrąbił, co powstrzymało krowy przed zatrzymaniem się na jezdni.

- Czyżbyś był antifeministą? - wtrąciłam.

- Ależ skąd! Kocham kobiety, chociaż niekoniecznie za kierownicą. Na tym się jednak nie skończyło. Już dojeżdżałem do Centralu, ale zatrzymałem się przed przejściem dla pieszych. Całe stado przechodziło przez jezdnię. Nagle jakaś gruba świnia w bmw wjechała na przejście i przepłoszyła stado. Ruszałem, gdy z chodnika zlął odrażający koczodan i musiałem poczekać, aż przeczolga się przez jezdnię. Ledwie udało mi się przejechać za przejście, gdy lewy pas zajęła ruda mała za kierownicą, wlokła się okropnie i tarasowała wszystkim drogę. Zjechałem na prawy, gdy wieprz w mercedesie wyprzedził mnie na gazetę i nieomal zepchnął z drogi. Z chodnika prosto przed maskę zesłał gęś, głupia jak sama nazwa wskazuje.

- Przerwał na chwilę dla nabrania oddechu. - Dojechałem tutaj i nawet znalazłem miejsce do parkowania, gdy jakiś goryl w audi zajął je przede mną. Musiałem znowu szukać, udało mi się wyprzedzić trabanta, który przymierzał się do tego samego miejsca. Rozwścieczony tra-

bant zatrąbił. Nie wytrzymałem już tego. „Skunks!”, warknąłem, zamykając drzwiczki. No i widzisz. Teraz ty mnie zastawiłaś - zakończył.

- Dlaczego skunks? - zdziwiłam się.

- Inaczej śmierdziel - wyjaśnił Marek. - Ogólnie mówiąc, dwutakt.

Rozwiązaliśmy łamańca parkingowego. Marek wyjechał, ja wjechałam na jego miejsce i udałam się na spotkanie z Jackiem Rzetelskim. Umówiona z nim byłam w narożnej pizzerii, po drugiej stronie ulicy. Do Prokuratury Okręgowej miałam blisko, też tylko przez ulicę. W drodze powrotnej do domu postanowiłam zrobić zakupy żywnościowe w Centralu. Może przygotuję dla Krzysia kolację? Miałam się nad tym jeszcze później zastanowić.

W obskurnym podziemnym przejściu dla pieszych, zastawionym straganikami, wyłożonym płachtami z oferowanym towarem i obfitującym w żebrzących narkomanów, rozchodził się zapach brudnej szmaty, gnijących resztek jedzenia i chloru, którym dezynfekowano znajdujące się w podziemiu toalety. Tunel pokonałam nieomal bez uszczerbku dla doznań estetycznych i ze śpiewem na ustach. Obleciałam pizzę, zajrzałam do ogródka i stwierdziłam, że Jacka jeszcze nie ma. Zastanowiłam się przez chwilę, wybrałam sok do picia i usiadłam w nędznym ogródku, przedkładając nade wszystko piękną pogodę i możliwość palenia papierosów na świeżym powietrzu. Pierwszy haust dymu popiłam sokiem i rozmarzyłam się, myśląc o Krzysztofie.

- Tu ziemia. Tu ziemia. Wróc do nas - usłyszałam w niestosownym momencie, Krzysztof w moich marzeniach zaczął bowiem wygłaszać jakieś deklaracje.

Przede mną stał roześmiany Jacek.

- Machałem do ciebie już z tamtej strony ulicy. Co ci jest? - zapytał.

- Chyba się zakochałam. W każdym razie jestem już blisko - odpowiedziałam z westchnieniem.

- Gratuluję. Może założysz rodzinę. Ja mam już dwójkę. Zaraz ci pokażę. - Sięgnął do taszczonej przez siebie teczki i wyjął portfel, a z niego zdjęcia rodzinne.

- Dziwię się, że w dzisiejszej rzeczywistości nie boisz się rozmnażać - powiedziałam po obejrzeniu zdjęć dwóch wspaniałych chłopaków w objęciach matki. - Co będzie, jak cię zwolnią z policji, tfu, tfu, odpukać? - spytałam, plując przez lewe ramię.

- Dobrze, że odpukałaś, to jest odpluć. Zadowolony jestem z pracy. Lubię ją. Mam nadzieję, że ona mnie też - odpowiedział Jacek.

- Praca to cię pewnie lubi, sądząc po ciężarach, jakie dźwigasz. Ze zwierzchnikami może być gorzej. No i słyszałam, że z policji wyrzucają też ze względów politycznych. Nie tyle

w związku z poglądami, ile z datą przyjęcia do policji i aktualnie panującą nam partią polityczną.

- Coś w tym jest - przyznał. - Dwie takie czystki sam przeżyłem. Przy pierwszej byłem za krótko zatrudniony, przy drugiej mnie nie ruszyli. Parę lat już od tego czasu minęło. Wszystko się normuje. Wszędzie wracają fachowcy. Poza tym pocieszam się, że teraz w policji nie płacą tak dużo, więc jakieś zajęcie za podobne pieniądze znajdę. W ostateczności pójść pracować jako ochroniarz albo do biur egzekwujących wierzytelności. Z rozpaczy sam coś takiego założę. O co chodzi? - zapytał w końcu. - Nie wierzę, że stęskniłaś się za mną.

- Mam zgryz. Jeden mój znajomy użyczył swojego konta pewnemu facetowi. No i teraz sprawa mu zaczęła śmierdzieć. Uważa, że było to związane z jakimś przestępstwem. Gryzie się tym i chciałby z kimś pogadać prywatnie - streściłam kłopot Marcina.

- Rozumiem, że jakieś pieniądze za jego pośrednictwem ktoś przesłał. Od nas czy do nas? - spytał rzeczowo Jacek.

- Do nas. Bardzo dużą kwotę. Kilkaset tysięcy euro.

- Oddał im?

- Tak.

- To czym się gryzie?

- Uważa, że jest wrobiony. Dali mu do zrozumienia, że te pieniądze pochodzą z przestępstwa. Uważa, że mają na niego haka, i nie chce być za współnika - wyjaśniłam.

- Daj papierosa - zażądał Jacek. - Rzuciłem, ale od czasu do czasu muszę zapalić. Uważasz, że facet ma rację? Rzeczywiście z jakimś przestępstwem się łączy? No przecież powiedział ci więcej niż ty mnie.

- Na mój rozum się łączy i haka na niego mają - odpowiedziałam, zapalając dla towarzystwa.

- Nie mów mi nic więcej. Sama rozumiesz. Gdybym wiedział, muszę o tym zameldować. A ten twój znajomy czysty jest? To znaczy żadnych przedtem szemranych interesów nie robił?

- Czysty. I myślałam, że mógłby za świadka koronnego być. Ale, rozumiesz, dowodów prawie nie ma. Jego zeznanie i te przelewy. Musiałby mu ktoś na słowo uwierzyć i śledztwo zrobić. To może trwać. Ludzi on wskaże, przynajmniej tych, z którymi miał kontakt. Pochodzić za nimi trzeba, pogrzebać. Poczekać trochę, bo może znowu mu coś na konto przeleją. Wtedy można by i na te pieniądze łapę położyć. Nie wiem, do kogo z tym iść - wyjaśniałam.

- No dobrze - zdecydował się Jacek po namyśle. - Sam do niego pójść i wejście ci zrobię. Prokurator jeden, z okręgowki. Maciejewski się nazywa. Nada się. Pracuję z nim teraz

przy jednej sprawie, choć zwykle on z kolegą współpracuje. Niewykluczone, że robotę sam dla siebie szykuje, ale przez starą znajomość wierzę ci. Pójdziemy tam zaraz, ale powiedzieć musisz mu wszystko. Jak na spowiedzi. - Poderwał się, dźwigając potężną teczkę, bardziej zasługującą na miano walizki lub kufra.

- Akta w tym nosisz? Nie boisz się, że to zwiną? - spytałam z zaciekawieniem.

- Akta. Normalnie zostawiłbym ją w radiowozie, który mnie przywiózł. Ale boję się te papiery z oczu spuścić, dlatego je przytachałem. Rozumiesz, jest policjant i policjant - zakończył filozoficznie.

W zamieszaniu zapomniałam o obiecany sprawozdaniu z poszukiwań jego telefonu, a prześladowający mnie bandyci zwyczajnie wypadli mi z pamięci.

Przemierzyliśmy Piotrkowską i szeroki parking przed wieżowcem. Wjechaliśmy na trzynaste piętro i Jacek zostawił mnie na korytarzu. Miałam poczekać, aż porozmawia z tym Maciejewskim i przygotuje go na moje rewelacje. Bałam się, czy zgodzi się na rolę świadka koronnego dla Marcina. Trochę to dla mnie było za szybko.

Wcale długo nie czekałam. Jacek wyszedł, taszcząc swój walizo-kufer z aktami, i pokazał na drzwi. Nawet ich za sobą nie zamykał. Podziękowania pozostawiłam na później. Miałam nadzieję, że będę miała mu za co dziękować.

Zbyszek Maciejewski okazał się bardzo wysokim brunetem z wyraźną łysiną. Nie wiem, czy był już po urlopie, czy tylko ze względu na ciemną karnację słońce łąpało go błyskawicznie, w każdym razie widzialne dla mnie fragmenty prokuratorskiego ciała były ciemno opalone.

Miałam niejaką treść, Maciejewski okazał się jednak osobnikiem sympatycznym. Rozpoczął od towarzyskiej rozmowy o studiach i mojej znajomości z Jackiem. Dopiero potem zaczął pytać. Na początek pozwolił mi opowiedzieć całą historię własnymi słowami. Później ją zadawać pytania. I z mojego opowiadania, i z odpowiedzi sporządzał notatki. Dopiero wówczas, gdy podsumował moje informacje, okazało się, że wiem więcej, niż mi się zdawało. Ciągle jeszcze personalia Marcina trzymałam w tajemnicy, choć gdyby się ktoś uparł, z okoliczności towarzyszących można było bez trudu ustalić, kim jest.

- Rozumiem, że główny problem pani znajomego to te perturbacje z piecem? - zapytał po wygłoszeniu własnego podsumowania.

Pokiwałam głową w odpowiedzi, choć tego Marcin z całą pewnością nie sprecyzował, chyba bardziej bał się tych przestępców, którzy mu forszę przysłali. Postanowiłam jednak nie dzielić się z prokuratorem moim wrażeniem, w końcu tylko wrażeniem.

- To nie nasza sprawa. My się tym w ogóle nie zainteresujemy, nawet gdyby w aktach znalazło się coś na ten temat. To sprawa rio - powiedział z sympatycznym uśmiechem.

Przez moment wydawało mi się, że cierpię na omamy słuchowe. Chyba powiedział „rio”. Jedyne, co mi się kojarzyło, to ciąg dalszy „de Janeiro”. Niemożliwe, żeby miasto w Ameryce Południowej miało coś wspólnego z Marcinkiem i jego piecem. Prędzej już ci jego aferzyści. Ale przecież prokurator właśnie się odżegnywał od piecowej afery.

- Co to znaczy? - zapytałam nieśmiało, wydało mi się bowiem, że skojarzenia mam niezupełnie prawidłowe.

- Rejonowa Izba Obrachunkowa. Mają własne służby kontrolne i własne sądownictwo. Jak rozumiem, taką kontrolę pani znajomy już przeszedł - wyjaśnił litościwie Maciejewski.

Choć zupełnie nie odczuwałam upływu czasu, musiałam tam siedzieć kilka godzin. Gdy Maciejewski zaczął ustalać ze mną spotkanie z Marcinem, spojrzałam na zegarek i skonstatowałam, że zbliża się koniec dnia pracy. Postanowiłam jednak nie opuszczać gabinetu, dopóki nie wydobędę z prokuratora przyrzeczenia, że Marcin zostanie świadkiem koronnym. Szło jak z kamienia. Wykręcał się niczym piskorz i jedyne, co ostatecznie udało mi się wydrzeć z Maciejewskiego, to wysokie prawdopodobieństwo, że Marcin świadkiem koronnym zostanie. Niezupełnie mnie to zadowalało, ale widziałam wyraźnie, że prędzej się udusi własnym językiem, niż mi więcej obieca. Trudno. Musiałam Marcinka rzucić na żer. Za późno już było, żeby się wycofać. Podałam więc personalia i telefon Marcina z pewnym oporem wewnętrznym. Postanowiłam, iż natychmiast po powrocie do domu zawiadomię go o nawiązaniu kontaktu i godzinie przesłuchania, wyznaczonego nazajutrz.

Niezbyt zadowolona i zupełnie nieusatysfakcjonowana opuściłam prokuraturę i udałam się po zakupy żywnościowe do Centrału. W sklepie zajęłam się ową wymyśloną przez siebie kolacją i dusza przestała mi dokuczać z powodu Marcina. Byłam u progu romansu swojego życia i postanowiłam nie zajmować się drobiazgami. W takim też nastroju podjeżdżałam pod dom. Miałam zamiar skręcić na parking w prawo, ale pozostało to w sferze zamiarów. Nagle, nie wiadomo skąd, pojawiły się dwa ciemne samochody. Jeden zajechał mnie z przodu i zaczął cofać, drugi podjechał z tyłu, zatrzymując się na moim zderzaku. Z obu wyskoczyli młodzi, umięśnieni mężczyźni. Nic nie myślałam. Dusza nie nawykła do bezradnego patrzenia, wprawiła w ruch moje umiejętności kierowcy. Wyprysnęłam w lewo, zakręciłam, skręciłam w prawo w Uniwersytecką, i już mnie nie było. W lusterku zobaczyłam ciemny samochód ruszający za mną w pościg. Drugiemu najprawdopodobniej przeszkodził jednokierunkowy ruch na Jaracza i rząd samochodów, któremu zakręciłam przed nosem, a który właśnie zmierzał ku tej ulicy. Prerażona byłam i umysł pozostawał dalej w paraliżu, dusza się jednak

nie dała. Kazała mi uciekać, skręcać, robić pętelki, przejeżdżać na czerwonym świetle i dokonywać innych karkołomnych ewolucji na jezdni, przeciwko którym mój umysł z pewnością by protestował. Po mniej więcej pięciuset latach, a możliwe, że po niecałej godzinie pościgu udało mi się wreszcie zgubić upartego prześladowcę. Dla sprawdzenia, czy rzeczywiście nikt mnie już nie goni, przystanęłam na parkingu, który akurat mi się trafił, i wsunęłam się pod deskę rozdzielczą. Żeby mnie znaleźć wśród mnóstwa różnych samochodów, powinni sprawdzić numery. Najlepiej pieszo, w najgorszym wypadku przejeżdżając. Uparcie tkwiłam w przykłęku, chociaż udało mi się klęknąć na zapalnicze, która w czasie uprawianych przeze mnie ewolucji spadła na podłogę i boleśnie uszkadzała mi teraz kolano. Nikt nie sprawdzał numerów, nie przejechał żaden samochód. Kolano bolało mnie coraz bardziej. Poczulałam urazę do bandytów, że narażają mnie na takie niewygody i nieomal trwałe uszkodzenie ciała.

Zapaliłam papierosa i rozum wrócił na miejsce. Wbrew oczekiwaniom pochwalił mnie za skuteczną ucieczkę. Tylko co dalej? Mój adres był im znany. Bandyci zaś najwyraźniej uparci. Jak mam wrócić do domu? Muszę, bo przecież Krzysztof tam przyjdzie. Umówiliśmy się na dzisiaj, chociaż nie precyzując godziny. Umysł zganił mnie za przedkładanie randki nad możliwość utraty życia. Przez myśl przemknęło mi, że w tym pościgu zabrakło policji. Gdzie podział się mój ogon? Czyżby pozostał na Jaracza? Może udało im się złapać bandytów z tego drugiego samochodu. Jeżeli tak, byłam im skłonna wybaczyć nieobecność podczas pościgu.

Postanowiłam złożyć wizytę dawno niewidzianej ciotce parającej się dziennikarstwem. Na upartego mogłam nawet u niej zanocować. Nie ulegało wątpliwości, że moje personalia bandyci znają i najbliższych krewnych już rozpracowali. Przyczajenie się więc u nich nie wchodziło w grę. Przeklęłam własną głupotę. Nadal nie znałam telefonu Krzysztofa. Miałam jednak numer Marcina i postanowiłam się nim zająć natychmiast. Przynajmniej jedną komplikację będę miała z głowy.

W czasie moich rozmyślań pogoda się zmieniła. Niebo pokryły szaroczarne chmury i zaczęło lać. Nie wyglądało to na krótkotrwałą letnią ulewę. Raczej potop. Przypomniałam sobie, że ostatnio letnie powodzie weszły w Polskę w zwyczaj, i zaczęłam szukać w samochodzie parasolki. Udało mi się znaleźć, głęboko pod siedzeniem kierowcy, jakiegoś drapak z dwoma urwanymi drutami. Od biedy przed potopem z nieba mogło to chronić, chociaż może niezupełnie. Podjechałam do mieszkania ciotki i udałam się do niej pod osłoną owego drapaka.

- Jaki masz śliczny parasol - wydała okrzyk podziwu po otwarciu drzwi. Drapak na miano parasolki nie zasługiwał, zdziwiłam się więc nieco. - Mamy śliczną pogodę, nie uważasz? - ze szczerym zachwytem wskazała na ulewę za oknami.

Zdziwiłam się bardziej, ale ostatecznie w kwestii pogody można mieć różny gust. Kiedy jednak wprawił ją w podziw widok białego serka wyjętego właśnie z lodówki, wątpliwości co do jej nieustannego zachwytu ugruntowały się we mnie na mur.

- Ty tak musisz? - spytałam.

- Muszę - odpowiedziała. - To taka terapia. Teraz muszę się wszystkim zachwycać. To ma ugruntować we mnie pozytywny stosunek do rzeczywistości.

- Dlaczego? - zdumiałam się.

- Bo miałam negatywny. Dużo rzeczy mi się nie podobało. Na przykład okradanie nas wszystkich przez ministrów i ich pociotków z dziećmi włącznie. Likwidowanie fabryk mi się nie podobało, nawet w imię zwycięskiego liberalizmu. Nie podobało mi się też, że zanim sprzedamy jakiś zakład produkcyjny albo co innego, to przedtem jest on rujnowany i dewastowany, tak aby nabywca mógł za niego mało zapłacić - mówiła z furią. - Podobno moje poglądy rzutowały na twórczość. Naczelnym powiedział, że mam zmienić stosunek do rzeczywistości, inaczej on zmieni obsadę na moim stanowisku.

- Chyba każdemu się to nie podoba, tylko nie wiadomo co zrobić. Na ulicę ludzie już nie wyjdą. Widzą, co z tego wyszło, i więcej nie chcą - pocieszyłam ją.

- Na pracy mi zależy, a tak zwyczajnie rzeczywistość dalej mnie nie zachwyca. Dlatego stosuję tę terapię. Znajoma psycholożka mi poradziła.

- No, ja nie wiem. Może lepiej zmienić rzeczywistość? - zastanawiałam się. - Mnie też wiele rzeczy się nie podoba. Na szczęście nie muszę się zachwycać.

- Ja muszę wpaść w zachwyty. Dlatego trenuję - wyjaśniała. - A zmienić niczego nie można. Specjalnie tak konstytucję uchwalili, żeby nie można było nic zmienić.

- Co konstytucja ma do tego? Nie widzę związku.

- Prawnik przecież jesteś i związku nie widzisz? To proste jak budowa cepa. Nasi ministrowie i inni tacy w rządzie skąd się biorą, wiesz? Z sejmu są! Znaczą, najpierw posłami zostali, a potem wzięli ich do rządu. I jak taki poseł po pijaku jeździ albo jedyną na cały kraj licencję, na przykład wydobywania czegoś, da swojemu synowi lub szwagrowi, to podoba ci się to? - grzmiła z oburzeniem.

- Jasne, że nie. Ale takiego posła chyba można odwołać? - spytałam powątpiewająco, jakieś bowiem niezborne wiadomości po umyśle mi się plątały.

- A otóż nie! - wykrzyknęła z triumfem. - Nic nie można zrobić! Konstytucja nie przewiduje trybu odwoływania posłów! Jak go już wybiorą, w odwołaniu ma ciebie jako swojego wyborcę, i tyle. Nawet jak posłem przestaniesz być, to nic mu zrobić nie można, bo przed Trybunałem Stanu takiego jęłopa trzeba ciągnąć. Znowu posłowie, a nie zwyczajni obywatele o tym decydują. A wyrwani do tego nie są, bo sami mogą się w takiej sytuacji znaleźć. Dlatego zachwyca mnie każda pogoda. Nawet twoja parasolka wydaje mi się piękna w porównaniu z rzeczywistością - zakończyła.

- Długo tak musisz? - zainteresowałam się.

- Aż mi przejdzie. Nawet zwolnienie lekarskie dostałam, żeby się do tego wszystkiego przystosować. Słabo mi idzie. Widocznie jestem odporna. Pogodą już się umiem zachwycić, jakakolwiek by była. Rzeczami wszystkimi też. Nawet popadam w zachwyt, gdy jedną taką swoją koleżankę w redakcji spotykam, chociaż koło pióra mi robiła. Rzeczywistość gospodarcza i polityczna dalej mi w gardle stoi i żadnym słowem zachwyty ujścia nie da. Tak po prostu - zakończyła wyraźnie zmartwiona. - Niedawno jeden mój znajomy na zawał zmarł - do dała z ponurym ożywieniem.

- Też w związku z tą rzeczywistością? - zaciekałam się ostrożnie.

- Całkowicie w związku. Konkretnie mówiąc, w związku z budową filharmonii.

- Filharmonia zawału powodować nie powinna - wyraziłam wątpliwość.

- Tak w ogóle to masz rację - powiedziała ciotka. - Ale w tym konkretnym powinna.

- Dlaczego?

- Widzisz, do przetargu na budowę przystąpiły dwa przedsiębiorstwa. Ten mój znajomy złożył ofertę o pięć i pół miliona tańszą niż konkurent. Ale konkurent przetarg wygrał i mój znajomy przyplacił to zawałem.

- Dlaczego wygrał? - zdziwiłam się.

- Bo wcześniej zatrudnił żonę jednego czerwonego barona. Za sześćdziesiąt tysięcy miesięcznie! I z tej przyczyny miał dostęp do ofert konkurencji.

- Rzeczywiście oburzające. Jak taki wybór uzasadniła komisja przetargowa?

- No, ten konkurent był nie w ciemni bity. Ceny nie mógł już zmienić, ale przedstawił dodatkowy atut. Zaproponował, żeby miasto zapłaciło mu za budowę w ciągu siedmiu lat.

- Faktycznie miał zamiar tyle czasu czekać na pieniądze? Udzielił miastu nieoprocentowanego kredytu?

- No coś ty! Po prostu musiał przebić ofertę przeciwnika. Czerwony baron mu obiecał, że po cichu, w ratach, szybko mu wszystko spłaca.

- Nie wiem, czy na miejscu twojego znajomego też bym zawału nie dostała.

- No widzisz. I jak tu akceptować rzeczywistość?

Miałam własne kłopoty, chociaż taki sposób przystosowania się do rzeczywistości był interesujący. Postanowiłam zadzwonić do Marcinka i powiadomić go o wynikach moich dyplomatycznych zabiegów. Chciałam mieć go z głowy. Zatelefonowałam, przekazałam mu co najważniejsze i w tym miejscu moje dyplomatyczne talenty zawiodły na całej linii. Marcin był ciekaw szczegółów, łaknął informacji o każdym westchnieniu moich rozmówców, wręcz o każdym mrugnięciu okiem, i mój lakoniczny komunikat go nie zadowalał. Spokojnie przyjął wiadomość, że umówiłam go na jutro z prokuratorem, po czym zaczął się upierać, że musi porozmawiać ze mną osobiście. Ostatecznie mogłam go zaprosić do ciotki. Wszystko ją zachwycało, Marcina więc powinna powitać co najmniej życzliwie. Trudno by mi jednak było usunąć ją z zasięgu słuchu, a relację należało złożyć wyłącznie Marcinowi. Poza tym chyba nie zniosłabym zachwytów po każdym wypowiedzianym zdaniu. Ciotka na tym etapie gotowa była wpaść w zachwyt po stwierdzeniu faktu, że ktoś wykazuje umiejętność mówienia, bez zwracania uwagi na treść wypowiedzi. Dla mnie treść była istotna. Nie chciałam wysłuchiwać ewentualnych pretensji z towarzyszeniem okrzyków zachwytu, bo coś mogło mi się pomylić. Ponadto mogłam mieć z Marcina pewien pożytek. Zaniesie mi zakupy na górę, bo zrobiłam ich tyle, że latać po schodach musiałabym dwukrotnie, nie mówiąc już o tym, że jego obecność powinna zniechęcić bandytów do nawiązania ze mną bliższego kontaktu. Dotychczas twarzy nie pokazywali i starali się atakować raczej z daleka. Marcinek był przydatny, nawet potrzebny. Wyraziłam zgodę na jego przyjazd do mnie do domu, ustaliłam czas i kazałam mu czekać na parkingu. Pożegnałam zachwyconą ciotkę i pojechałam do siebie.

Marcin czekał na parkingu. Potop na szczęście się skończył i nie musiałam używać trzeciej, nieustająco brakującej mi ręki ani wydłubywać oczu sobie czy komukolwiek, trzymając nią drapaką niesłusznie obdarzonego mianem parasolki. Przekazałam Marcinowi większą część zakupów, zamknęłam samochód i rozejrzałam się wokół za policyjnym ogonem. Znowu nie dostrzegłam żadnych obcych pojazdów. To, co stało dalej, mogło być wypełnione policjantami lub bandytami. I tak nie byłam w stanie ich dostrzec.

Ledwo zdążyłam dojść do kuchni, przysięgając Marcinowi po drodze, że powiem mu wszystko, opiszę każdy zapamiętany szczegół negocjacji natychmiast po ulokowaniu żywności w lodówce, gdy przy wejściu do kuchni objawił się nagle Krzysztof. Oczywiście, szłam przodem, a Marcin, nieświadom moich niechcianych kontaktów z bandytami, zamknął drzwi tylko na klamkę.

Na widok obcego sobie człowieka Marcin znacząco zamilkł. Krzysztof oczywiście nie popadł w towarzyski nastrój i był niezadowolony, czemu starał się nie dawać wyrazu. Obaj

towarzyszyli mi w kuchni, unikając bezpośredniego zwracania się do siebie. Świetnie się orientowałam, że jeden jest niezadowolony, bo nie może ze mną szczerze porozmawiać, drugi zaś zazdrosny o tego, którego przy moim boku zastał. Wiedziałam jednak, że niestety nie świadczy to wcale o żywionych do mnie uczuciach. Nie ma takiego psa, który nie rzuci się odbierać kości drugiemu. Co najwyżej nikła postura napastnika może ograniczyć atak do ogłuszającego szczekania. Nie ma takiego mężczyzny, który ujrawszy innego przy boku kobiety, którą uznał za swoją, w marzeniach czy rzeczywistości, nie przejawia zazdrości o rywalka, choćby hipotetycznego.

Musiałam pogodzić się z realiami. Z doświadczenia wiedziałam, że obaj będą przeczekiwać, aż ten drugi mnie pożegna, a w końcu wyjdą razem, najpewniej zmuszeni do tego przeze mnie. Miałam za sobą mocno rozrywkowy dzień i potrzebowałam odpoczynku. Wymyśliłam, że zjemy razem kolację, a potem ich wyproszę. Obu panów zmusiłam więc do pomocy przy nakrywaniu stołu. W kuchni, bo dodatkowych spacerów po własnych apartamentach postanowiłam nie wykonywać. Zajęło ich to trochę, przy czym prześcigali się w wykazywaniu znajomości tematu. Zakupioną strawę rozłożyłam na półmiskach, zaparzyłam herbatę i nawet zaproponowałam czerwone wino, które znalazłam w zakamarkach kredensu. Obaj na wyścigi wychwalali moje propozycje kulinarne i organizacyjne. Usiadłam z nimi do kolacji, dla poprawienia nastroju zapaliłam kilka świeczek i zrobiło mi się rzewnie. W świetle tych świec zobaczyłam siebie w gustownej trumnie otoczonej równie gustownymi wiązanekami. Poczulałam duszący zapach kwiatów i palących się wśród nich świec. Mało brakowało, a rozplakałabym się na tym własnym pogrzebie. Emocje nie pozwoliły mi milczeć. Opowiedziałam o czarownej wizji, a potem o dzisiejszej ucieczce przed prześladowcami w ciemnych samochodach. Gdy doszłam do ucieśnego przywitania z ciotką i jej kuracji, Krzysztof przerwał mi bez wahania.

- To, co mówisz, wyraźnie wskazuje, że przestępcy nie zaprzestali polowania. Musisz mieć ochronę. Koniecznie.

Marcin, nieorientowany w moich perturbacjach z nieznanymi rzezimieszkami, zaczął domagać się wyjaśnień. Krzysztof opowiedział więc o sprawie, dodając złowieszczo, że po wyjeździe Lalki tylko ja im zostałam do odstrzału i całą energię skieruję na zrealizowanie tego zamiaru.

Postać w trumnie nawet mi się spodobała, wizja własnego pogrzebu nie była jednak moim marzeniem i chętnie z niej zrezygnowałam. Ku mojemu zdumieniu obaj przejęli się szalenie możliwością mojego zejścia z tego świata, przestali się wzajemnie ignorować i urządzili naradę bojową poświęconą ochronie mego cennego życia.

- Polska policja nie ma programu ochrony świadków, tym bardziej że na razie nie wiadomo, czego byłaś świadkiem - powiadomił Krzysztof. - W najlepszym wypadku mogę załatwić, żeby radiowóz z patrolu sprawdzał, czy przy twoim samochodzie nikt nie majstruje. Ale to spokojna okolica i patrole rzadko tu zagląдают.

- Czy ja już nie mam ogona? - spytałam. - Strasznie się namęczyłam, żeby go zgubić, wolę jednak ogon niż niekontrolowane spotkania z bandytami. Nie mówię, żeby koniecznie wyskakiwali i strzelali, ale chociaż pokazać by się mogli w jakimś kluczowym momencie. Albo jechać za bandytami, jak mnie porwą.

- Nie masz - przyznał Krzysztof. - Jak powiedziałem, że o nim wiesz, a funkcjonariusze potwierdzili, nie widziałem powodu, dla którego mieliby za tobą dalej jeździć.

- No jak to? - oburzyłam się. - Czy ty uważasz, że ja coś wiem i nic nie mówię, bo lubię być tajemnicza? Wydawało mi się, że właśnie na taką okazję jak dziś ten ogon miał czekać. Zauważyć zbirów i jeżeli nawet ich nie łapać, to przynajmniej ustalić, kim są. Może jak będziemy wiedzieć kto zaczął, ja sobie to coś, czego byłam świadkiem, przypomnę.

Krzysztof podskoczył do telefonu i rozpoczął ożywioną działalność. Do kuchni dochodziły urywane wyrazy i wykrzykniki. W skrócie po raz drugi zrelacjonowałam szeptem Marcinowi rozmowę z Maciejewskim, zaklinając go, aby jutro pojawił się w prokuraturze o wyznaczonej godzinie i wyznał wszystko. Marcin zdawał się namyślać. Uświadomiłam mu, że to ja byłam u prokuratora, ale o sprawie wiem tyle co od niego i jak on nie pójdzie zeznawać, to mnie zamkną za odmowę składania wyjaśnień. A ja to, co wiedziałam, już powiedziałam i nic więcej nie wiem. Jak jutro tam nie pójdzie, mogą mnie w tym areszcie trzymać bez końca. Marcin, zaklinany przeze mnie, na przemian prośbą i groźbą, ugiął się wreszcie i przysięgł, że pójdzie. Uroczyście nam to wyszło, bo przysięgał w otoczeniu palących się świec.

Krzysztof wrócił od telefonu w momencie, gdy Marcin szeptem składał przyrzeczenie, i w sumie wypadło to dość śmiesznie. On sam sposepniał jednak jeszcze bardziej, jeżeli to możliwe. Zaczęli uzgadniać z Marcinem dyżury przy mnie, wyszło bowiem na to, że sama nigdzie nie mogę się pojawiać. Śledzący mnie ogon, owszem, może interweniować, jak zobaczy coś niepokojącego. Nie mogą jednak wyskakiwać i straszyć bronią wszystkich, którzy podejną do mnie z zamiarem przeprowadzenia niewinnej rozmowy, zapytania o drogę czy porozmawiania na przykład o wakacjach. Nie wiadomo, która z tych osób będzie mi znana i niewinna. Obecny przy moim boku Marcin lub Krzysztof mieli rozróżnić przyjaciół, a o wrogach sygnalizować. Wtedy obstawa nimi się zajmie.

Krzysztof nie miał czasu warować przy mnie od rana, musiał bowiem odpracować jakieś obowiązki. Wiedziona litością, wiedziałam bowiem, gdzie i po co idzie Marcin jutro o jedenastej, zadeklarowałam, że co najmniej do czwartej z domu nie wyjdę.

W przypiływie wspaniałomyślności zaprosiłam ich obu na obiad. Uzgodniliśmy, że przygotuję coś na czwartą po południu. Pomyślałam sobie, że jutro Marcin będzie już po spowiedzi u Maciejewskiego i przy owym obiedzie wyjaśnimy Krzysiovi przyczyny dzisiejszych szeptów, co powinno oczyścić atmosferę.

Pożegnałam ich zaopatrzona we wszystkie numery telefonów, pod którymi mogłam zastać Krzysia, zniosłam przysłuchiwanie się za drzwiami, jak zamykam wszystkie zamki, i znużona podążyłam do łazienki.

Po kąpieli spać chciało mi się nieprzytomnie. Przechodząc przez największy pokój, rzuciłam okiem na leżącą na stole teczkę przyniesioną poprzedniego dnia przez Krzysztofa i postanowiłam, że znajdującymi się tam zdjęciami zajmę się jutro. Najlepiej w jego obecności, po wyjaśnieniu nieporozumień i przypuszczeń.

Obudziłam się niezadowolona z czegoś, a przy porannej kawie udało mi się ustalić, że chodzi o zakaz opuszczania mieszkania. Nie miałam do załatwienia nic pilnego lub niecierpiącego zwłoki, ale dobrowolne zamknięcie się w domu wydało mi się bardzo uciążliwe. Ustaliłam, czego mi brakuje w lodówce, i zaczęłam się zastanawiać, jak tu nie rzucając się w oczy ani policjantom, ani tym bardziej ewentualnie czyhającym na mnie bandziorem, dokonać zakupów w najbliższym sklepie. Rozważania przerwało mi dzwonicie do drzwi w akompaniamencie szczekania. Niewątpliwie Kasia, moja sąsiadka z góry, stęskniła się za mną. Wraz z nią wkroczył do mieszkania Kuba, wilczur z urodzenia, z upodobań mój psi wielbiciel. Przypomniałam sobie, że na prośbę Kasi kupiłam dla niej w Niemczech takie specjalne urządzenie na baterie, usuwające z tkanin i swetrów różne kłaczkę i zmechacenia. W tłumaczeniu na polski nazwa brzmiała „golarka do wełny” i jakoś się nie przyjęła. Nie miałam kiedy przekazać jej tego nabytku, przyszła więc do mnie sama, żeby sprawdzić, czy nie zapomniałam o zleceniu.

Oczywiście, urządzonko to jej kupiłam, pamięć jednak o tym fackie zatarła się wskutek kłębiących się wokół mnie wydarzeń.

Przy okazji przywiozłam też żurnale, w tym ostatni żurnal wysyłkowy Quelle w niemieckim wydaniu, co nas obie bardzo zajęło. Rozwazałyśmy właśnie przy kawie, czy można w Polsce kupić towary oferowane Niemcom w sprzedaży wysyłkowej, gdy znowu rozległ się

dzwonek przy drzwiach. Nie był to domofon, lecz zwyczajny dzwonek, spodziewać się więc mogłam tylko kogoś z sąsiadów. Zdziwiło mnie to nieco, bo z zaprzyjaźnionych osób mogła wchodzić w grę jedynie Magda, choć jak na nią godzina była zbyt wczesna. O tej porze Magda powinna być w pracy.

Wraz ze mną powędrował do drzwi Kuba, który pochwyciwszy obcy zapach, zaczął głucho warczeć. Za drzwiami stał nieznajomy wysoki facet z resztkami ciemnych włosów wokół łysiny. Kuba musiał poczuć do niego natychmiastową i głęboką antypatię, gdyż warkot nabrał basowych tonów, a pies zapragnął bliżej zetknąć się z osobnikiem wzbudzającym w nim niechęć. Nie miałam wątpliwości, że wrogość Kubu może się skończyć uszkodzeniem osobnika, odepchnęłam więc psa kolanem, zmniejszając jednocześnie szparę w uchylonych drzwiach.

- Ja właśnie do pani - powiedział mężczyzna, nie ustalając nawet, kto mu otworzył. - W sprawie wyjazdu po samochód - dodał, łapiąc za klamkę z drugiej strony.

Zrobił przy tym taki ruch, jakby miał zamiar szerzej otworzyć drzwi i wtargnąć do mieszkania. Z Kubu wydobył się basowy warkot zakończony szczeknięciem.

- O, piesek! - mało radośnie stwierdził facet.

- Kubuś, chodź do mnie - zawołała z kuchni Kasia.

- To ja przyjdę innym razem - powiedział pospiesznie obcy osobnik, zamykając drzwi ze swojej strony i nie bacząc na mój, cokolwiek bezwładny, opór.

Wróciliśmy z Kubą do kuchni. Miałam niejasne wrażenie, że pies ocalił mnie przed czymś, i dałam wyraz swojej wdzięczności, oferując Kubie znaczny kawałek kielbasy.

- Już wiem, za co on cię tak kocha - powiedziała melancholijnie Kasia. - Kto to był?

- Właśnie nie wiem. Odniosłam wrażenie, że przyszedł do mnie i nagle zmienił zamiar - odparłam. - Wydaje mi się, że Kuba miał w tym swój udział. I że powinnam mu być wdzięczna.

Kasia poszła do siebie, a ja podjęłam przygotowania do oddalenia się z domu w sposób dla nikogo niezauważalny. Powierzchnowość zmieniałam, zakładając poniewierające mi się po mieszkaniu z nieznanej przyczyny niebieskie tenisówki i siwą perukę. W założeniu peruka była platynowa i została przed laty nabyta przez moją mamusię. Z upływem lat mamusia dojrzała do siwych włosów i uznała wówczas, że peruka jest jej do niczego nieprzydatna, mnie zaś, jako kontrast platynowych włosów z młodą twarzą, może się przydać. Oba rekwizyty miałam pod ręką i mogłam ich użyć natychmiast. Z daleka byłam nie do rozpoznania. Dla utrzymania kamuflażu postanowiłam się jeszcze stosownie przygarbić, zamknęłam drzwi na wszystkie zamki, zabrałam portmonetkę i niezbędną do zrealizowania zakupów reklamówkę.

Stojący bez mała na rogu dwóch ulic budynek, w którym mieszkałam, od zawsze miał kuchenną klatkę schodową wychodzącą na ulicę Jaracza. W rzeczywistości nigdy z niej nie korzystałam, a drzwi prowadzące bezpośrednio do kuchni były zwykle zamykane na potężnych rozmiarów zamek umieszczony bezpośrednio pod klamką oraz na okazową antabę. Dzisiaj postanowiłam wyjątkowo użyć do wyjścia z domu drzwi kuchennych, odsunęłam antabę, wyjęłam potężny, godny ogromnego zamka klucz i zamknęłam mieszkanie z zewnątrz. Moim zdaniem nie tylko nikt nie miał prawa mnie rozpoznać, ale nawet przypuszczać, że opuściłam mieszkanie. Na wszelki wypadek zaczęłam się garbić już na schodach.

Niezbędnych zakupów dokonałam bez jakichkolwiek przeszkód i tą samą drogą wróciłam do domu.

Ludzie dziwnie traktują czynność gotowania. Z reguły wiążą to z ograniczeniem umysłowym i żadne telewizyjne wysiłki Kuronia przed kamerami telewizyjnymi nie pomogą, nikt go bowiem nie uważa za tytana intelektu. Osobiście uważam, że do gotowania trzeba mieć inteligencję, no i wyobraźnię smakową. Nie wiem, co prawda, czy takowa istnieje w kategoriach psychologicznych, ale na pewno istnieje w rzeczywistości. Jeśli psychologowie wpadli na to, że istnieje inteligencja emocjonalna, to prędzej czy później odkryją wyobraźnię smakową. Polega ona na tym, by imaginacyjnie połączyć ze sobą dwa smaki lub więcej i ustalić, co z tego wyjdzie. Osobnicy pozbawieni takiej wyobraźni, ale inteligentni, sprawdzają to doświadczalnie.

Odpracowałam intelektualnie zajęcia kuchenne. Potrawy się pichciły, zarówno umysł, jak i ręce miałam wolne. Niejaką uwagę należało kierować na to, żeby nic mi się na kuchni nie przypaliło, od czasu do czasu coś zamieszać. Ręce zajęłam zapalaniem papierosa, ale umysł ruszył i nie mogłam go już powstrzymać. Wizyta obcego faceta była dziwna. Ogłoszeń prasowych o mojej działalności jako biura indywidualnych podróży, można powiedzieć zawodowej, już od jakiegoś czasu nie dawałam. Poza tym, na litość boską, nie prowadziłam tej działalności w domu ani też nie podawałam nazwiska. W ogłoszeniach, owszem, był numer mojego prywatnego telefonu, ale tylko numer. Po uzgodnieniu kierunku i terminu wyjazdu klient miał się zgłosić do znajomej, prowadzącej zwyczajne biuro podróży, i tam uiścić opłatę, na którą wydawała mu pokwitowanie. Żadnych żadnych podróży ani po samochód, ani po cokolwiek innego, nie życzyłam sobie we własnym domu widzieć i nikt nigdy aż do dzisiaj mnie nie nachodził. Przypuszczać można, że chudy łysy namówił jakoś informację telefoniczną do podania mojego adresu, bo że Bożenka, przyjmująca owe wpłaty, nic mu nie powiedziała, głowę dać byłam gotowa. Na wszelki wypadek zadzwoniłam do niej. Oczywiście, nikomu mojego adresu nie dawała. Gdyby ktoś się bardzo upierał przy kontakcie ze mną, da-

łaby mi znać. Odkąd nie zamieszczam ogłoszeń, było kilka pytań, ale chętni zostali powiadomieni, że działalność podejmę w drugiej połowie sierpnia. Chudy łysy zdobył mój adres bez jej udziału.

Wyszło na to, że nawiedził mnie bandzior. Sam z siebie i dobrowolnie pokazał twarz. Było to tylko przypuszczenie, ale niepozbawione podstaw.

Zastanawiałam się, jak ten fakt można wykorzystać, kiedy przyszedł Marcin.

Było kilka minut po trzeciej. Zdał mi szczegółowe sprawozdanie ze spotkania z Maciejewskim. Podobnie jak ja wczoraj, miał mieszane uczucia. Powiedział wszystko, co wiedział, do protokołu, osobiście przez Maciejewskiego sporządzanego. Jako świadek. Specjalnie uważał, żeby go w takim charakterze przesłuchano. Na wstępie umieścił deklarację, że sam z siebie przyszedł opowiedzieć o przestępstwie, bo za przestępcę być nie chce. Umowy jednak żadnej z Maciejewskim co do świadka koronnego nie podpisał. Szczerze mówiąc, ja sama nie wiedziałam, czy taką umowę trzeba zawrzeć na piśmie, czy wystarczy ustnie. W każdym razie wszystkich danych, o tych, których znał, prokuratorowi dostarczył. Co prawda, osobiście znał tylko jednego, drugiego wyłącznie z personaliów i numeru konta, ale od czego jest policja. Dla nich to żaden kłopot, jak mają nazwisko i firmę. Maciejewski powiedział mu na koniec, że jeżeli faktycznie jakąś aferę na podstawie informacji Marcina odkryją, za świadka koronnego w procesie będzie występował.

- Swoją drogą, ukradkiem jakby te zeznania składałem. Wieżowiec to jest, sama wiesz, rozmaite instytucje tam się mieszczą. Pośrednictwo w handlu nieruchomościami na przykład. Tłumy wchodzą i wjeżdżają na górę na różne piętra, więc nie ukrywałem się, jak tam wchodziłem. Ale gdy tylko wszedłem do niego do gabinetu, na klucz nas zamknął i na żadne pukanie nie odpowiadał. Protokolanta nie wezwał, sam wszystko pisał, mówił też jakby przyciszonym głosem. Jakby się bał, żeby nikt za drzwiami nie usłyszał - przedstawiał nurtujące go wątpliwości.

- No coś ty. W manię prześladowczą chyba wpadasz! - wykrzyknęłam, bardzo mnie bowiem zdenerwował swoimi rozważaniami.

- Tak sobie myślę, że gdybym, całkiem przypadkowo, trafił właśnie na wtykę, którą w prokuraturze mają, też by się tak zachowywał. Żeby słowo poza jego gabinet nie wyszło - kontynuował Marcin.

- Przecież ja wiem o wszystkim, może nie ze szczegółami, ale jednak. Jacek też wie, a on policjant. Przesadzasz z tymi obawami - pocieszałam.

- A co ty wiesz? Tyle, co ja ci powiedziałem. Nazwiska żadnego nie znasz. Faceta, który się przy mnie kręcił, nie widziałeś. Nic nie wiesz. Niegroźna jesteś. A ten twój Jacek jeszcze mniej wie.

- Dlaczego teraz myślisz, że to źle, jeśli nikt o twojej aferze nie wie? Sam przecież w tajemnicy ją trzymałeś. Uważasz, że ten Maciejewski z hukiem powinien ją ogłosić i każdemu opowiadać? Rozeznanie trzeba zrobić, kontakty rozgryźć, o tych twoich aferzystach czegoś się dowiedzieć.

- No, ale jakby przyjąć, że to Maciejewski jest wtyczką tych przemytników, to co po aferze zostanie? W najlepszym wypadku moje zwłoki. Twoje zwłoki. To nie jest wykluczone - rozważał Marcin.

- Nie ma żadnej zwłoki - stwierdził stanowczo Krzysztof, pojawiając się w drzwiach kuchni.

- Zwłoki bez zwłoki - powiedziało mi się samo, zanim umysł zdążył się połapać.

- Znowu nie zamknęliście mieszkania - wystąpił z pretensją Krzysztof.

- Coś ty powiedziała? Zwłoki bez zwłoki? - zainteresował się Marcin. - To dziwnie brzmi.

- Przecież mówię, że wszystko załatwiłem bez zwłoki - odpowiedział mu Krzysztof.

- Co to ma znaczyć? Załatwiłeś zwłoki bez zwłoki? - spytałam, trochę mi się bowiem tematy pomieszały.

- Powiedziałem „zwłoki” w sensie opóźnienia - wyjaśnił Krzysztof, patrząc na nas podejrzliwie.

- A, myśmy o tym mówili w sensie trup, znaczy denat, czy jak to inaczej powiedzieć - wtrącałam się.

- Macie tu jakieś zwłoki?

- Nie, ale możemy mieć. Moje albo Marcina - oznajmiłam.

- Coś się stało? Skąd te pomysły? - zapytał Krzysztof, wyraźnie zaintrygowany odmienianymi przez przypadki zwłokami.

- Krzysiu - rozpoczęłam uroczyście - jak ty coś wiesz, to musisz o tym mówić? Twoim zwierzchnikom znaczy. Nawet jeśli się dowiesz prywatnie i w tajemnicy?

- No, o przestępstwach, to powinienem. Jeszcze zależy, jakie to przestępstwa. Ale tak, żebym słowo po słowie wszystko, co wiem, musiał opowiadać, to nie za bardzo. O co chodzi w ogóle?

Marcin zaczynał już mówić, kiedy coś głośniejsz na kuchni zaperkotało.

Obiad zjedliśmy w spokoju. Potem zarządziłam przenosiny na salony. Odnalazłam nawet resztkę koniaku, która po imprezie Lalki pozostała. Dla całej trójki po kieliszku wystarczyło.

- To może ja zacznę - odezwał się Krzysztof. - Strasznie się dziś śpieszyłem, żeby wszystko załatwić i na ten obiad zdążyć. Na mur masz stałą opiekę we dnie i w nocy. Tylko już im nie uciekaj. Ci, co cię poprzednio obserwowali, twierdzą, że zielony ford za tobą też jeździł. Numery zapisali i teraz sprawdzają, czyj to samochód. Powinnaś jednak mieć kogoś przy sobie, choćby dla wszczęcia alarmu. Ty jak? - zwrócił się do Marcina.

- Za jej obstawę mogę robić. Wakacje są, urlop mogę wziąć. Tylko z takim jednym się umówiłem, że on mnie może potrzebować, to wtedy czas dla niego muszę mieć - zakończył, patrząc na mnie z ukosa.

- Przyrzeknij nam - zwróciłam się do Krzysztofa - że nikomu o tym, czego się dowiesz, mówić nie będziesz. Ani prywatnie, ani służbowo - dodałam surowo. - Prywatne tajemnice będziemy ci zwierzać, a przestępstw, chyba sam widzisz, nie popełniamy.

- No dobrze już. Przyrzekam. Co to za tajemnice macie?

Marcin z wahaniem zaczął mówić o swojej aferze. Tak jak i mnie, zaczął opowiadać od akcji z piecem, bo i rzeczywiście wszystko się od tego pieca zaczęło. Skończył na dzisiejszej wizycie u Maciejewskiego i jakoś niepewnie zamilkł. Potem spojrzał na Krzysztofa, na mnie, skrzywił się nieco i otoczył chmurą dymu. Krzysztof wysłuchał relacji w milczeniu i widać było, że teraz się namyśla i jakieś pytania chce zadać.

- Zaraz, zanim o aferze będziemy mówić, jedną rzecz trzeba wyjaśnić - powiedziałam. - Ty Maciejewskiego znasz? - spytałam Krzysztofa. - Zaręczyć za niego możesz?

- Z pracy go znam. Prywatnie o nim nic nie wiem. Słyszałem, że dorzecznym facet i śledztwa starannie prowadzi. Jak ma przestępstwo, to nie oskarża pierwszego lepszego, co mu się pod rękę nawinie. Dowodów szuka i sprawców znajduje. Ogólnie opinię ma dobrą, przynajmniej u nas, bo jak w prokuraturze, to nie wiem.

- Chodzi o te nasze zwłoki. Kiedy Marcin opowiadał o swojej dzisiejszej u niego wizycie, to zauważył, że to bardzo tajemniczo przebiegało.

- No, bo rzecz w tym, że o tej aferze wiem tylko ja i on. Jemu protokół został. Jakby mnie teraz rąbnęli - włączył się Marcin - jest tylko ten protokół i Maciejewski. Gdyby on sam miał z tymi moimi aferzystami coś wspólnego... no, nie wiem. Beze mnie to żadnego śladu nie ma.

- Skąd wiesz, że o narkotyki chodzi? - zapytał go Krzysztof.

- Sam mi, w mordę szarpany, powiedział. Może bym i wymyślił, że to o narkotyki chodzi albo alkohol. Za duże pieniądze na co innego.

Po Krzysztofie wyraźnie było widać, że zmienił mu się nastrój. Konkurencję w Marcinie przestał widzieć, rozbawiony był trochę i instynkt łowiecki w nim się odezwał.

- To o tej aferze żeście wczoraj szeptali? - upewnił się. - Pomóc wam mogę, a może i Maciejewskiemu. Twoja obstawa - zwrócił się do mnie - oczy ma mieć dookoła głowy i raporty pisać. Jak im ktoś blisko podejdzie, to zdjęcia też zrobią. Będziecie jeździć wszędzie razem. Jakby Marcina ktoś śledził albo atakował, oni zobaczą i pomogą. A ja się po cichu dowiem, czy ten Maciejewski aferę zaczął rozgryzać, czy tylko zeznania spisał. W wojewódzkiej ma takiego swojego zaufanego, Rybarczyk się nazywa. Jak komuś to do prowadzenia da, to tylko jemu. No, może jeszcze Jackowi Rzetelskiemu, bo też o sprawie wie.

- Do domu bym poszedł. Nie wiem, czy mnie co po drodze nie spotka. Pewien byłem, że jak już w prokuraturze zeznania złożę, to ubijać im się mnie nie opłaci, ale wątpliwości zacząłem mieć.

- Na razie żadnych podstaw nie ma. W końcu w tajemnicy chciałeś te zeznania składać i Maciejewski warunki ci stworzył. Przesadzasz - zaopiniowałam.

- Twoja kolej - zwrócił się do mnie Marcin. - Też miałaś nam coś opowiedzieć.

Opowiedziałam o wizycie chudego łysielca, eksponując rolę Kuby i humorystyczne elementy zdarzenia, bezpiecznie się bowiem czułam. Za to Krzysztof zdenerwował się i natychmiast zaczął wydzwaniać do obstawy. Trochę to trwało, bo na zmiany pracują i ci, co byli przed południem, do domu już poszli. W końcu jednego z nich dopadł i dowiedział się, że wszystkim wchodzącym i wychodzącym fotografie robili, żebym potem mogła rozpoznać lokatorów, bo nimi zajmować się nie będą. Jednemu chudemu łysemu też zdjęcie zrobili, tylko słabo wyszło, bo bokiem twarz odwrócił. Przy okazji tych konwersacji Krzysztof załatwił Marcinowi transport. Sam poszedł przez domofon rozmawiać i drzwi otwierać, nie widziałam więc, kto po Marcina przyszedł, by go do domu odstawić.

Trochę czasu nam zeszło na tematach ogólnych i nawet zaczęłam na spacer namawiać, bo usłyszałam szczekanie Kuby, kiedy Krzysztof przypomniał sobie o zdjęciach, które przyniósł onegdaj. Przysięgłabym, że położyłam tę teczkę na stole i nigdzie jej nie przekładałam, ale na stole, przy którym rozmawialiśmy, żadnej teczki nie było. Obejrzałam jeszcze wszystkie blaty, pogrzebałam w leżących pod telewizorem tygodnikach, na wszelki wypadek przeszukałam kuchnię i nic. Zdenerwowana zadzwoniłam do Marcina, który powiadomił mnie, że luksusowo przejechał się radiowozem, wzbudzając sensację wśród wystawiających łeb za

okno sąsiadów, ale jakichkolwiek kontaktów z teczką wyparł się stanowczo. Nic innego, tylko diabeł ogonem nakrył.

W końcu Krzysztof uznał za słuszne iść do domu. Zdjęcia mógł mi dostarczyć jutro rano. Raz je wreszcie obejrzę i będę miała z głowy. Pożegnanie jakoś potrwało nam długo. Krzysztof, żegnając się, chciał mnie pocałować, niewykluczone, że w policzek, ale niedokładnie mu wyszło. Potem zajęliśmy się czynnościami, które z tej niedokładności same wynikły i służbowymi trudno je nazwać. Kuba właśnie wracał ze spaceru i szczerknął pod drzwiami, gdy udało nam się częściowo od siebie oderwać. Krzysztof jakoś więcej przytomności niż ja odzyskał, do otwierania drzwi się rzucił i błyskawicznie za nimi zniknął. Tylko jeszcze z dołu domofonem zadzwonił, żebym dokładnie wszystko pozamykała. Zamknęłam i rozmazana poszłam spać. Teczki z tymi głupimi zdjęciami już nie szukałam.

Marcin objawił się parę minut po dziewiątej. Zgodnie z ułożonym planem miał przy mnie warować od rana, a ja zamierzałam wyjechać i różne sprawy pozalać. O tym, że zginęły zdjęcia i musiałam czekać, aż Krzysztof je ponownie przywiezie, nic nie wiedział.

- Jak rany, mogłaś zadzwonić, to bym chociaż śniadanie zjadł, bo nie zdążyłem. Wczoraj miotałem się jeszcze trochę. Tak myślę o tym Maciejewskim i myślę. Z jednej strony mam same wątpliwości. Ale jak patrzeć z drugiej strony, to rzeczywiście, tajemnicę chciał utrzymać.

Odpracowałam poranne ablucje i makijaż, podczas gdy Marcin stał pod drzwiami łazienki, wyrażając swoje wątpliwości i nadzieje. Niespecjalnie go nawet słuchałam, ale uwaga o śniadaniu do mnie dotarła. W stanie nadającym się do przyjmowania gości nakryłam na trzy osoby. Założyć się mogłam, że Krzysztof przyjdzie za moment.

Pojawił się, gdy zaczęliśmy się pożywiać. Oczywiście znowu nie zamknęłam drzwi na zamek po wpuszczeniu Marcina i zostałam za to zganiona. Przywitał mnie jednak z błyskiem w oku, i to wystarczyło, żebym poczuła się szczęśliwa. Miejsce przy stole zajął sam z siebie, nie zapraszany. Widocznie uznał je za sobie przynależne i od razu zabrał się do konsumpcji. Też nie zdążył zjeść wcześniej śniadania. Postanowiłam rozszerzyć planowaną listę zakupów. Możliwe, że będę żywiła ich obu.

O zdjęciach na razie mowy nie było. Marcin dalej snuł wielokierunkowe przypuszczenia, Krzysio niektórym przytakiwał.

- Ciekawa jestem, gdzie ta teczka ze zdjęciami wczoraj zginęła. Rozglądałam się dzisiaj po całym mieszkaniu i dalej jej nie dostrzegam - powiedziałam, stawiając na stół dzbanek z herbatą. I ja, i Marcin lubiliśmy herbatę i mogliśmy ją pić litrami.

- Tobie wczoraj chodziło o teczkę czy o zdjęcia? - zapytał Marcin. - O teczkę jakąś mnie pytałaś?

- O teczkę ze zdjęciami - wyjaśniłam.

- Trzeba było od razu tak mówić. Wiem, gdzie jest. Ja ją do albumów włożyłem. Albumy tu masz ze zdjęciami. Pod telewizorem. Jak mnie o teczkę spytałaś, to myślałem, że jakieś dokumenty zgubiłaś.

Rzuciłam się teczki pomiędzy albumami szukać, znalazłam i przy swojej szklance położyłam. Usiadłam spokojna, że jednak nic nie zginęło, a Krzysztof wyjął z kieszeni zdjęcia. Duże, w pocztówkowym formacie.

- Fotograficy mi dzisiaj zrobili, na żądanie. Odbitki są niezłe, sam sprawdzałem. Ciekaw jestem, czy kiedykolwiek ją spotkałaś? - powiedział, podając mi fotografie.

Obejrzałam zdjęcia. Dwa prawie portretowe i kilka z różnymi osobami, jakby pamiątkowe. Blondynka na zdjęciu, chyba raczej ciemna blondynka, nawet dość urodziwa, z niczym mi się nie kojarzyła. Pozastanawiałam się chwilę i byłam pewna, że tej dziewczyny w życiu nie widziałam.

- Takiego zdjęcia z dowodu nie masz? - spytałam na wszelki wypadek.

- Nie, dowód trzeba było oddać do ewidencji ludności. Chyba jeszcze Poznań to zrobił. Do niczego nie było potrzebne.

- A jak to się stało, że Poznań jej dowód dostał? Przecież dokumenty znaleziono tu, w Łodzi? - indagowałam z czystej ciekawości.

- Dokładnie nie wiem. Jeszcze wtedy tej sprawy nie prowadziłem. Chyba ktoś z Poznania tu przyjechał i przypadkiem te znalezione dokumenty zobaczył. Jakiś śmieciarz je znalazł i na komendę przyniósł. Przypadek.

Dusza mi drgnęła i koniecznie chciała uruchomić umysł, który w obecności Krzysia w jakiś bezwład popadał i samozadowolenie. Sama też stwierdziłam, że na tle uczuciowym w ogłupienie wpadam, chociaż powinnam błyskać inteligencją i świecić olśnieniami intelektu, jeśli na zrealizowaniu celów uczuciowych mi zależy.

- Nie wydaje ci się, że za dużo tych przypadków? Jakoś tak wychodzi, że wszystko w tym twoim śledztwie z przypadków pochodzi. Nic normalnego, z logiką w związku w tym śledztwie nie ma? - zapytałam nieco niegrammatycznie, bo dusza mną miotła, ale nie byłam w stanie sprecyzować, o co jej chodzi. - Dlaczego ta sprawa do Łodzi przyszła?

- Mówiłem ci przecież. Zamordowana z okolic Łodzi pochodzi, wy dwie też jesteście z Łodzi, no i tu znaleziono dokumenty. Samo się nasuwa, że zabójca z Łodzią ma coś wspólnego i tutaj działa. Z Poznaniem nic się nie wiązało, tyle że na ich terenie trupa znaleźli - wyjaśniał cierpliwie Krzysztof. - Masz jakiś pomysł?

- Coś mi się majaczy, ale chyba jak Marcin w manię prześladowczą popadłam.

- Ja w żadną manię nie popadam. Okoliczności różne rozpatruję, prawdopodobieństwa czasowe i faktyczne - z godnością odparł Marcin. - Przypuszczenia snuję. Każdemu wolno.

- No, nic teraz nie wymyślę - westchnęłam. - Zabieraj te konterfekty. Nie potrzebuję w domu zdjęć nieznannej nieboszczki.

Otworzyłam teczkę, zamierzając włożyć do niej przyniesione luzem fotografie. Krzysztof wyciągnął rękę, zderzyliśmy się i zdjęcia wraz z teczką spadły na podłogę. Krzyś podskoczył, by je pozbierać, ja pochyliłam się w tym samym celu, nie wstając z krzesła, zderzyliśmy się głowami i nagle coś dostrzegłam.

- Czekaj! Nie dotykaj niczego! - krzyknęłam dramatycznie, odsuwając krzesło.

- Co? O co chodzi? - zapytał Krzysztof, sięgając po zdjęcia. Padłam na kolana, odtrącając jego rękę. W sumie wyszło to tak, jakbym mu biła pokłony, gdyż aby obejrzeć leżące na podłodze fotografie, pochyliłam się najmocniej jak mogłam.

- Co tam macie? - zainteresował się Marcin, podnosząc się z krzesła. - Czy ty mu się przypadkiem oświadczasz? - spytał zainspirowany moimi ćwiczeniami gimnastycznymi.

- Spokojnie. Obaj usiądźcie, a ty mi patrz, Krzysztof, na ręce, czy dobrze wszystko robię - poleciłam.

Delikatnie podniosłam z dywanu otwartą teczkę wraz z leżącymi na niej zdjęciami luzem, potem dwa zdjęcia leżące na podłodze po prawej stronie teczki. Jedno z niej wypadło, drugie pochodziło z tych dzisiaj przyniesionych. Potem jeszcze jedno, które upadło z lewej strony.

- Krzysiu, na podłodze to tak leżało? - spytałam, gdy odtworzyłam już sytuację, przynosząc zdjęcia z podłogi na stół.

Pokiwał potwierdzająco głową, patrząc na mnie z zaciekawieniem.

- Ja coś widzę, ale pewna nie jestem. Sprawdź - powiedziałam z zapartym tchem.

Odsunęłam zdjęcia leżące na teczce i wyjęłam jeszcze dwie fotografie. Jedna z nich w oczywisty sposób pochodziła z dowodu osobistego. Ułożyłam je równo, nad nimi umieściłam fotografie, które dzisiaj przyniósł Krzysztof.

- Widzicie to co ja? - spytałam.

- O, w mordę! - powiedział Marcin. - Dwie różne baby. W końcu ilu ty masz tych nieboszczyków?

Krzysztof milczał, z niedowierzaniem wpatrując się w dwa rzędy fotografii. Dolny rząd pochodził z teczki, w górnym ułożyłam zdjęcia przez niego dzisiaj przyniesione. Z całą pewnością były to dwie różne osoby, choć nieco do siebie podobne. Taki sam owal twarzy i linia włosów, zbliżonych kolorem.

Dusza drgnęła mi silniej i wiedziałam, o co jej chodzi. Tę dziewczynę z dolnych zdjęć z pewnością kiedyś już spotkałam.

- Nieprawdopodobne - powiedział wolno oszołomiony Krzysztof.

- Ty masz dwie nieboszczki. To te obie na zdjęciach? - dowiadywał się Marcin. - Żadna z nich nie jest panią Honoratą. Znam ją. Kiedyś tu na nią wpadłem. Czy ona żyje?

- Powiem wam. Powiem wam, że tę z dolnych zdjęć ja kiedyś spotkałam. Jeszcze sobie nie przypominałam gdzie i kiedy, ale jestem pewna, że ją widziałam. Żywą - oświadczyłam uroczyście.

Marcin gwizdnął, Krzysztof zaintrygowany popatrywał to na mnie, to na ułożone na stole fotografie.

- Olśnienie umysłowe mam - powiedziałam. - Marcin coś mówił o związkach czasowych i skojarzyło mi się. Zauważ, Krzysiu, że ci bandyci zaczęli nas prześladować natychmiast po powrocie. Kiedy ty dostałeś tę sprawę z Poznania? Chyba później? Jak już dechy na Lalkę zleciały? Dobrze mówię?

- No, owszem. Sam ci mówiłem, że czynności przy tej sprawie policja podjęła z rozpełdu, wcale jej ze znaną przez was dziewczyną nie kojarząc. Mnie się to jakoś połączyło - odpowiedział.

- Skąd wzięłeś te zdjęcia z teczki?

- Z Poznania dostałem. Kiedy pojechałem tam przejmować sprawę, poprosiłem, żeby mi od ręki zrobili w laboratorium. Przewidywałem, że może komuś trzeba będzie od razu okazać fotografie tej znalezionej, i nie chciałem czekać, aż mi w Łodzi zrobią.

- Te, co dzisiaj przyniosłeś, zrobili z tego, co w aktach masz? - pytałam, choć dla mnie było to pytanie retoryczne. Byłam pewna, skąd pochodzą okazane mi fotografie.

- Oczywiście. Żadnych innych zdjęć tam nie było. Tylko tej zmarłej na skraju drogi.

- Gdzie ci to podmienili, sam sprawdzaj, choć po mojemu wychodzi na to, że co najmniej jeden policjant jest w to wmieszany. I miałaś rację, że tym bandytom chodzi o coś, co się zdarzyło. O nasze kontakty z tą znaną. Tyle tylko, że myśmy ją spotkały przed wyjazdem do Niemiec. No, ściśle biorąc, w chwili wyjazdu.

Dwie kolejki pojazdów czekały na przekroczenie granicy. Przed maską mojego auta wiał się wąż samochodów osobowych, z prawej charczały i sapały ogromne ciężarówki. Może pół godziny po ustawieniu się w kolejce zobaczyłam, jak z jednej z ciężarówek przede mną wysiada młoda dziewczyna z torbą. Zaczęła iść w naszą stronę. Na samochodach przed nami, wypakowanych rodzinami udającymi się na urlop, spojrzenia nie zatrzymała, dopiero jak nas zobaczyła, coś jej w oczach błysnęło.

Wiedziałam, w czym problem. Do granicy dojechała TIR-em i dalej też po Europie chciała podróżować autostopem. Z nieznanых jednak przyczyn nie mogła polskiej granicy przekroczyć w szoferce ciężarówki, choć mogła do niej wsiąść z powrotem dwa kroki dalej. Niemców to nie obchodziło. Pieszko też granicy by nie przeszła, gdyż Polacy oznaczyli to przejście jako samochodowe i przekroczyć granicę mogła tylko na kołach.

Nie myliłam się. Jak zobaczyła, że w samochodzie jesteśmy tylko dwie, od razu się ku nam skierowała. Blondynka, długie włosy związała czymś luźno na plecach, ubrana w spodnie i adidas, taszczyła niespecjalnie dużą torbę. Setki takich widziałam na drogach Europy. Nie wyglądało na to, żeby wiozła jakąś kontrabandę.

- O rany. Pani wie już, o co chodzi, prawda? - zapytała. - Dojechałam tutaj ze znajomym, ale nie mogę z nim przekroczyć granicy. Pozwoli mi pani przejechać w swoim samochodzie? Słowo daję, za granicą z powrotem tym TIR-em pojedę.

Przyjrzałam się jej dokładniej. Oczy miała zbyt blisko i głęboko osadzone, co jej urody nie dodawało. Usta też były zbyt szerokie i jakby nazbyt ruchliwe, ale preferencje seksualne miałam ustalone i jej uroda mnie nie obchodziła.

- Jak myślisz? - zwróciłam się do Lalki.

- Przemytu żadnego pani przy sobie nie ma? - spytała Lalka, wysiadając na chwilę z samochodu, prażyłyśmy się bowiem w słońcu już blisko godzinę i nawet otwarte na przestrzał okna nie pomagały.

- Naprawdę mogę? Oczywiście, że nic nie przewożę. Mogę pani pokazać. Trochę ubrania tylko - ucieszyła się dziewczyna, podskoczyła do tylnych drzwi, otworzyła je i zaczęła wykladać z torby na siedzenie jakąś sukienkę i szpilki.

- Niech pani to schowa i nie robi mi bałaganu w samochodzie - powiedziałam. - Jak celnik będzie chciał, to mu pani pokaże. Gdzie pani jedzie?

- Tylko do Berlina. Ale ja mogę jechać tym TIR-em. On mnie gdzieś na Ringu wysadzi. Tam chodzą autobusy.

Lalka, niezainteresowana naszą rozmową, tkwiła na zewnątrz, wachlując się gazetą, którą usiłowała czytać przez całą podróż. Dziewczyna, jakby niepewna mojej zgody, usiadła w samochodzie z torbą na kolanach.

- Niech pani położy ją obok. Miejsca wystarczy - odezwałam się do niej.

- Och, dziękuję. Ale tu leży takie coś. Piękny kolor - powiedziała, podnosząc z sąsiedniego siedzenia papeterię w kolorze pierwszych wiosennych liści.

Też byłam zdania, że kolor jest piękny, i z tego powodu nabyłam papeterię na stacji benzynowej, gdzie po raz ostatni tankowałam przed granicą. Rzuciłam ją beztrąsko na tylną kanapę i o zakupie zupełnie zapomniałam.

- Niech ją pani gdzieś wepchnie. Też ją dla koloru kupiłam, bo żadnych listów na razie nie mam zamiaru pisać. W ogóle wątpię, czy będę jej używała zgodnie z przeznaczeniem.

Dziewczyna upchnęła gdzieś papeterię, słońce grzało, posuwaliśmy się do przodu w tempie trzech metrów na minutę. Niezadowolenie we mnie pęczniało i dobrze, że pasażerka z tyłu nie okazała się gadatliwa. Rzuciłam okiem w lusterko, zajęta była pisaniami.

Po trzech tysiącach lat prażenia się w słońcu wjechałyśmy pod wiatę nad stanowiskami celników i straży granicznej. Nie mieli nic do nas i po obejrzeniu paszportów przepuścili. Podjechałam do stanowiska Niemców. Możliwe, że znali mnie albo mój samochód z wcześniejszych podróży, Niemiec bowiem tylko machnął ręką „Jechać dalej”, i nawet nie pofatygował się, aby wyjść ze swojej budki.

Odprawa ciężarówek odbywała się na równoległym pasie. TIR, którym jechała nasza pasażerka, był nieco przed nami i jednocześnie ze mną podjechał na stanowisko polskich celników. Coś tam do niego zagadali i kazali zjechać. Wiedziałam, że to zapowiedź szczegółowej kontroli. Niekoniecznie musieli kierowcę podejrzewać o przemyt. Z wyliczenia im wypadło, że mają mu kontrolę przeprowadzić. Osobiście byłam zdania, że takie wrywkowe sprawdzanie psu na budę się zda, a w ogóle w trosce o dobro naszego importu z Polski powinniśmy wypuszczać absolutnie wszystko. Wszelki bowiem import, nawet nielegalny, jest dla nas korzystny, bo przecież ten towar do przemytu ktoś musiał w Polsce wyprodukować. Ochrona Niemców czy innych państw Unii Europejskiej przed naszym importem nie leżała w interesie kraju i tej działalności celników pojąć nie mogłam.

- No, zdaje się, że do Ringu dojedzie pani z nami. Chyba że chce pani wysiąść tutaj - powiedziałam, wskazując na zjeżdżający na bok TIR.

- Bardzo będę pani wdzięczna! Ojej, długo go będą tu trzymać? - wykrzyknęła.

- Nie wiem. Zależy, co wiezie i jak dokładnie będą go sprawdzać. W każdym razie wątpię, czy nas dogoni. Zostawiła pani coś u niego?

- Nie, nic. Sympatyczny facet.

Ze stanowisk celnych zjeżdżałam powoli. Zaraz za mostem na Odrze droga przekształcała się co prawda w wielopasmową autostradę, ale zwykle prawy pas zajmowały najwolniejsze ciężarówki, środkowym jechały samochody osobowe przemieszane z ciężarówkami, lewy pas zaś powinien teoretycznie pozostać dla szybszych pojazdów. Była to jednak tylko teoria. Kierowcy TIR-ów znecierpliwieni długim oczekiwaniem, a może poganiani terminami, co chwilę zjeżdżali na lewy pas, wyprzedzając wolniejsze ciężarówki i snujące się niespiesznie samochody osobowe. Zwłaszcza polskie auta pierwsze kilometry za granicą przemierzały wolno, wypełnione pasażerami z zachwytem obserwującymi obce lasy i niemieckie ptaki.

Berliner Ring to obwodnica wokół Berlina. W niektórych miejscach przecina Berlin na skraju podmiejskich osiedli; na ogół jednak autostrada, szczególnie jej południowy skraj, którym miałyśmy jechać, przebiega przez lasy. Przypomniałam sobie, że w jednym miejscu widziałam kierunkowskaz na Tempelhof i obok niego znak przystanku autobusowego.

Zapamiętałam nazwę, bo Tempelhof kojarzy mi się z lotniskiem, na które chcieli się dostać Polacy, kiedy w czasie stanu wojennego porywali samoloty.

Żar w środku zelżał po kilkunastu kilometrach jazdy, Lalka wydawała się bardziej zdolna do życia i wdała się w rozmowę z naszą pasażerką. Słuchałam ich gaworzenia jednym uchem, skupiona na wyprzedzaniu różnych pojazdów zdążających w tym samym kierunku. Do Ringu dojechałyśmy szybko, zaczęłam więc wyjaśniać, że pozostawimy dziewczynę na skraju południowym obwodnicy, w środku lasu, i dalej będzie musiała radzić sobie sama.

Niezrażona tym, wyjaśniała Lalce, że tak jak ona ma zamiar wrócić do domu samochodem. Spytałam, czy ma przy sobie pieniądze na kupno auta, gdyż wydawało mi się, że pozostawienie dziewczyny na skraju lasu z grubszą gotówką może być niebezpieczne. Poza tym z doświadczenia wiedziałam, że im bliżej polskiej granicy, tym wyższe są ceny w różnych autotohandlach.

Odpowiedziała, że przy sobie ma niewiele pieniędzy, ale na pewno dostanie je w Berlinie. Nie wydawało mi się to prawdą, może w ostatniej chwili przestraszyła się, że ma przy sobie sporą kwotę, a jest sama. Nie wypytywałam jej dalej.

Podjechałam do tego hipotetycznego przystanku autobusowego, sprawdziłam, że to rzeczywiście przystanek, i nawet udało mi się ustalić, iż najbliższy autobus zmierzający do Berlina powinien się objawić za trzydzieści pięć minut. Z daleka widziałam, że Lalka coś do dziewczyny mówi, a ona coś zapisuje. Nie interesowało mnie to specjalnie, wróciłam do samochodu, mówiąc, że autobus niedługo przyjedzie. Przystanek był co prawda w cieniu i samochód też, jednakże oczekiwanie z dziewczyną na autobus uznałam za zbytek uprzejmości.

Czekało mnie jeszcze kilkaset kilometrów i wołałabym dojechać do nieznanego mi Osna-brück w świetle dziennym.

Dziewczyna zabrała torbę, trzasnęła drzwiami, które odruchowo zamknęłam od środka, i w chwili gdy warknęłam silnikiem, krzyknęła coś jakby „zostawiłam” czy „zostanę” i „przyjdę”. Nie zwracałam już na nią uwagi, bo chciałam włączyć się do ruchu. Widziałam, że z daleka środkowym i lewym pasem jadą jakieś pojazdy, potrzebny mi był wolny skrajny prawy pas, lecz kiedy się na nim znalazłam i dodałam gazu, z drogi oznaczonej kierunkowskazem na Tempelhof wyjechał obrzydliwy mercedes. Natychmiast musiałam gwałtownie hamować, udało mi się nie rozbić mu kufra, zjeżdżając w lewo. Jadący środkowym pasem pojazd zaprotestował, grmiąc klaksonem przeciwko uprawianej przeze mnie ekwilibryście. Dodałam gazu. Mercedes też. Pojazd za mną zjechał w lewo, dotychczasowy użytkownik lewego pasa też właśnie nadjechał i przyciskał klakson w rozpaczliwym proteście. Stałam na hamulcach, żeby umożliwić temu, który zjechał w lewo, powrót na środkowy pas. Obrzydliwy bydlak z mercedesa również zmniejszył szybkość i jechał równolegle ze mną. Otarłam pot z czoła. Karambolu udało nam się uniknąć.

Przez najbliższe pół godziny tematem konwersacji był obrzydliwy buc z mercedesa. O dziewczynie więcej nie rozmawialiśmy.

Widziałam to wszystko oczami duszy i opisałam teraz możliwie dokładnie.

- No, spotkałyście dziewczynę. Jakąś. Nie wiadomo, tę zabił czy inną. Nic z tego jednak nie wynika - powiedział zmartwiony Krzysztof. - Która to była, możemy sprawdzić. Wątpię, czy odciski linii papilarnych też podmienili. Nadal nie rozumiem, dlaczego jacyś bandyci nie chcą, żebyś rozpoznała dziewczynę spotkaną na granicy. O tym, że była w Niemczech i wróciła, sami wiemy.

- Ale oni mogą nie wiedzieć, co nam powiedziała. Może przypuszczają, że coś ważnego - rzuciłam w natchnieniu, dusza bowiem działała dalej i nie pozwoliła mi spocząć na laurach.

- Czy ona ci czegoś nie dała? Jakichś notatek, adresu. Może mówiła o kimś. Jakieś nazwisko. Adres. Żebyś miał coś konkretnego - mówił Krzysztof.

Dusza przypominała mi, że zostawiłam papeterię w samochodzie. Nic to nie dawało, ale nie mogłam pozbyć się myśli ojej prześlicznym kolorycie.

Zdawało mi się, że dziewczyna coś pisała. Nie podczas rozmowy z Lalką, wcześniej, kiedy czekałyśmy na przekroczenie granicy. Nie mogłam pozbyć się duszy z jej upartą sug-

stią. Postanowiłam załatwić rzecz od razu. Nigdzie mi się nie śpieszyło, a duszę miałam wyjątkowo upartą. Potrafiła przyczepić się do czegoś na mur i trzymać przez wiele godzin.

W ponurym milczeniu wzięłam kluczyki od samochodu, klucze od domu i zarządziłam:
- Idziemy. Muszę coś sprawdzić, bo inaczej spokoju mieć nie będę.

Parking, jak zwykle przed południem, był pusty. Na środku stał mój golf, tak jak go przedwczoraj pozostawiłam. Daleko po bokach widziałam dwa maluchy. Widywałam je codziennie, zawsze nieruchome. Przypuszczałam, że nie nadają się do jazdy albo może ktoś nam podrzucił wraki, których chciał się pozbyć.

Krzysztof i Marcin przemierzali parking wraz ze mną. Szłam pół kroku z przodu, oni po obu stronach wyglądali jak honorowa eskorta. Otworzyłam tylne drzwi od strony pasażera i zajrzałam do kieszeni na siedzeniu. Jasnozielona papeteria w niej tkwiła. Wyjęłam ją i otworzyłam. W środku zobaczyłam porządnie zaadresowany list w kopercie pochodzącej z papeterii. Krzysztof przepchnął się obok Marcina i prawie wyrwali mi drzwi.

- Nie dotykaj! Odciski! - krzyknął Krzys.

Sama wiedziałam, ale ciekawa już byłam nieprzytomnie. Rozwikłanie zagadki, dlaczego mnie obrzydliwe typy prześladowają, pozwoli wreszcie się od nich odczepić. Nie miałam zamiaru rezygnować z osobistego rozwiązania tej sprawy.

Odłożyłam papeterię na tylne siedzenie. Sięgnęłam do wozonej pod szybą apteczki i wyjęłam z niej rękawiczki chirurgiczne. Obowiązkowe wyposażenie apteczki woziałam w dwóch egzemplarzach, jedną parę podałam więc Krzysowi. Założyłam rękawiczki, wzięłam papeterię i wyjęłam z niej list. Był zaklejony. Uznałam, że zabiorę go wraz z papeterią do domu i tam przeczytam. Nikomu nie dałabym wyrwać sobie rozwiązania upiornej zagadki.

Krzysztof najwidoczniej zobaczył, że listu i papeterii wydrzeć sobie nie dam, zatrzymał mnie tylko na krawężniku, pytając, czy od powrotu z Niemiec sprzątałam w samochodzie. Uczciwie odpowiedziałam, że nie. Zrozumiałam, że chodzi o odciski linii papilarnych dziewczyny, którą wiozłyśmy, oddałam mu więc kluczyki od samochodu, zalecając, żeby mi nie przy poszukiwaniach nie popruli. Ostatecznie ten biały proszek, którym wszystko posypują, mogę posprzątać. Wróciłam do budynku z towarzyszącym mi Marcinem. Krzysztof oddalił się gdzieś i prawdę mówiąc, kierunek był mi chwilowo obojętny.

Byłam pewna, że za chwilę dowiem się, jaka banda mnie prześladowała i dlaczego chciała mnie i Lalkę zetrzeć z powierzchni ziemi. Minęliśmy pierwsze piętro, gdy dogonił nas Krzysztof. Zasapany nieco zaczął coś wyjaśniać, ale szczególnie uważnie go nie słuchałam. Minęliśmy drzwi drugiego piętra, gdy nagle rozległ się potężny huk. Krzysztof zawrócił, pę-

dząc na dół. Ja przyspieszyłam, aby się dostać do mieszkania. Wydawało mi się, że huk rozległ się na parking. Ze swoich okien miałam bardzo dobry widok na parking.

Sforsowanie drzwi zajęło nam trochę czasu, zgodnie z instrukcjami Krzysztofa zamykałam je bowiem solidnie na wszystkie trzy zamki. W manipulacjach przeszkadzał mi przy tym Marcin, który koniecznie chciał służyć męską siłą i pomocą. W końcu wpadliśmy do mieszkania i poleciliśmy do okna.

Na środku parkingu dymiły szczątki mojego golfu. Wśród nich od czasu do czasu błyskały płomienie. W pewnej odległości od niego zobaczyłam Krzysztofa mówiącego coś gwałtownie do komórki lub radiostacji. Było to w każdym razie coś niewielkiego, a dokładnego rozpoznania z tej odległości nie mogłam dokonać. Moje jedyne okulary pozostały w samochodzie.

- Co widzisz? Mów! - złapałam za rękę Marcina, który wzrok miał normalny i mógł dostrzec znacznie więcej ode mnie szczegółów.

- Zaraz. Rękę mi urwiesz. Sama widzisz, że to twój samochód. Wybuchł chyba. Ciekawe dlaczego? Jakiś zdalnie sterowany ładunek? - zastanawiał się głośno. - No to się spóźnili. Gdyby rąbnęło wcześniej, nie miałybyś głowy.

Przeżrana pognałam na korytarz. Oczywiście drzwi zostawiliśmy szeroko otwarte. Na pewno Krzysztof nie będzie teraz zamykania drzwi pilnować. Sama o siebie muszę się zatroszczyć. Z tym postanowieniem przekręciłam wszystkie trzy zamki i wróciłam do Marcina tkwiącego przy oknie.

Na parkingu kłębił się już tłum. Zobaczyłam kilku sąsiadów z niższych pięter domagających się od Krzysztofa wyjaśnień. Ci mieli prawo tam być. Szyby na niższych piętrach wyleciały. Krzysztof usiłował opanować tłum, wzbraniając ludziom podchodzenia do palącego się samochodu. Niektórzy go słuchali, większość pchała się oglądać z bliska widowisko. Nagle wszyscy od wraka odskoczyli.

- Pewnie im powiedział, że mogą być następne wybuchy - zachichotał Marcin.

- Zostaw to. Musisz mi pomóc! - zakomenderowałam.

- Samochodu nie mam, więc ci nie pożyczę. Nie wiem zresztą, czy by było warto. Chyba że jakiś wrak kupię i tobie sprezentuję. Odszkodowanie powinni wypłacić. Jakby tak wysoko ubezpieczyć, to może z tego wyszedłby interes? - mówił, wciąż jednym okiem zerkając za okno.

Usłyszeliśmy policyjne syreny. Krzysztof otrzymał posiłki. Teraz będą odganiać ciekawskich, a zaraz przyjedzie ekipa do szukania śladów. Było mi wszystko jedno, jakiego rodzaju materiału wybuchowego użyto do likwidacji samochodu. Faktem było, że już go nie

miałam, a wraz z nim straciłam miejsce pracy. Powinnam się rozejrzeć za jakimś innym zatrudnieniem.

List wraz z papeterią leżał na stole i drażnił jaskrawą zielenią. Poszłam do kuchni, wzięłam ostry nóż i włożyłam rękawiczki chirurgiczne. Pomyślałam przez chwilę i pobiegłam do sypialni po nabyty kiedyś polaroid. Przy jego użyciu mogłam sfotografować list czy co tam było w zaklejonej kopercie.

Rozciąłam kopertę i znalazłam w środku cztery kartki. Pismo było niewprawne, nie przypominało ani mojego, ani Lalki. Uwieczniłam wszystkie strony tekstu oraz kopertę i zostawiłam fotografie, aby pod wpływem światła się wywołały. Że zabiorą mi list, a możliwe, że i papeterię, wątpliwości nie miałam. Kopie mi jednak zostaną i może z ich treści dowiem się, o co chodzi. W każdym razie będę miała pożywkę do przypuszczeń.

Marcin stał przy oknie i raportował, co widzi, nic się tam jednak ciekawego nie działo. Policjanci się rozmnażali, co było do przewidzenia. W końcu Marcin powiedział:

- Krzysiek idzie do nas.

- Skąd wiesz? - spytałam z niewielkim zainteresowaniem, byłam bowiem jakaś klapnięta i pozbawiona energii.

- Machał do mnie - odparł.

Oboje wyszliśmy na korytarz. Czekaliśmy pod drzwiami, a Krzysztof chyba czołgał się po schodach, bo bardzo długo nie słyhać było jego kroków. W końcu, gdy stanął na podście, Marcin nie wytrzymał i otworzył drzwi.

Krzysztof był smutny i bardzo przygaszony.

- Co się stało? Zdalnie to zdetonowali? - zapytał Marcin, ignorując nastrój Krzysztofa.

- Nie. Wybuchło po przekręceniu kluczyka w stacyjce - odpowiedział.

Zapadła cisza. Uświadomiłam sobie, że gdybym to ja ruszyła samochód, zostałabym tam na parkingu. Wraz z Marcinem, który przecież wsiadłby ze mną. Ogarnęła mnie groza. I zaraz potem uświadomiłam sobie, że przecież ktoś ten kluczyk przekręcił.

- Zginął policjant? - spytałam retorycznie, znałam już bowiem odpowiedź.

Krzysztof smutno potwierdził. Obaj w milczeniu ruszyli do pokoju. Ja starannie zamknęłam drzwi.

- Zabezpieczyć to muszę. - Krzysztof wskazał na kopertę i wyjęte z niej kartki, po czym ospale umieścił je w foliowych torebkach przeznaczonych dla zabezpieczania różnego rodzaju śladów. Jak przewidywałam, całą papeterię też mi zabrał. - Zginął jeden z obstawy. Miał jechać do komendy, żeby ślady zebrali - powiedział i ciężko usiadł przy stole.

Milczeliśmy przez chwilę. Trudno było coś powiedzieć, chociaż dusza zaczęła mnie niepokoić, a i rozum zaczął się wtrącać.

- Przykro, ale to przecież dla mnie było przeznaczone. Gdyby nie ta kotłowanina z fotografiami, my z Marcinem byśmy tam właśnie leżeli. Chociaż raczej siedzieli - wyrwało mi się nietaktownie.

Krzysztof jakby się nieco ożywił. Obejrzał nas oboje. Pokiwał głową.

- Faktycznie, szczęście do tych bandziorów masz. Marcin tak samo. Jak nic mogliście się tam teraz palić. Ale to znaczy, że informacje, które dziewczyna zostawiła, są bardzo ważne. Czytałaś, co tam jest? - Wskazał na wyjęte z koperty kartki.

- Tylko z grubsza, jak przeglądałam. Nie dostrzegłam tam jakichś wstrząsających informacji. Mam kopie i zastanowię się później. Wydaje mi się, że najwyższy już czas zadzwonić do Lalki. Może ona coś więcej z tego spotkania pamięta. Zakupy muszę zrobić - jęknęłam, uświadomiwszy sobie, że zostałam pozbawiona samochodu.

- Możesz pojechać moim. Poczekaj tylko, aż nowa obstawa z komendy przyjedzie. Teraz już cię nigdzie samej nie puszcę - odparł Krzysztof.

Zabrzmiało to bardzo troskliwie, opiekuńczo i podreperowało trochę moje podłe samopoczucie.

- No, ja nie wiem, czy powinienś jej dawać własny samochód. Jak ją w nim zobaczą, to i tobie jakąś bombę podłożą - odezwał się Marcin.

- Tylko ten jeden raz. Nie mogę z wami jechać, na dole muszę być i sprawdzać, czy wszystkie niezbędne czynności wykonają. Złapiemy tych łobuzów i nie chcę, by się wywinęli od odpowiedzialności z powodu niedokładności w materiale dowodowym - powiedział Krzysztof, wręczając mi kluczyki i kartę wozu. - Na Uniwersyteckiej stoję, po tej stronie.

- Co w taki pogrzebowy nastrój wpadłaś? - zapytał Marcin po wyjściu Krzysztofa. - Cieszyć się powinniśmy, że żyjemy. Mało brakowało.

- Może masz rację, ale jakoś nie mogę. Najpierw pani Honorata zamiast mnie zginęła, teraz jakiś policjant. Smutne to - odpowiedziałam.

- No to zacznij sobie przypominać, co ci ta dziewczyna powiedziała, bo jak tak dalej będzie, to jeszcze kilka osób za ciebie do piachu pójdzie! - wrzasnął Marcin i wyszedł do kuchni.

Sięgnęłam po leżące na parapecie fotografie listu czy zapisków pozostawionych w kopercie. Raczej chyba listu, bo adresowany był do jakiejś Bibi. Może policji uda się odnaleźć dziewczynę tak nazywaną, bo na imię figurujące w dowodzie to nie wyglądało. Z dość nieskładnych zdań, odwołujących się do poczynionych kiedyś zwierzeń, wynikało, że autorka

obserwowała samochód, o którym mówiła wcześniej adresatce. Do tego samochodu wprowadzano jakieś dziewczyny z bagażami. „Tak jak ze mną, do bagażu dokładano dużą paczkę”, pisała autorka. Potem samochód odjeżdżał. Prawdopodobnie do Berlina. Na szczęście berliński adres został w liście podany, w oryginalnej nieco transkrypcji, nie wątpiłam jednak, że policja w porozumieniu z Niemcami ostatecznie ten adres ustali.

Autorka listu zapowiadała, że jedzie do Berlina i będzie tam obserwować „tego Kurta czy Klause”, jak napisała. Z owej obserwacji miały dla niej wyniknąć duże pieniądze i żywiła nadzieję, że wróci z nimi do domu najpóźniej za dwa tygodnie.

Zrozumiałam z tego, że ktoś w Polsce uprawiał jakąś działalność z udziałem jakichś dziewczyn, z którymi jeździł do Berlina. W działalność tę w Berlinie wplątany był Niemiec, ów Kurt lub Klaus. Autorka listu była pewna, że działalność ta ma charakter przestępczy, i na tym przypuszczeniu opierała swoje przekonanie, że zdobędzie duże pieniądze. Najprawdopodobniej miała zamiar zaszantażować znanego sobie Niemca. Przyjawszy, że to właśnie ją Lalka znalazła w krzakach, można było zakładać, że do spotkania z Niemcem i szantażu doszło, tyle że zakończył się on zupełnie inaczej, niż autorka listu przewidywała. Jeden konkret w tym był - berliński adres. Obejrzałam jeszcze fotografię koperty, która z ową Bibi w adresie nie miała nic wspólnego, i postanowiłam jednak zadzwonić do Lalki. Komórkę miała przy sobie i odebrać musiała. W najgorszym wypadku nagram się jej z informacją, żeby natychmiast oddzwoniła.

Wypukałam numer i bardzo długo słyszałam wyłącznie trzaski. Satelity i inne paskudztwa łączyły się ze sobą, trzeszcząc. Potem usłyszałam Lalkę. Zamiast oczekiwanego „Halo”, powiedziała:

- Wiem, że to ty, i nie dzwoń teraz. Jadę - po czym się rozłączyła.

Uparcie ponowiłam próbę. Ponownie po przeczekaniu trzasków usłyszałam ukochaną przyjaciółkę warczącą do telefonu:

- Odczep się. Autostradą teraz jadę. Trzeciej ręki nie mam - dalej słyszałam już tylko ciszę z szumem w tle. Znowu się rozłączyła.

Postanowiłam odłożyć kontakt z Lalką na później. Zapraǳnęłam zrobić zakupy. Też były konieczne, choć śmierć głodowa może nam jeszcze nie groziła. Zabrałam kluczyki i dokumenty pozostawione przez Krzysia, wypchnęłam z mieszkania Marcina, pozostawiając mu obowiązek porządnego zamknięcia drzwi, i zesłam na dół. O wypadku pani Honoraty wciąż przypominały paski rażącej żółci nalepione na windę. Postanowiłam nie zawiadamiać Krzysia o swym wyjeździe. Jeżeli zapasowa ekipa się zjawi i będzie za mną jechać, jakoś to przeżyję. W przeciwnym wypadku jadę tylko z Marcinem i niech diabli wezmą wszystkich bandytów.

W wojowniczym nastroju odnalazłam samochód Krzysztofa, którym okazał się czerwony opel corsa, i zasiadłam za kierownicą, kiedy dogonił mnie Marcin. Nastroju do pogawędek nie miałam i z ponurą determinacją ruszyłam do najbliższego marketu.

Marcin żadnych żądań nie zgłaszał, udało mi się więc znieść jakoś jego towarzystwo, a przy wypakowywaniu produktów przed kasą i ponownym ich zapakowaniu do wózka bardzo się przydał.

W mniej ponurym milczeniu, aktywność rozwinięta w markecie nieco mnie bowiem uspokoiła, otworzyłam bagażnik i wskazałam Marcinowi gestem, że oczekuję od niego przeniesienia zawartości sklepowego wózka do bagażnika. Powoli zaczęłam porządkować wrażenia i przeżycia. W końcu Marcin wsunął się na siedzenie obok, jakby nieco przestraszony.

- Czego się boisz? Żadnych bandytów tu nie widziałam.

- Ciebie - odpowiedział. - Głosu z siebie od wyjazdu z domu nie wydałaś i taka byłaś wściekła, że się odzywać nie chciałem. Przeszło ci już?

- Chyba tak. Trochę. Do domu teraz wrócimy i jakiś obiad ugotuję.

- Ja się specjalnie nie upieram, ale chyba byłoby dobrze, żebyśmy razem przebywali. Jak z tą obstawą obiecaną przez Krzyśka jest, to ja nie wiem. Nikogo nie widziałem. A w końcu ja chłop jestem. W razie czego tak od razu skasować się nie dam.

- Bzdury pleciesz. Na bomby i kule odporny nie jesteś. Widać, że na całość idą. Wcale im nie zależy na zrobieniu wrażenia, że to przypadek. Dam Lalce jeszcze trochę czasu. Może gdzieś stanie.

Wróciliśmy do domu. Ze względów bezpieczeństwa - albowiem obstawy obiecannej przez Krzysztofa wciąż nie było widać - ustaliliśmy, że ja będę na dole pilnowała samochodu, Marcin zanieśie wszystko na górę i pozostawi pod drzwiami. Potem wspólnie, po odstawieniu pojazdu, wejdziemy do mieszkania.

O tym, żeby zamknąć drzwi na wszystkie zamki, nie trzeba nam było przypominać.

Ułożyłam zakupy w lodówce, wstawiłam na kuchnię obiad i przygotowałam dla nas obojga kawę, zastanawiając się jakich argumentów użyć, by Lalkę do domu ściągnąć, a przede wszystkim nakłonić do przypomnienia sobie treści rozmowy z dziewczyną, którą od granicy do Ringu podwiozłyśmy.

Marcin szczęśliwie mało przeszkadzał, zajęty obserwacją działalności policji na parkingu. Aktywność policjantów ograniczała się do zbierania szczątków mojego samochodu rozrzuconych na dużej powierzchni. Rozumiałam, że jest to potrzebne do ustalenia rodzaju, wielkości i konstrukcji podłożonej bomby, ale o wściekłość przyprawiał mnie fakt, że nie

więcej nie mogli zrobić i nadal nie było wiadomo, kto i po co zabija. Krzysia Marcin przez okno nigdzie nie widział, możliwe, że czynności śledcze odpracowywał gdzie indziej.

Rola zwierzyny, na którą polują bandyci, też mało mnie zachwyciła. W mieszkaniu czułam się stosunkowo bezpieczna, ale pozbawiona samochodu, a zmuszona do załatwiania wielu spraw i korzystania z komunikacji publicznej, stawałam się łatwym celem. Kotłowało się to wszystko we mnie po cichu. Potrawy przy gotowaniu dźwięków żadnych nie wydawały, a moje zgrzytanie zębami też dużego hałasu nie wywoływało. Komunikaty o policji Marcin tkwiący przy oknie nadawał oszczędnie.

W tej ciszy usłyszałam nagle wyraźnie odgłosy, wskazujące, że ktoś majstruje przy zamku do drzwi kuchennych. Otwarcia tego zamka mogłam się co prawda nie obawiać, bo nie mogło to unicestwić tkwiącej w drzwiach antaby, ale na myśl o tym, że bandyci próbują dostać się do mnie, zrobiło mi się nieco słabo. Kuchenna klatka schodowa, wychodząca na ulicę Jaracza, domofonów nie miała i wejść na nią można było swobodnie i bez żadnych ograniczeń.

Poleciałam do Marcina, szeptem zawiadamiając go o odgłosach majdrowania przy drzwiach kuchennych. Ponieważ o tym wejściu do mieszkania Marcin nic nie wiedział, trochę czasu musiałam zużyć, żeby wytłumaczyć mu, w czym rzecz. Oboje wyjrzelśmy przez okno, usiłując dostrzec Krzysztofa na dole, nigdzie go jednak nie było. Wychylenie się przez okno, wrzaski i machanie do policjantów wydały nam się niestosowne, tym bardziej że i w ich skuteczność można by wątpić. Wyjaśnianie wrzaskami z trzeciego piętra, że ktoś się do drzwi od strony kuchennej dobiera, również mogło nie przynieść oczekiwanych rezultatów.

Na palcach podeszliśmy do kuchni. Ktoś, starając się zachować ciszę, nacisnął klamkę, usiłując otworzyć drzwi. Oczywiście z powodu zasuw było to niemożliwe. Wróciliśmy do pokoju, zastanawiając się gorączkowym szeptem, co robić. Z broni, można powiedzieć, białej, posiadałam w domu tasak i tłuczek. W bezpośrednim starciu z bandziorem mogło to być skuteczne. Przez chwilę zaświtał mi pomysł, żeby odsunąć zasuwę, otworzyć drzwi i z wrzaskiem runąć z owym uzbrojeniem na włamywaczy. Powstrzymała mnie myśl, że tamci mogą być uzbrojeni w pistolety lub rewolwery, znacznie skuteczniejsze również na odległość. Ostatecznie postanowiliśmy poprzestać na pewnej inscenizacji.

Marcin cichutko wyszedł drzwiami frontowymi, po czym nacisnął dzwonek i zaczął łomotać, wykrzykując „Policja”. Wpuściłam go do środka, gdzie wcielił się w możliwie tępego służbistę zawiadamiającego mnie gromko, że wobec zamachu na moje życie pozostawi w mieszkaniu dwóch policjantów dla bezpieczeństwa. Przedstawił ich nawet niemal wrzeszcząc, w pośpiechu używając do tego celu nazwisk dwóch naszych wspólnych znajomych.

Na palcach podeszłam do drzwi kuchennych, podczas gdy Marcin symulował głośną rozmowę ze mną w pokoju. Usłyszałam kroki kogoś zbiegającego po schodach.

Chwilowo bandziorów mieliśmy z głowy. Koniecznie musiałam skontaktować się z Lalką.

Zamiar mogłam zrealizować tylko w pokoju. Drzwi kuchenne przepuszczały dźwięki w obie strony i nie wiadomo było, czy włamywacze nie wrócili i pod nimi nie podsłuchują.

Wypukałam numer przyjaciółki i przeczekując trzaski i szumy połączenia, nastawiłam się duchowo na rozmowę.

- Nie mogę teraz... - usłyszałam.

- Zamknij się. Trupy tu padają. Musisz mnie wysłuchać. Zjedź na prawo.

- Dlaczego?

- Bo prawym pasem można wolniej jechać. Już, mówię!

- Zaraz, zaraz... - usłyszałam mamrotanie. - No dobrze, na dwa pasy w prawo skręciłam.

Już mogę wolniej.

- Stań gdzieś. Ważne rzeczy mam ci do powiedzenia. Gdzie jesteś?

- Na Przełęczy Breneńskiej. Tutaj nie ma gdzie stanąć! Autostrada jest! Po sześć pasów w jedną stronę!

- Budki tam są - przypomniałam sobie.

- Jakie budki?

- Za autostradę płacisz. Budki są.

- No, rzeczywiście. Co z tego?

- Za taką budką stań. Nie przejeżdżaj i nie płać. Stań na budce. Jakbyś się zepsuła.

Dziesięć minut ci daję - zakończyłam stanowczo, nie słuchając, co jeszcze Lalka do telefonu wykrzykuje.

W wyobraźni widziałam szarą skalną ścianę sięgającą nieba po lewej i bezkresną dal po prawej. W tej dali gdzieś, nisko, stały domki i kościoły z klocków. Z czerwonymi dachami. Skalna ściana po lewej miała ciepły szary kolor. Wyglądała jak porowata. Różne warstwy przenikały się wzajemnie, zwisały łagodnie, półokrągło. Skóra słonia widziana z bliska. Nawet ciepło biło od skał jak od żywego stworzenia. Poniżej, aż po horyzont, sześciopasmowa autostrada. Rozległe, wyasfaltowane pole poprzedzielane białymi liniami. Po tych pasach jak szybkie żuki w obie strony mknęły samochody. Każdy najszybciej jak mógł. Od czasu do czasu pojawiała się coś przypominającego nieprzystojne żółte wypryski. Budki, w których płaciło się za przejazd autostradą.

Z zegarkiem w rękę przeczekałam dziesięć minut i zadzwoniłam ponownie.

- No, stoję już za taką budą. Ci w środku robią do mnie miny i machają - rozpoczęła Lalka.

- Nie zwracaj uwagi. Tu trupy padają i zapowiada się, że będzie więcej - odpowiedziałam.

- Kto? I dlaczego więcej? - spytała zdziwiona Lalka.

- Samochód mi wysadzili. Z człowiekiem w środku. Znaczy z policjantem - wyjaśniłam.

- Dlaczego nie z tobą?

- A co? Wolałabyś z duchem teraz rozmawiać?

- Niekoniecznie. Co to za hekatomba? Wybuchy jakieś?

- Bomby podkładają. Na razie nie wszystkim. Tylko mnie.

- Jaśniej to jakoś powiedz. Nic nie rozumiem.

- Pamiętasz tę dziewczynę, którą zabrałyśmy na granicy? Kiedy jechałyśmy w tamtą stronę - zignorowałam pytania Lalki.

- No, pamiętam, zabrałyśmy. Jej to nie bardzo, wiesz, że do twarzy pamięci nie mam.

- Rozmawiałaś z nią. Pamiętasz?

- To chyba niekaralne?

- Przestań się wygłupiać.

- Słuchaj, jakiś z tej budki do mnie idzie. Ja tu stać nie mogę.

- Za tymi budkami, od twojej strony, takie trójkąty żółte są zrobione. Widzisz je?

- Właśnie na takim stoję.

- Przejedź w lewo. Wracać musisz. A w ogóle, dlaczego dopiero na przełęczy jesteś?

- Złotą Pragę zwiedziłam. I Wiedeń. Po drodze był. Wiesz, że ja lubię Straussa.

- Którego?

- Co którego?

- Którego Straussa lubisz, pytam.

- Wszystkich, ale najbardziej Johanna. Dlaczego mam wracać? Na urlopie jestem.

- Już nie. W kraju jesteś potrzebna.

- No, dobrze, trochę mniej tych samochodów. Przejadę w lewo do następnej budki. Ten tutaj mnie odgania.

- Przejechałaś już?

- Och! Trochę trudne. Dobrze, że tu wszyscy zwalniają, jak do tych bud dojeżdżają.

- Jeszcze raz, do następnej budy w lewo. Jedź!

- Po co mam to robić? Żabie skoki.

- Do domu wracasz. To w drugą stronę.

- Ale ja nie chcę wracać! Dopiero urlop zaczęłam. Pięknie jest.

- Musisz. Mówiłam już, że tu trup gęsto pada. Jesteś potrzebna.

- No, dobrze. W lewo już nie mogę. Muszę zakręcić. Po co te skoki robiłam?

- Żebyś dwa razy za autostradę nie płaciła. Zawracaj!

- Już! Na najszybszym pasie jestem! Rozpędzają się!

- W prawo zjeżdżaj! W prawo!

- Poczekaj! Odkładam telefon. - Potem słyszałam już tylko silnik. Lalka zjeżdżała na prawy pas.

- No, dobrze. Wlokę się i pewnie wszyscy na mnie pluja. Mogę rozmawiać - odezwała się.

- Koniecznie musimy wiedzieć, o czym z tą dziewczyną rozmawiałaś. A zwłaszcza, co ona mówiła. Zapisywała coś, a ty do niej mówiłaś. Pamiętasz, co to było?

- To chyba pamiętam. Ale tak w szczegółach...

- Przypomnij sobie koniecznie! I do Polski wracaj. Jedź i myśl. Jak będziesz gdzieś mogła stanąć, zadzwoń do mnie i od razu się wyłącz, bo majątek zapłacisz. Ja do ciebie odzwonię.

- No, dobrze. Jadę już. Tu takie miejsca widokowe są. Jak znajdę, to tam się zatrzymam

- zakończyła Lalka, rozłączając się.

Poczułam się głodna. Zawiadomiłam Marcina, że pożywienie będzie w kuchni, i nakryłam do stołu. Talerzami przesadnie nie stukałam. Nikt nie nakrywa do stołu, rozbijając zastawę. Gdy tylko pojawił się Marcin, rozpoczęłam konwersację.

- Tym policjantom kanapki i herbatę podam - gromko zawiadomiłam drzwi kuchenne, machaniem zmuszając Marcina, żeby wydał z siebie głos.

- A tak, możesz - powiedział nieco zdumiony moją gwałtowną gestykulacją. - Co jest na obiad? - spytał, chociaż zupa przed nim stała i dokładnie widział, co będzie jeść.

- Zraziki wołowe zrobiłam. Z ogórkami kiszonymi i kaszą gryczaną - zawiadomiłam ewentualną publiczność za drzwiami, podając mu kotlet mielony z marchewką.

- Pycha! - odpowiedział Marcin, krzywiąc się na widok marchewki.

- Herbatę wypijemy w środkowym pokoju - ryknęłam Marcinowi w ucho, bo zabrakło mi konceptu do dalszej konwersacji.

- Możemy. Słodkiego bym coś zjadł na deser - odpowiedział Marcin, przesłaniając nieco ucho z mojej strony w oczekiwaniu odpowiedzi.

- Kisiel ci mogę zrobić albo galaretkę - zawiadomiłam drzwi, wygrażając Marcinowi pięścią, bo luksusów mu się zachciało.

- Krzysiek na kolację przyjdzie - przejął inicjatywę Marcin, wykrzywiając się do mnie paskudnie.

Znowu pogroziłam mu pięścią i zaparzyłam herbatę. Czynność nie była hałaśliwa z natury i nie powinni jej słyszeć za drzwiami. W salonie już normalnym głosem powiadomiłam Marcina, że coś musimy zrobić. Dusza nie pozwalała mi czekać bezradnie, aż coś się wykryje nie wiadomo kiedy.

- Może ten niby-list przeczytajmy - zaproponował Marcin. - Ty czytałaś i jakieś wnioski z tego masz?

- Jedna informacja jest, ale dla policji, nie dla nas. Reszta bez sensu. Przynajmniej dla mnie. Nie wiem, co ta dziewczyna przekazała w zwierzeniach. Wszystko się do nich odnosi i żadnych wniosków nie mam. Nul, czyli zero - odpowiedziałam.

- Może spróbujemy się w tych bandziorów wcielić. Co wiemy?

- Nie będę się wyrażać. Wszystko jest niewyraźne i gdybym nie była pewna, że musi mieć jakiś sens, to bym uważała, że bez sensu.

- No, nie. Pewne wiadomości są. Zostawmy na razie tego Niemca, niech się nim policja zajmuje. Co mamy tu w Polsce? - zapytał Marcin, wydzierając mi z ręki jedną z fotograficznych odbitek.

- Samochód. Jeden. Ten sam, który dziewczyna знаła. Śledziła ten samochód.

- No to gdzieś ten samochód stale stał.

- Każdy samochód gdzieś stoi. W garażu albo na parkingu.

- Zaraz, ja z tego, co czytam, wnioskuję, że ten samochód związany był z dziewczynami. Jakby stał tam, gdzie były dziewczyny.

- Dużo ci z tego przyjdzie - warknęłam. - Dziewczyny są wszędzie, tak jak samochody.

- Czekaj, ona pisze... - rozpoczął Marcin, przeglądając omawianą korespondencję. - Ona pisze, że „wprowadzano dziewczyny” i jeszcze, że „do bagażu dokładano dużą paczkę”.

- Ta paczka to wiadomo, że przemyt - odpowiedziałam.

- Zgoda. Ale widzisz, ona pisze „dokładano”. Tak jakbyś miała bagaż i dokładała coś do niego. To inaczej brzmi niż pakowanie bagażu. Myślę, że ten bagaż był spakowany i coś do niego dokładano - wyjaśniał Marcin.

- Sądzisz, że ten bagaż był cudzy, znaczy nie przemytników, i oni temu komuś coś dokładali? - spytałam, wrywając mu z ręki zdjęcie, które akurat trzymał.

Przeczytałam jeszcze raz mieszczący się na fotografii urywek korespondencji. W oczy, i nie tylko, rzuciło mi się co innego.

- Popatrz, ona pisze „wprowadzali”. Co to może znaczyć? Normalnie wsiada się do samochodu. Powinna napisać, że dziewczyny wsiadały do samochodu. Tak to napisała, jakby te dziewczyny same wsiąść do samochodu nie mogły. Dlatego je „wprowadzali” - wykrzyknęłam odkrywczco.

- Nie wiem, czy my nie popełniamy błędu. Ta wasza dziewczyna talentu literackiego nie miała. Słowa, których użyła, mogą znaczyć cokolwiek - zważył nagle Marcin.

Faktycznie. Ludzie bardzo niechlujnie posługują się słowami i rzadko zastanawiają się nad ich znaczeniem. Niejedno nieporozumienie wzięło się stąd, że użyto słów nie zawsze zbieżnych z intencjami. Niewiele jest osób, które dokładnie potrafią wskazać znaczenie właśnie użytego w rozmowie słowa. Tutaj jednak... tutaj jednak autorka odnosiła się do swoich zwierzeń. Mogła już posłużyć się tymi samymi zwrotami i znaczyły one to samo co w liście. Nie, cokolwiek by to oznaczało, dziewczyny poruszały się z czyjąś pomocą. Dlatego je „wprowadzano”.

Podzieliłam się swoimi przemyśleniami z Marcinem. Przekonałam go, iż użyty czasownik oznacza, że te dziewczyny nie wsiadały do samochodu same. Ktoś im pomagał, tylko nie wiadomo dlaczego.

- W każdym razie nie chodziło o użycie przemocy - kategorycznie stwierdził Marcin. - Gdyby je na przykład „wpychano”, napisałaby to. Jestem pewien.

Rozważania zajęły nas mocno, ale co do przemyśleń, popadliśmy w chwilowy zastój. Wtedy właśnie do drzwi zadzwonił Krzysztof.

Powitałam go w przedpokoju, radośnie rycząc niczym trąba jerychońska. Czatuający pod kuchennymi drzwiami rzezimieszek miał prawo usłyszeć dzwonek, prowadzona jednak normalnym głosem rozmowa nie miała prawa do niego dojść, dzieliła go bowiem od drzwi wejściowych cała długość mieszkania. Zależało mi na tym, by łobuzowi uświadomić, że kolejny mężczyzna do mnie przyszedł. Chyba nie odważą się na atak, mając świadomość, że wszędzie płaczą się jacyś mężczyźni, w jednym z pokoi dyżurują policjanci, a mnie trzeba by szukać w zakamarkach mieszkania.

Pozostawiłam Marcinowi zdanie relacji z naszych poczynań i zajęłam się przygotowaniem kolacji w salonie. Kuchnia była wyłączona z użytkowania ze względu na podsłuch. Krzysztof słuchał w milczeniu i widać było, że jest nie tylko zmęczony, ale i przybity. Udało mi się ustawić wszystko na stole i właśnie wkraczałam do pokoju z herbatą, gdy Marcin doszedł do tego, jak odganiał się od drzwi jakiegoś bandziora. Że to był bandzior, żadne z nas wątpliwości nie miało. Krzysy chyba też nie, bo gdy tylko wysłuchał relacji, natychmiast użył

czegoś w rodzaju krótkofalówki, wydając komuś polecenie zbadania kuchennej klatki schodowej i zatrzymania pałających się tam ewentualnie osobników.

Naradzałam się sama ze sobą przez chwilę, po czym wystawiłam na stół nabytą wódkę ze stosownymi do niej kieliszkami. Okazji było wiele, choćby to, że uszliśmy z życiem, warte było uczczenia. Poza tym chciałam pozbyć się dwoistości w emocjach, cały czas bowiem czułam się wewnętrznie rozklekotana. Krzysztof też tego dnia musiał solidnie w kość dostać, bo bez żadnych oporów wychylił pierwszy kieliszek i jął zakąsać. Marcin nalał ponownie.

Urządzenie Krzysztofa zaterkotało i ktoś coś zaczął mówić. Krzysztof słuchał, my wpatrywaliśmy się w niego, pragnąc uzyskać informację, czy są to dla nas dobre, czy złe wieści.

- Zatrzymali jednego na tych kuchennych schodach. Schodził już. Tłumaczył, że od znajomego wyszedł. Znany dzielnicowemu, taki trochę łobuz, trochę łazęga. Nie zabrali go do komisariatu, spisali tylko. Jak myślicie, z tych drzwi warto ślady zdejmować? W końcu do włamania nie doszło - powiedział Krzysztof.

- Jak zawodowiec to robił, śladów nie zostawił. Szkoda czasu - odparł Marcin. - Lepiej, żeby ktoś wejścia na tę klatkę pilnował w nocy. Ona się cieszy, że drzwi ma solidne i tę zasuwę, ale jakby tu ktoś chciał wejść na siłę, to żadna sprawa. W tych drzwiach tylko ramy są grube. Te kwadraciki w środku, przypadkiem wiem, że to się filongi nazywa, na wpust są w ramę włożone i znacznie cieńsze. Jak w to mocniej walnąć, samo wyleci.

Krzysztof w milczeniu pokiwał głową. Wypiliśmy znowu po kieliszku, Marcin natychmiast nalał i rozpoczęliśmy sprawozdania, dotyczące naszych przemyśleń nad korespondencją.

- Do kogo w ogóle był ten list? Wiesz już? - zapytałam.

- Wiem. Od początku wiedziałem. Sama do siebie napisała - odpowiedział Krzysztof.

- Po co? Spodziewała się zaniku pamięci?

- Jeżeli macie rację, że chciała tego Niemca szantażować, takie zabezpieczenie sobie wymyśliła. Prymitywne to, ale mogło być skuteczne.

- Tego Niemca dacie radę ustalić? - dopytywał się Marcin.

- Adres ustalimy. Już faks w tej sprawie do Berlina wysłałem. Kto tam będzie, nie wiadomo. Na wszelki wypadek prosiłem, żeby ustalili, czy jest tam ktoś o imieniu Kurt lub Klaus - wyjaśniał Krzysztof.

- No, to będziesz miał ten konkret, o który ci chodziło - powiedziałam z rozpędu.

- Niezupełnie. Chciałem mieć coś takiego w Polsce. Z tego listu dla mnie też nic nie wynikało. Możliwe, że macie rację.

- Za tych, co przeżyli! - wznosił toast Marcin.

Chłód mnie przeszedł i dreszcze, gdy przypominałam sobie płonący na parkingu samochód. Nie wzdryłam się przed spełnieniem toastu.

Chciałam się właśnie odezwać, kiedy zadzwonił telefon. Dzwoniła Marylka z przeprosinami, że dzisiaj nie przyszła. Obiecywała, że jutro z Bartkiem stawią się po czwartej. Skojarzyć mi było trudno, o co jej właściwie chodzi, i dopiero gdy odkładałam słuchawkę, dotarło do mnie, że jakieś pismo do prokuratury mieliśmy razem pisać. W sprawie tego idiotycznego oskarżenia Marylki o pobicie.

Znowu zabrzmiał sygnał telefonu i zaraz ucichł. Niechybnie Lalka. Uciszyłam gestem Marcina, który zamierzał się właśnie odezwać, i zadzwoniłam do Lalki. Odebrała od razu.

- No więc, przypominałam sobie, co ona pisała - rozpoczęła Lalka bez wstępów. - Miała taki malutki notesik jak pół dłoni, oprawny w imitację skóry węża. Że imitacja, to jestem pewna, chociaż bardzo dobra.

- Skończ z tym - warknęłam rozniewana, że wdaje się w jakieś nieistotne szczegóły. - Co zapisała?

- Nasze adresy i telefony. Mój podałam jej służbowy i bez adresu. Rozumiesz, na prywatne kontakty z nią nie miałam ochoty. Ale twój w całości zapisała, bo mówiła, że samochód chce kupić i może z tobą pojedzie. Dlatego jej podałam.

- O czym z nią rozmawiałaś? Godzinę prawie głądziłyście bez przerwy.

- Ach, bo ona mi swoją przygodę opowiedziała. Teraz to nawet nic ciekawego, ale wtedy o czymś wypadało z nią rozmawiać.

- Skup się! O co chodziło? I powtórz dokładnie.

- Nie wiem, czy to będzie dokładnie. Coś pamiętam, bo nawet myślałam, czy jakieś przestępstwo z tego nie wynika. Wyszło mi, że nie, tylko głupota.

- Słucham, co ona ci powiedziała! - ryknęłam, bo już straciłam cierpliwość.

- Rozumiesz chyba, że ja nie wiem, czy to prawda. Mówiła, że szukała pracy i taki głupi przypadek na nią trafił. Chcieli jakby ją zatrudnić i do pracodawcy do Berlina zawieźli. Ale ona jakoś po drodze, czy jak wsiadała do tego samochodu, straciła świadomość i ocknęła się dopiero w Berlinie. I przez to, była pewna, ten Niemiec nie chciał jej zatrudnić. Kojarzy wam się jakoś?

- Kojarzy - mruknęłam.

- To ja już nie muszę wracać? Słuchaj, tu jest pięknie. Szare skały oświetla teraz słońce od zachodu i miejscami to daje takie różowe kawałki. Alpy wyglądają jak ogromny drzemiący zwierz. Kiedy dotknęłam skał, były ciepłe. Oddają ciepło jak żywe stworzenie. Ja tutaj zostanę na noc. Mam termos. Nawet nie mam ci za złe, że mnie zatrzymałaś.

- Dobrze. Zostań tam. Nie wiem jeszcze, czy będziesz potrzebna. Zadzwoń rano. Przed moim telefonem nie ruszaj się stamtąd.

- Mogę tu siedzieć, nawet długo. To taki specjalny parking. Łazienki są, całkiem przyzwoite, i dwie takie śmieszne budki zjedzeniem. Obejrzę sobie Alpy o świcie. Ucałowania - zakończyła rozradowana Lalka.

Zrelacjonowałam w szczegółach rozmowę z Lalką. W milczeniu przez chwilę przetrwaliśmy informacje.

- Mam już! - wykrzyknął Marcin. - Widzę koniec tych udręk i wypijmy za to - zarządził.

- Co widzisz? - spytałam.

Krzysztof poparł mnie pytającym spojrzeniem.

- Te dziewczyny. Z tego listu. Nie rozumiesz? Nie pamiętasz? Ona tam w jednym miejscu pisze: „Tak jak ze mną”. Mnie się wszystko kojarzy - powiedział i podskoczył po odłożonej na parapet fotografii listu.

- Już łapię. Ona straciła świadomość i te dziewczyny tak samo! - wykrzyknęłam uradowana. - To dlatego wprowadzano je do samochodu!

- Dobrze myślisz - pochwalił mnie Marcin. - Tak na marginesie, to chyba nie była żadna epidemia. Specjalnie te dziewczyny świadomości pozbawiano.

- Zostaw to na razie. Wróćmy do bagażu - przerwałam. - Jeżeli dziewczyny wybierały się gdzieś, na przykład do Berlina, to miały ze sobą bagaż. I do tego bagażu dokładano im pakunek. Pasuje?

- I za każdym razem jechały tym samym samochodem - podkreślił Marcin. - Tylko dlatego ta dziewczyna mogła dokonać swoich obserwacji.

- No, dobrze, przyjmijmy, że macie rację - po raz pierwszy do naszych rozważań wtrącił się Krzysztof. - Zbiorowo jeździły czy jak?

Pytanie nas zastopowało w rozważaniu kryminalnej afery. Tak od razu nie mieliśmy na nie odpowiedzi. Marcin ponownie sięgnął do fotografii. Ja zastanawiałam się bez pomocy naukowych.

- Nie. Przynajmniej ta nasza musiała jechać sama. Z kimś, ale nie z innymi dziewczynami. Tak rozumiem to, co zapisała. Przy podobieństwie pisze „mnie”. Że pisze o „dziewczynach”, a nie o „dziewczynie”, może wynikać z wielokrotności obserwacji. Śledziła samochód. Za każdym razem widziała jedną dziewczynę, ale widziała to kilka razy, dlatego wyszły jej dziewczyny. Czyli, że to nie była ta sama dziewczyna.

- Może w tym coś jest. Nawet jeżeli rozwiązaliśmy częściowo aferę, to i tak nic nam z tego nie przyjdzie. Nie wiadomo ani kto, ani gdzie - powiedział Krzysztof ze znużeniem.

- Dzisiaj już mnie na żadne twórcze pomysły nie stać. Do domu bym wrócił i trochę pospał. O dostojny Krzysztofie, czy mogę cię prosić o karetę? - zwrócił się Marcin do Krzysia. - Może powinienem powiedzieć podwodę?

Krzysztof sięgnął po swoją czarną skrzyneczkę i polecił, żeby odmeldował mu się jakiś radiowóz w domofonie.

Spokojnie i właściwie w ciszy skończyliśmy. Wszystkich opadło znużenie i na żadne rozmowy nie mieliśmy już ochoty.

Domofon zabrzączał, podszedł do niego Krzyś, nacisnął przycisk i przy wejściu do mieszkania czekał na kogoś. Usłyszeliśmy kroki na schodach, Krzysztof otworzył drzwi i skinął na czekającego w pokoju Marcina, który pomachał nam na pożegnanie i wyszedł.

Wróciliśmy do pokoju. W milczeniu oddałam kluczyki i kartę wozu, wypilałam łyk herbaty i zamarłam. Z wnętrza kuchni dochodził wyraźny szurgot. Niezbyt głośny, ale brzmiał tak, jakby ktoś tam był i coś robił. Usłyszeliśmy to jednocześnie i jednocześnie wstaliśmy z krzesel. Ogarnęło mnie przerażenie. Bandy ci weszli do środka!

Krzysztof zachował się jak mężczyzna. Zamiast lecieć do kuchni ze spluwą w rękę i wrzaskiem, podszedł i przytulił mnie. Całował, uspokajał i trochę mi przeszło, choć uporczywy dźwięk nadal z kuchni dobiegał.

- Cicho. Cichutko - mówił.

Dopiero po pewnym czasie dotarło do mnie, że razem ze mną chce cicho wejść do kuchni. Wzdragałam się trochę, ale w jego drugiej ręce zobaczyłam broń i poczułam się bezpieczna. Na palcach weszliśmy do kuchni. Nie było tam nikogo. Odgłos dobiegał od strony drzwi. Tarcie metalu o metal. Jakiś bęcwał przepiłowywał zasuwę! Szarpnęłam się, by zabić go na miejscu, ale Krzysztof zatrzymał mnie w objęciach. Znowu zaszeptał do ucha „Cicho, cichutko”. Poddałam się. Wróciliśmy do pokoju. Nie wypuszczając mnie z objęć, Krzysztof odłożył broń i sięgnął po swoją skrzyneczkę komunikacyjną. Słyszałam, jak nakazał bezwzględnie zatrzymać na komendzie każdego, kto się na schodach ujawni. I w miarę możliwości cicho go podejść. A potem postawić posterunek na półpiętrze.

W ciszy nadsluchiwaliliśmy odgłosów z kuchennych schodów. Długo nic się nie działo, odgłos piłowania nie ustawał. Później usłyszeliśmy, jak ktoś zbiega, jakąś szamotaninę i po chwili Krzysztof odebrał meldunek. Dwóch zatrzymanych na schodach zabierają na komendę.

Uczucia mi się wówczas skropiły i wytrzymałość załamała. W ramionach Krzysia wybuchnęłam szlochem. Pocieszał mnie i głaskał, aż przestałam się trząść. Potem zaprowadził

mnie do sypialni. Odzyskałam już nieco sił i przytomności, pieszczoty zaczęłam odwzajemniać. Resztę naszej aktywności okryła noc.

Obudziłam się u boku Krzysztofa. Był późny rano i koszmary dnia wczorajszego wydały mi się fantazją albo filmem oglądanym późną nocą. Tylko Krzyś był realny i kontynuacja mojego wielkiego romansu wydała się ze wszech miar słuszna i pożądana. Delikatnie go obudziłam. Nie sprawiał wrażenia nieprzytomnego i nie zdziwił się na mój widok. Pocałował mnie na dzień dobry i uciekł do łazienki.

Leniwie wstałam i zaczęłam przygotowywać śniadanie. Nie było mi jednak dane dokończyć go jednym ciągiem. Krzyś wyszedł z łazienki i objawił zainteresowanie mną na tyle intensywne, że wróciliśmy do sypialni. Dopiero po jakimś czasie pojawiłam się w kuchni, podczas gdy mój mężczyzna ponownie okupował łazienkę. Potem zamieniliśmy się i ja zajęłam łazienkę.

Dzwonek domofonu zasygnalizował, że świat nas potrzebuje. W drzwiach stanął Marcin.

- Słuchajcie! Przelew dostałem! - zakrzyknął, po czym obrzucił nas spojrzeniem. - Cieszę się, że wam się ułożyło - dodał z uśmiechem.

- Jaki przelew? - zapytałam bez zainteresowania, bo niewiele było w tym momencie interesujących mnie tematów.

- Ten od moich aferzystów - wyjaśnił Marcin. - I teraz nie wiem co robić - westchnął, przysiadając się do śniadania.

Spostrzegłam zmianę, która zaszła w Krzysztofie. Był spięty i czujny.

- O co ci chodzi? - zapytał Marcina.

- No, ja teraz jestem na urlopie. Ten łobuz w pracy się ze mną kontaktował i nie wiem, czy mój adres zna. Jakby co, może do mnie przyjść. I nie wiem, czy Maciejewskiego powiadomić - wyjaśniał między kęsami.

- Czekaj. Ja muszę iść, ale trzeba, żebyś tu został. Zasuwę wczoraj chcieli przeciąć. Tych dwóch zgarnęliśmy, jednak trzymać w areszcie ich bez końca nie mogę. Żaden sąd nie da mi sankcji za usiłowanie włamania, zwłaszcza że na schodach ich złapali, a nie przy robocie, więc wypierać się będą. Poza tym podejrzewam, że są najęci. Przyszli jedni, mogą przyjść drudzy. Tę antabę koniecznie naprawić trzeba, bo do połowy przecięta. Posterunek mogę tu jeszcze przez dzień utrzymać. Może i przez noc.

- Rozumiem, że za ochronę znowu mam robić? - zapytał domyślnie Marcin.

- Tak. Pogadajcie sobie o swoich przypuszczeniach. Może coś jeszcze z tego wyjdzie. Ja wpadnę o trzeciej, to porozmawiamy. Do tego czasu ze wszystkim się wstrzymaj - polecił Krzysztof, ucałował mnie na pożegnanie i zniknął.

Szybko ubrałam się i odpracowałam makijaż. Marcin w tym czasie tkwił nad fotografiami korespondencji i uparcie pocierał czoło. Zrobiłam kawę do wypicia na już i herbatę w dzbanku na potem. Wszystko to zaniiosłam do pokoju, dalej męczyło mnie przeczucie, że rozmowy w kuchni są podsłuchiwane. Marcin zażądał jeszcze czystych kartek i też je przyniosłam. Po tych przygotowaniach organizacyjnych rozpoczęliśmy naradę.

- Będziemy robić to naukowo. Najpierw zapiszemy, czego nie wiemy, a potem ustalimy, na które z tych pytań Krzysztof może nam dać odpowiedź - zarządził Marcin.

- No więc, na pewno nie wiemy, czy wśród dokumentów po nieboszczce znaleziono ten mały notesik, o którym mówiła Lalka. To wyjaśnia, skąd wiedzieli o mnie i o Lalce - powiedziałam.

- Dobrze, zapisać to trzeba. I niewątpliwie Krzysztof może nam na to pytanie odpowiedzieć - rzucił Marcin i sam się zabrał do zapisywania.

- Dalej, nie wiemy, kto podmienił zdjęcia. Zakładam, że znaleziona przez Lalkę w krzakach dziewczyna to ta sama, którą z granicy podwiozłyśmy - kontynuowałam.

- No, tak. Może Krzysiek znajdzie na to odpowiedź, a może nie. Wątpię jednak, czy się z nami tą informacją podzieli, bo z pewnością do tych akt mieli dostęp tylko policjanci. Zapiszę to na odrębnej kartce. Pod hasłem „do wyjaśnienia” - zdecydował Marcin.

- Wiemy, że dziewczyny przekraczały granicę. Stawiam na to, że pojedynczo. I że ich bagaż czymś faszerowano. Wiemy czym? - mówiłam w natchnieniu.

- Poczekaj. Tu jest kilka wniosków i wszystkie uważam za słuszne. Trzeba to odrębnie zapisać. - Marcin sięgnął po następną kartkę, a gdy skończył, zadał pytanie: - Wiemy, co te pakunki zawierały?

- Pewności nie mamy, ale stawiam na narkotyki. W końcu, ile można dopakować do bagażu kobiety, która na kilka dni wybiera się do Berlina? Objętościowo to nie może być duże, za ciężar głowy nie dam - snułam dalej rozważania.

- No to może być jeszcze złoto albo kamienie szlachetne. Też dużo miejsca nie zabierają. Nie wiem, jak stoją ceny złota u nas i w Unii Europejskiej, ale że opłaca się przemyścić kamienie szlachetne, to głowę daję. No, oczywiście nie licząc narkotyków - dopowiedział Marcin i poczynił w swoich zapiskach odpowiednie adnotacje.

- Podsumujmy - zaproponowałam, bo wszystko zaczynało mi się już mieszać. - Gdzieś w Łodzi, przyjmijmy, że w Łodzi, do samochodu wsiada dziewczyna, jej bagaż jest uzupełniany o coś, o czym ona nie wie.

- Skąd wiesz, że nie wie? - zapytał Marcin.

- Dusza mi mówi. Te dziewczyny nie mogą wiedzieć. Jadą do Berlina zwyczajnie na rozmowę z potencjalnym pracodawcą. Jakby wiedziały, to nie trzeba by ich zmieniać. Ta sama za każdym razem mogłaby to załatwiać. No, nie upieram się, mogłoby ich być kilka i jeżdżą na zmianę - snułam wizję swojej wyobraźni.

- A jeżeli jest ich kilka i wiedzą, to gdzie tu miejsce dla tej waszej? - podchwytliwie pytał Marcin, w pośpiechu zapisując następne kartki.

- No, nie upieram się. Mogli ją zabrać na próbę. Personel im się wykruszył albo na przykład zapotrzebowanie wzrosło i musieli rozszerzyć działalność - odpowiedziałam.

- Czyli mamy dwie wersje - podsumował Marcin. - Albo jeździ kilka stałych i akurat rekrutowali następne, albo za każdym razem zabierają inną dziewczynę.

- Dusza mi mówi, że to drugie. Dziewczyny nic nie wiedzą - odparłam.

- Czy ta twoja dusza ma jakieś argumenty? - złośliwie zapytał Marcin.

- Wydaje mi się, że mam argument. Zauważ, że ta nasza widziała kilka dziewczyn. Musiała, jeśli pisała „dziewczyny”. I one wszystkie były „wprowadzane”. Dla mnie to znaczy, że były nieprzytomne albo zamroczone - werbalizowałam wizję. - Gdyby któraś z nich współpracowała dobrowolnie, to by jej nie „wprowadzali”. Sama by wsiadła do samochodu. Nic takiego w tym liście nie ma.

- Może ona była świadkiem werbunku - zastanawiał się Marcin.

- I co, zaprzestali normalnej działalności i przestawili się na werbunek? Sensu nie ma - skrzywiłam się. - Nie wierzę. Jakby mieli stałe współpracownice, to co najmniej kilka by zobaczyła. I ich by nie „wprowadzali”. Jeśli wiedzą o przemyśle, to współpracują i nie ma potrzeby, żeby były zamroczone.

- W zasadzie zgadzam się z tobą. Ale to znaczy, że oni prowadzą coś w rodzaju stałego werbunku - stwierdził Marcin, skrzętnie coś zapisując. - Powstaje więc problem. W jaki sposób?

Zastopowało nas radykalnie. Żadna koncepcja nie przychodziła mi do głowy. Spojrzałam na zegarek i na jakiś czas straciłam zainteresowanie dla Marcina i jego karteek. Powinnam ugotować obiad, na trzecią. Krzysio miał przyjść o tej porze.

Jeżeli spotkacie kobietę, która powie, że przygotowywanie posiłków dla ukochanego nie jest przyjemnością, nie wierzcie, że jest zakochana. Każda zakochana kobieta lubi robić

„coś” dla swojego ukochanego. Ba, pragnie i pożąda takich obowiązków, dopiero wówczas czuje się potrzebna i dowartościowana. Dlatego nie dziwi mnie, że w filmach samodzielni i samoobsługujący się mężczyźni nie są kochani albo bywają porzucani. Być może rolą kobiety jest ozdabianie mężczyzny, ale to nie wystarcza. Kobieta chce być potrzebna i posiadać własny, tylko jej przynależny skrawek w życiu ukochanego. Inaczej nawet największa miłość usycha.

Ja osobiście czułam się szczęśliwa, gotując dla Krzysia, i żadne emancypacyjne hasła nie miały do mnie dostępu. Wyłączyłam się na godzinę z rozważań o zbrodni i nie tylko nie czyniło to ujmy na moim honorze, ale sprawiało zadowolenie i satysfakcję. W końcu wróciłam do Marcina, polecając, by uprzątnął bałagan na stole.

- Możemy przecież zjeść w kuchni - zaproponował Marcin, pracowicie tworząc następne zapiski.

- Nie możemy. Uraz mam. W kuchni można podsłuchać.

- Policjanta za drzwiami masz. Nawet jeśli będzie słuchał, nic z tego nie wyniknie.

- Uważasz, że tak wszyscy hurtem w policji na zaufanie zasługują?

- A ty nie?

- Nie. Kilku ufam. Może jeszcze kilku zaufam, jak ich poznam. Ten, co za drzwiami stoi, dla mnie jest potencjalnym współpracownikiem gangsterów - odpowiedziałam.

- Możliwe, że masz rację - ku mojemu zdumieniu Marcin przestał oponować i zabrał się do uprzątniania papierzyk.

Chwilę po trzeciej pojawił się Krzysztof. Powitał mnie ognście, na żadne uczuciowe wątpliwości nie pozostawiając miejsca.

- Obiad zjem, nawet chętnie, ale czasu mam mało. Jeżeli coś wymyśliliście, będziemy to omawiać w trakcie jedzenia - oświadczył.

Marcin zajął się relacjonowaniem naszych wniosków i przemyśleń, ja podawaniem do stołu. Dopiero gdy Marcin wziął się do podsumowywania wniosków, włączyłam się do dyskusji.

- Załóżmy, że oni przemycają narkotyki. Z tego muszą być duże pieniądze. Zastanawiam się, jak one potem przepływają do Polski. Bo że przepływać muszą, nie mam wątpliwości. Trafiliśmy na aferę i rozpatrujemy ją z jednej strony. Interesuje mnie ta druga - powiedziałam.

Obaj zamilkli na chwilę, patrząc na mnie z podziwem.

- To jest właśnie to! - wykrzyknął Marcin. - Genialna jesteś! Ta druga strona to właśnie moja afera! W ten sposób pieniądze do Polski przychodzą. Zwabili kilku albo kilkunastu ta-

kich palantów jak ja i od razu mają zalegalizowane pieniądze. Uprane. Tak to się mówi? - zwrócił się z pytaniem do Krzysia.

- No, nie wiem? - zwątpiłam. - Ilu może być takich, którzy im własnego konta użyczą? I przecież jeszcze to muszą być takie dochody jak u ciebie. Nie do określenia. Sam mówiłeś, że nabywca za twoje dzieło może zapłacić nawet sto tysięcy i nikogo to nie powinno obchodzić. Nie, takie przesyłki mogą być, ale to nie jest sposób na przekazanie do Polski pieniędzy. Przynajmniej, myślę, musi być jeszcze jakiś inny sposób, i ten inny to jest zasadnicze działanie. Takie przypadki jak z tobą to tylko szczęśliwy zbieg okoliczności. Dla nich szczęśliwy, chciałam powiedzieć.

- A właśnie. Miałem mało czasu, ale sprawdziłem tego Rybarczyka. Jakieś zlecenie od Maciejewskiego dostał i wspólnie z tym Jackiem próbują je realizować. Zamierzam się zgłosić do Maciejewskiego i powiedzieć, że ta twoja afera w mojej sprawie wyszła - zwrócił się Krzysztof do Marcina.

- No, jeżeli weźmiemy pod uwagę to, co ona właśnie powiedziała, to nawet może być prawda - odpowiedział wyraźnie zaintrygowany moimi wnioskami Marcin. - I handel obrazami tu pasuje. Możliwe, że w ogóle dziełami sztuki. Współczesnej oczywiście, bo do zabytków różne państwowe organa mogą się wtrącać.

- Uważacie, że mamy dwa końce tej samej afery? - spytał Krzysztof.

- Może tak być - odparł Marcin. - Mnie ten bubek sam z siebie powiedział, że pieniądze z przemytu narkotyków pochodzą. Z drugiej strony mamy przemyt, co prawda nie wiadomo czego, ale pewne jest, że musi to być coś wartościowego w niezbyt dużych opakowaniach. Narkotyki pasują, jak w mordę strzelił.

- Zaczekajcie. Ja nie wiem, czy będzie dobrze, jak Krzyś pójdzie do Maciejewskiego. Może najpierw Marcin sam powinien się zgłosić i o nowej przesyłce powiedzieć? Może ten Maciejewski jakieś instrukcje mu da? - powstrzymałam rozważania przemytnicze.

- Rzeczywiście. O twojej sytuacji w tej aferze nie pomyślałem - zwrócił się Krzysztof do Marcina. - Możesz do tego Maciejewskiego zadzwonić?

- W każdej chwili mogę. Miałem go zawiadamiać, jakby się coś ruszyło albo ten bęcwał ze mną kontakt nawiązał - odpowiedział Marcin.

- To dzwoń teraz - poradziłam. - Może da ci jakieś instrukcje. Krzysztof akurat jest i razem to skoordynujemy.

Marcin zadzwonił i zawiadomił prokuratora o nadejściu następnego przekazu. Otrzymał polecenie, żeby dziś unikał kontaktu ze znajomym za wszelką cenę. Jutro miał murem siedzieć w domu do dziewiątej i ewentualnie sam z człowiekiem kontakt nawiązać, zawiadamia-

jąc o nowym przekazie. Potem mógł robić to, co z okoliczności wyniknie. A pojutrze powinien przyjść do Maciejewskiego i wszystko do protokołu zeznać.

- Jutro ogon dostaniesz, oni przejmą tego twojego współnika i dalej go śledzić będą. To nazwisko, które ci podał, niekoniecznie musi być prawdziwe. A facet jakieś kontakty po nadjeściu dużej gotówki nawiązać musi. Choćby po to, by sprawdzić, że go nie okantują i całą forszę, którą przekażesz, oddadzą - Krzysztof wyjaśnił zamiary Maciejewskiego.

- Mnie się nie wydaje, żeby ten mój łobuz był szefem i pieniądze do niego szły. To taki pomagier raczej - zauważył Marcin.

- No, jak po instrukcje do szefa pójdziesz, też dobrze. Od razu szefa wystawi. A w ogóle to nie twoja sprawa, co on będzie robił - odpowiedział Krzyś.

Zaraz potem Krzysztof zadzwonił do Maciejewskiego, prosząc o pilną rozmowę jeszcze dzisiaj. Dodzwonić się od razu do prokuratury nie mógł. Wyglądało na to, że Maciejewski obstawę dla Marcina na jutro w tym czasie załatwiał.

Marylka z Bartkiem weszli, gdy Krzysztof właśnie wychodził, z czego niewielkie zamieszanie w przedpokoju powstało, bo Marylka tak od razu nie chciała go wypuścić, przedtem nie obejrzawszy.

Marcin zaraz potem zabrał Bartka do oglądania drzwi w kuchni, żeby nową antabę kupić, coś tam trzeba było wymierzyć. Usiadłyśmy z Marylką nad kawą. Bartek żadnej kawy nie chciał, zapalił się, by pomóc Marcinowi przy kupnie i montażu nowej zasuwy, i zaraz pojechali zakupić takową, a także po wiertarkę od Bartka, żeby zasuwę od razu zamontować.

- Podejrzewam, że wreszcie na swojego mężczyznę trafiłaś? - odezwała się Marylka.

- To widać?

- Od ciebie blask bije. Od niego nie mniejszy. Jak tylko weszłam, to się zorientowałam, i dlatego chciałam go bliżej obejrzeć. Podoba mi się. Wygląda na to, że jest zorganizowany.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytałam.

- Wie, czego chce, i żadnych wahań nie przejawia. W środku jest zorganizowany. Jaką babę chce, też wie, i innym się na manowce nie da sprowadzić - wyjaśniła.

- To chyba dobrze - westchnęłam. - Sama zresztą widziałam, jak się od jednej odganiał. Możesz mieć rację. Grzecznie, ale stanowczo ją od siebie odstawiał.

Gadanina o mnie i Krzysiu w szczególności, a o uczuciach w ogóle, tak nas zajęła, że obie zapomnieliśmy o przyczynie spotkania. Dopiero powrót Bartka z Marcinem do rzeczywistości nas przywrócił.

Pracą się wtedy zajęliśmy i nawet szkic wniosku o zwrot akt do uzupełnienia śledztwa zdążyliśmy sporządzić, kiedy Marcin z kuchni przyszedł i zameldował, że obaj z Bartkiem nie jedną, lecz dwie zasuwy mi założyli i dzieło powinnam obejrzeć.

Drzwi przedstawiały się imponująco, w trzech miejscach zabezpieczone grubymi antabami.

- Tej nadciętej postanowiliśmy nie zdejmować. Jak ten jakiś chce się pomęczyć i ją przecinać, jeszcze pół mu zostało. Może sobie ciąć i dopiero go zaskoczy, kiedy okaże się, że mu dwie nowe przybyły - tłumaczył Marcin.

Marylka, nie zorientowana w moich perturbacjach z rzeźmieszkami nastającymi na me życie, szaleńczo się sprawą zainteresowała. Wydelegowałam do niej Marcina. Bartek przyłączył się do niej samodzielnie, niczym nie nakłaniany. Od Marcina musiał się już coś niecoś dowiedzieć i teraz jego opowiadanie uzupełniał.

Wysłuchałam kilku propozycji zatrudnienia karateków w charakterze ochrony. Największą przeszkodę stanowiło to, że członkowie klubu, w większości nieletni, rozjechali się po Polsce z powodu wakacji. Marylka obmyślała, jak ściągnąć dorosłych, którzy - jeżeli nie wyjechali - w godzinach przedpołudniowych przebywali w pracy, gdy na stałe do ochrony zgłosił się Bartek.

Też na Uniwersytecie pracował i jego nieobecności w czasie wakacji nikt dostrzec nie mógł, jak zapewniał. W końcu ustalili z Marcinem, który nazajutrz mógł być zajęty nawiązaniem kontaktu z bęcwałem od przelewów, że od rana przy moim boku zastąpi go Bartek. O zgodę mnie nikt nie pytał i w ogóle specjalnie mojej opinii nie starali się zasięgać, więc umysł mi ruszył, chociaż dość leniwie. Krzysztof przyszedł, kiedy sadzałam gości do stołu w pokoju.

- Ogłoszenia - obwieściłam, gdy tylko udało mi się wszystkim za stołem umieścić. - Przez ogłoszenia o pracy te dziewczyny werbują. Muszą tam jakieś warunki zamieszczać. Przede wszystkim paszport - mówiłam w natchnieniu. - Możliwe też, że znajomość niemieckiego. Chociaż przy tym się nie upieram. Ten Niemiec może mówić po polsku.

- Gdzie te ogłoszenia? W gazetach myślisz? - pierwszy zainteresował się Marcin.

- To śledztwo jest - jęknął Krzysztof. - Wszystko tajne. Nie dość, że ty rozważasz sprawę z Marcinem, to jeszcze następne osoby wtajemniczasz.

- Tym bandziorem na szczególnej tajemnicy nie zależy. O swoim istnieniu z hukiem ogłaszają - odpowiedziała mu Marylka. - A my przyjaciele jesteśmy i zależy nam na zachowaniu przy życiu niedoszłej ofiary. Jutro Marcin nie może, bo będzie się pętał z jakimś, Bartek za ochronę zostanie. Ja też wpadnę, tylko wyniki przeprowadzonego właśnie doświadcze-

nia odnotuję, dlatego sama od rana nie mogę. Bartek samochód weźmie i swoje sprawy będziesz mogła pozalać - zwróciła się do mnie.

- Bezpieczeństwo i ochronę policja zapewnia - wtrącił nieco urażony Krzysztof.

- Jak jej samochód wyleciał w powietrze, to też zapewniała - jadowicie odcięła się Marylka. - Co z tego wyszło, nie powiem, bo się wyrażać przy stole nie będę. My oboje karate znamy i na bliską odległość lepsi od policji jesteśmy. Na nieco dalszą, zresztą, też.

Zadzwonił telefon. Krótco, trzy dzwonki, i zaraz się wyłączył. Rany boskie, Lalka! Zupełnie o niej zapomniałam. Usiadłam i wypukałam numer Lalki.

- Jezus Maria, zapomniałam o tobie - powiedziałam, jak tylko Lalkę usłyszałam.

- Nie szkodzi. Ja się w stronę Włoch trochę przesunęłam. Na następnym tarasie widokowym jestem i już tu na noc zostanę. Sympatycznych Francuzów, parę taką, spotkałam i z nimi jadę. Oni też tu na noc zostaną - zawiadomiła mnie.

- Słuchaj, czy ta dziewczyna coś o tej pracy mówiła? Wspominałaś, że do pracy w Berlinie jechała - przystąpiłam do pytań, które wydawały mi się najważniejsze.

- Nie pamiętam, czy ona miała pracować w Berlinie. Odniosłam wrażenie, że raczej nie. Tylko szefa tam miała mieć. Tak mi się wydaje - odpowiedziała.

- Przemysł to jeszcze. Może coś z pamięci wydłubiesz. Nam tu wychodzi, że trzeba ustalić, jak ona do tej pracy trafiła. Wiesz coś o tym? - spytałam.

- Ja bym ją w Polsce chciał mieć. Zeznania do protokołu powinna złożyć - wtrącił Krzysztof.

- I co ci z tego przyjdzie? Na bieżąco wiesz wszystko, a kiedy ona do protokołu zezna, to wszystko jedno. Nie rozumiem, dlaczego się upierasz urlop jej zepsuć - odpowiedziałam, bo przeżycia sercowe jeszcze mnie rozumu nie pozbawiły.

- Masz rację - poparła mnie Lalka. - Zadzwonię do was, jak tylko coś sobie przypomnę. Krzysiek cały czas u ciebie jest? - zacięła się.

- Jest. Opowiem ci potem. Innym razem. Teraz warunków nie ma - powiedziałam.

- To trzymaj się. Będę myśleć. Może mi się przypomni, jak ona do tej pracy trafiła - zaczęła się żegnać Lalka.

- Poczekaj. Ważne, żebyś sobie przypomniła, co ona o tej pracy mówiła. Co miała robić? I jeszcze, najdrobniejsze szczegóły, jak ją angażowali. Wszystko. Gdzie, kto? Może coś bliżej opowiadała. Czy o samochodzie mówiła?

- Litości. Szczegółów nie pamiętam. Przysięgam, że będę sobie przypominać, jeżeli mi wracać nie każesz.

- Na razie jedź. Jak będzie pilne, to zadzwonię. Ty też zadzwoń, jak sobie coś przypomnisz. To ważne! - pożegnałam przyjaciółkę.

Po kolacji Marylka z Bartkiem zobowiązali się, że odwiozą Marcina do domu. Krzysztof jakoś nigdzie się nie wybierał i na noc został. Bezpieczna się czułam. Do połowy nacięta antaba w kuchni w niczym nam nie przeszkadzała.

Rano, w chwilę po tym, jak wyszedł Krzysztof, bo pojawił się Bartek, zadzwonił Marcin i w telegraficznym skrócie powiadomił mnie, że sam o nadejściu przelewu bęcwała poinformował i teraz czeka na niego, obaj bowiem do banku mieli jechać. Przewidywał, że najpóźniej o pierwszej do mnie przyjedzie.

Zabrałam Bartka i pojechaliśmy do Warty, gdzie ubezpieczałam samochód. Dostałam do wypełnienia kilka kwestionariuszy i mało pocieszającą informację. Jeżeli policja nie znajdzie bandziorów, którzy mi bombę podłożyli, to odszkodowania mogę nie dostać. Z przypuszczeń im bowiem wynika, że sama mogłam się samochodu w ten sposób pozbyć, a o odszkodowaniu mowy wtedy być nie może.

Zakupy uzupełniające załatwiłam błyskawicznie, gdyż czas mi się kończył, a jeszcze do zaprzyjaźnionego biura podróży chciałam zajrzeć i poprosić, żeby żadnych zamówień na wyjazdy ze mną nie przyjmowali, bo nie mam czym jechać.

Zdążyliśmy do domu na pierwszą i zaraz potem pojawiła się Marylka, która swoje doświadczenia dzisiaj już zakończyła i gotowa była teraz nawet własną pierś mnie bronić. Nie zdołałam nawet zaparzyć jej kawy, gdy w drzwiach pojawił się podniecony Marcin.

- Słuchajcie, przelew zrobiłem na kupno drewna tym razem. I ten bęcwał nawet faktury mi za farby i drewno obiecał. Podpatrzyłem go. Przy nim przelew robiłem, całą swoją forszę mi z konta wygarnęli. Czekałem jeszcze w banku na potwierdzenie przelewu, kiedy ten żłób mnie zostawił i gdzieś sobie poszedł. Do okna podszedłem i widzę, jak mój bandzior z kimś w mercedesie rozmawia. Zielony on był - opowiadał podekscytowany Marcin.

- Ten twój? To pewnie go łatwo rozpoznać? - zapytał Bartek.

- No, nie wiem czy łatwo. Ale ogon przecież miałem mieć i mam nadzieję, że już go namierzyli - kontynuował z rozpędu Marcin. - Dlaczego uważasz, że łatwo?

- No, zielonego na gębie to chyba z daleka widać? - zdziwił się Bartek.

- Numer widziałeś? - zainteresowała się Marylka.

- Nie, numeru nie, bo bokiem stał i tablic nie było widać - poinformował Marcin. - Dlaczego na gębie? - zwrócił się do Bartka.

- Sam mówiłeś, że zielony. Takiego rozpoznać łatwo - odpowiedział zdziwiony Bartek.

- A! Nie, to mercedes był zielony - wyjaśnił Marcin. - Ogoną nie dostrzegłem i teraz się martwię, czy wszystko widzieli. Bo on mnie wcale od razu nie puścił. Do tartaku mnie ze sobą zabrał i od ręki mi dechy pod wymiar pocięli. Pod te moje ikonki. Potem w samochód mnie z tymi dechami wsadził i do domu kazał jechać. Dlatego tak późno się zjawiłem. Pół mieszkania mam teraz drewnem zawałone.

- Dużo tych pieniędzy było? - spytałam.

- Więcej niż poprzednio. Chałupę nie tylko z drewna mógłbym sobie postawić. Piętrową na dodatek. W ogóle nie rozumiem, jak oni mogą myśleć, że to na jaw nie wyjdzie. Nawet gdybym milczał jak grób. Te ikonki na drewnie, co za nie niby zapłaciłem, chyba przez tysiąc lat bym malował. Chociaż najdroższe drewno mi dali.

- No, pociecha z tego jakaś jest. Część materiałów za darmo masz i za robotę możesz się zabrać - poinformowała Marylka.

- No właśnie. Nie zdążyłem wam powiedzieć, ale farby też dostałem. Dwa kartony, z firmowym nadrukiem tego, co mu poprzednio przelew wystawiłem. Alibi mi robią.

- O podatku mówiłeś? - przypomniałam.

- Jasne. Jak pies skamlałem, że Urząd Skarbowy mnie za długi wsadzi. Podobno jakiś sposób mają i nie powinienem się martwić. Tak mi ten barłoga powiedział. Policzyłem sobie, tak orientacyjnie, dochody, które z tego przemytu wyciągają. - Marcin wyjął z kieszeni karteczkę. - Jak Krzysiek przyjdzie, to wszystko wam przedstawię.

Wyrzuciłam ich z kuchni, bo późno już się zrobiło, obiad musiałam przygotować, a nie wiedziałam na którą. Tak jak i Marcin liczyłam, że Krzyś na obiad przyjdzie.

Ryby skończyłam smażyć, gdy Krzysztof do drzwi zadzwonił. Robił wrażenie zadowolonego.

- Ogłoszenia sprawdziłem - rozpoczął Krzysztof, kiedy usiedliśmy z herbatą. - Osobiście w biurze ogłoszeń byłem i mieliście rację. Raz albo dwa razy w tygodniu ogłoszenia się takie ukazują, że młode dziewczyny ze średnim wykształceniem i paszportem zatrudnią. Zgłoszenia na telefon. Ważne, że ogłoszenia ciągle ten sam facet daje i jego rysopis dostałem.

- A co z moim bankiem? Był tam ktoś ze mną? - wypytywał Marcin. - Bo jednego w mercedesie przyuważyłem i on mi na szefa patrzy.

- Nawet dwie ekipy były - odpowiedział Krzyś. - Maciejewski na wymianę informacji się zgodził, ale sprawę pilotować chciał sam. Ja z ostrożności drugą ekipę za tobą posłałem i dobrze, bo to oni mercedesa zauważyli i numery spisali.

- Dawno się ostatnie ogłoszenie ukazało? Może by tam kogoś podesłać? - spytałam.

- Sam o tym pomyślałem i jedną policjantkę już mi wytypowali. Ogłoszenie jutro pójdzie i ona od razu zadzwoni - wyjaśniał Krzysztof.

- No więc, słuchajcie. Ja obliczenia zrobiłem i zaraz wam przedstawię. Wyszło mi na to, że oni tylko nadwyżki w zarobku na moje konto upłynniają. Resztę muszą w bagażu przywozić - rozpoczął Marcin, wymachując karteczką, którą z kieszeni wyjął. - Nie wiem, ile taka kokaina waży, ale zakładam, że nie więcej niż woda. Proszek to jest i dużo ważyć nie może. Z objętości mi wyszło, że najwyżej pięć kilo mogą dziewczynie do bagażu dołożyć. W detalu to daje jakiś milion złotych. W euro ćwierć tego, ale też sporo. Jeżeli jeden samochód jeździ, to co najwyżej trzy kursy w tygodniu robią. Na miesiąc spora kwota. No, ale koszty własne jakieś mają. Nie wiem, czy sami te narkotyki robią, czy od kogoś kupują.

- Uważasz, że co tydzień jakiś facet z milionem w walizce do Polski przyjeżdża? - spytał zdumiony Bartek.

- Więcej ma tego. Co najmniej dwa miliony. Część na koszty idzie, resztę swoimi kanałami legalizują. Jakieś pieniądze im jednak zostają i stąd te przelewy na moje konto. Z wyliczenia mi zresztą wynika, że jeszcze kilku takich frajerów jak ja mają - wyjaśniał dalej Marcin.

Telefon zadzwonił trzy razy i zamilkł. Dusza powiedziała mi, że to Lalka. Wypukałam jej numer, nie odchodząc na bok, żadnych bowiem informacji utracić nie chciałam.

- Dobrze, że zadzwoniłaś - odezwała się. - Liczyłam, iż domyślisz się, że to ja. Ślepe komendy jesteśmy obie. Rozwiązanie pod nosem miałam. I ty też. Obie to widziałyśmy.

- O czym ty mówisz? Jakie rozwiązanie? - spytałam zaskoczona.

- Pamiętasz, że ci mówiłam. Ta dziewczyna świadomość straciła, jak jechała do Berlina. No, mówiłam ci przecież! - denerwowała się Lalka.

- No, owszem. Ale co to ma do rzeczy?

- A jak z kolacji wychodziliśmy, to dziewczynę do samochodu wnosili. No! Pamiętasz? O tę kolację z Brianem mi chodzi! Kiedy Markowi hamulce nawaliły.

Oczami wyobraźni zobaczyłam scenę widzianą wówczas kątem oka i uznaną przeze mnie za rzecz bez znaczenia. Faktycznie. Sama widziałam, jak jakąś dziewczynę do zielonego mercedesa wnosili. A kilka godzin wcześniej widziałam, jak ta sama dziewczyna do pawiloniku przy „Borku” wchodziła. O własnych siłach.

- Krzysiu! - krzyknęłam, bo nic tak człowieka nie denerwuje jak własne skretynienie. - Wiem wszystko! - zaczęłam i rozłączyłam się z Lalką bez słowa.

Opisałam widziane przeze mnie sceny. Dodałam stosowny komentarz.

- Zielony mercedes! - wykrzyknął Marcin po wysłuchaniu relacji. - To jest to! Za każdym razem występuje zielony mercedes.

- Chyba przesadzasz. Z tego wyliczenia, które przedstawiłeś, wynika, że mercedesa to oni mogą sobie co tydzień kupować. Niby z czego wynika, że to ten sam samochód? - zaoponował Bartek.

- Nie wiem. Może szef lubi zielone i ma kilka. Wolno mu - odparł Marcin.

Po wysłuchaniu naszych rewelacji Krzysztof nagle wyskoczył z domu jak do pożaru. Tylko „Wróć!” zdążył krzyknąć, zanim go wymiotło.

Spokojnie zajęliśmy się rozważaniem ujawnionych rewelacji i planami na najbliższą przyszłość. Byłam zdania, że od razu całej bandy nie zwiną i jakiś czas to jeszcze potrwa. Marcin miał się nazajutrz zgłosić do prokuratury i złożyć zeznanie na temat swojej dzisiejszej działalności. Marylka nadal prowadziła doświadczenia i codziennie rano spisywała wyniki. Do towarzystwa na jutro pozostał mi Bartek, który nie grymasił i żadnych protestów nie zgłaszał.

Zdążyliśmy omówić wszystko wszechstronnie nim nastąpił wieczór. Przed pojawieniem się Krzysztofa nikt nie wyrażał ochoty na powrót do własnego domu. Zebrani na razie nic jeść nie chcieli i zwlekali, najwyraźniej na Krzysztofa czekając. Ten zjawił się dopiero tuż przed dziewiątą.

- Przeprawę miałem, bo ludzi do obserwacji musiałem dostać, a o twoich widzeniach mówić szefowi nie mogłem, gdyż na durnia bym wyszedł - wyjaśniał swoje spóźnienie. - Nie wiem, jak to wyszło, bo ja się w zeznaniach cały czas plątałem, ale wszystkich udało mi się obstawić. Ty jutro z domu się nie ruszaj. W ogóle dobrze by było, żebyś nigdzie nie wychodziła, dopóki sprawy się nie skończy - tłumaczył mi konieczność pozostania w areszcie domowym.

- Wszystkich już namierzyłeś czy ktoś ci jeszcze pozostał? - spytał zaintrygowany Marcin.

- Brakuje nam dostawców albo producenta. Że o narkotyki chodzi, pewien już jestem. Nie wiadomo tylko, skąd je biorą. Cudów chyba wymagasz. Dopiero dziś ich obstawiliśmy i nawet jeszcze nie wszystkie raporty z obserwacji spłynęły - odpowiedział mu Krzysztof.

- No i widzisz. Z pomocą społeczeństwa dużą aferę w kilka dni odkryłeś i rozwiązałeś. Gdybyś ją w tajemnicy trzymał i nic nam nie mówił, na rozwiązanie najpewniej kilka miesięcy musiałbyś czekać - pochwaliłam się.

- No, nie wiadomo, ile nam czekać przyjdzie na wyniki obserwacji. Niemcy chcieli kontakt nawiązać, ale mnie akurat w komendzie nie było i nie wiadomo, o co chodzi. Jakies wyniki też mogą mieć - odparł Krzysztof.

- Ja tam się nie chcę wtrącać, ale do rozwiązania jeszcze pozostaje, kto ci te fotografie do akt podłożył. Że policjant, to wiemy. Namierzyłeś już gościa? - podjął Marcin.

- Nie. Ale jest nadzieja, że przy okazji obserwacji ten kontakt złapiemy. Ostatecznie śledztwo w tajemnicy prowadzę. O całości tylko wy wiecie i mam nadzieję, że nikomu nic mówić nie macie zamiaru.

- No coś ty! - obraził się Marcin. - My tylko między sobą rozmawiamy. Do nikogo kłapał nie będę, tym bardziej że więcej wiem, niż potrzeba, i mnie też mogą próbować skasować. Na życiu mi jeszcze zależy.

- Wy jak? - zwrócił się Krzysztof do Marylki i Bartka.

- Przymierzasz się, żeby nas zamknąć? Różne tajemnice znamy i o nich nie rozpowiadamy. Te twoje akurat dla naszych znajomych nie są interesujące - odpowiedziała mu Marylka.

- Ja tu jutro za ochronę będę. Rozumiem, że tutaj możemy swobodnie rozmawiać, bez zagrożenia, że mnie zamkną? - spytał Bartek.

- Zrozumcie - poprosił Krzysztof. - Przed nami jest najdelikatniejsza część operacji. Wszystkich już na widelcu mamy. Wzajemne relacje ustaliśmy, i to kilka dni musi potrwać. Dobrze by było dokładnie prześledzić, co się stanie z pieniędzmi, które Marcin przelał z własnego konta.

Wszyscy rozeszli się, z jednej strony uradowani rozwikłaniem afery, z drugiej trochę niezadowoleni albo okazany im przez Krzysia brakiem zaufania, albo niemożnością pochwalenia się udziałem w międzynarodowej, bądź co bądź, aferze.

Krzysztof został na noc.

Rano pożegnaliśmy się bardzo czule jeszcze przed przybyciem Bartka. Krzysio uprzedził, że ze względu na nawał zajęć może dotrzeć dopiero wieczorem, i prosił, abym nie opuszczała mieszkania. Zakładałam, że Marcin i Marylka przyjdą natychmiast, jak się tylko od innych zajęć uwolnią.

Skończyłam makijaż, kiedy objawił się Bartek. Pozostawiłam go przed telewizorem. Zaplanowałam zrobienie porządków, na które czasu ani głowy ostatnio nie miałam. O jedenaściej przyszła Marylka, lecz zanim zdążyła się rozgościć, przy drzwiach zabrzmiał dzwonek.

Psiego szczekania nie słyszałam, na Magdę było za wcześnie, wiedziona przecuciem, a może nadmiarem ostrożności, zapytałam „Kto tam?”. W odpowiedzi usłyszałam „Policja” i otwierałam właśnie drzwi, gdy koło mnie pojawiła się Marylka. Niezmiernie zdziwiona nic nie myślałam, kiedy szeroko otworzyłam drzwi. Na wycieracze stało dwóch młodych, umięśnionych mężczyzn, łudząco podobnych do tych, którzy wyskoczyli z ciemnych samochodów, zanim zdążyłam uciec. Zostałam ostro szarpnięta do tyłu i zatrzymałam się na drzwiach pokoju. Obaj wkroczyli gwałtownie do wnętrza. Marylka krzyknęła „Bartek” i przed moimi oczami rozpoczęła się kotłowanina. Od czasu do czasu widziałam podskakującą Marylkę, która uderzała w napastników nogami. Gdzieś na dole tarzał się Bartek. Trwało to dłuższą chwilę, ale zanim zdążyłam oprzytomnieć, dwóch podających się za policję osobników z mieszkania wymiotło. Odniosłam wrażenie, że uciekali nieco poturbowani.

- Ty wariatka jesteś - powiedziała nieco zdyszana Marylka. - Obcym drzwi otwierasz jak jaki jełop. Chłopa za policjanta przecież masz i powinnaś wiedzieć, że on tu żadnych idiotów nie przyśle.

- Dokopaliśmy im. Szkoda, że żaden nie został - powiedział z żalem Bartek, wychylając się przez poręcz w ślad za milknącym tupotem.

Zaledwie zdołaliśmy ochłonąć i przygotować sobie napoje, znowu usłyszeliśmy dzwonek do drzwi.

- Domofonu przedtem nie było - powiedział ostrzegawczo Bartek, idąc otworzyć. Marylka ustawiła się w połowie przedpokoju w pozycji, którą uznałam za obronną.

- Kochani! Co tu się dzieje? - usłyszałam głos Marcina.

- Dla odmiany napad mieliśmy - poinformowała go sucho Marylka, tracąc zainteresowanie dla drzwi wejściowych.

- Wchodź, porządnie zamknąć trzeba, bo nie wiadomo, co nas jeszcze czeka - wyjaśnił Bartek, ryglując drzwi, po czym opowiedział Marcinowi przebieg bójki.

- Ja ich chyba na dole widziałem - zaśmiał się Marcin. - Do samochodu wsiadali i faktycznie robili wrażenie mocno nieświeżych.

- Ja bym do Krzysztofa na twoim miejscu zadzwoniła - ostrzegawczo powiedziała do mnie Marylka.

- Ostatecznie nic się przecież nie stało - zaprotestowałam.

- Ale nie wiesz, co się jeszcze stać może. Krzysiek mówił, że parę dni co najmniej za bandą będą chodzić. My o tym wiemy, bandziory nie, i własne plany co do ciebie będą realizować - powiedział Marcin.

Ostatecznie naleganiom całej trójki uległam i zaczęłam poszukiwać Krzysztofa pod pozostawionymi mi numerami. Znalazłam go pod trzecim z kolei i pokrótce opowiedziałam o niepożądanym wizycie.

- Cholera! - zdenerwował się Krzysztof. - Ludzi mi zabrakło i ochronę ci wczoraj zdjąłem. Uważajcie na wszystko. Na te drzwi kuchenne też. Strzelać jeszcze nie zaczęli, ale nie wiadomo, co zrobią następnym razem. Przyjdę wieczorem.

Sprawozdanie z rozmowy z Krzysztofem obecnym złożyłam i wysłuchałam kilku nieprzychylnych komentarzy, co prawda głównie odnoszących się do policji w ogóle, a nie do Krzysztofa.

- Jak oni tych bandytów chcą łapać, kiedy pieniędzy i ludzi nie mają? Duchem świętym? Ciała astralne policyjni detektywi będą z siebie wydzielać i za ich pomocą bandytów śledzić? - pytał retorycznie Bartek.

Marcin opowiedział o swoich zeznaniach w prokuraturze, którymi był niepomiernie zdziwiony. Przede wszystkim w ogóle żadnych zeznań nie składał. Jak przyszedł, wszystko, co robił, było szczegółowo w protokole opisane, krok po kroku. Znalazł tylko dwie nieścisłości i o nie Maciejewskiego zapytał. Po pierwsze, w protokole podano numer rejestracyjny zielonego mercedesa, którego z banku zobaczyć nie miał prawa ze względu na ustawienie pojazdu. Po drugie, w protokole podane zostało, że był w tartaku u niejakiego Kowalczyka.

- W tartaku, owszem, byłem. Na tego jakiegoś Kowalczyka też przelew wypisywałem. Ale o tym, że w tartaku z samym Kowalczykiem rozmawiałem, bladego pojęcia nie miałem. Facet nie przedstawił mi się w ogóle. Ten bęcwał, co ze mną był, powiedział do niego tylko: „To jest ten pan, o którym rozmawialiśmy”, i tamten od razu mi drewno zaczął pokazywać. Że to Kowalczyk, dopiero z protokołu się dowiedziałem.

- I co ci ten Maciejewski odpowiedział? - spytał Bartek.

- Że do śledztwa mu to potrzebne. Jakby nie miał numeru, nie mógłby ścigać samochodu ani jego właściciela, bo możliwe, że w Łodzi jest więcej zielonych mercedesów. A numery mu pracownicy... nie, funkcjonariusze operacyjni ustalili.

- A ten Kowalczyk? - zapytała podejrzliwie Marylka.

- To samo. Jakbym nie podał nazwiska, to powinien mnie na miejsce do tartaku zawieźć i tam bym po pysku, to jest po twarzy, musiał rozpoznać. Ale takie okazanie to szum i cała akcja by się wydała. A oni wiedzą, że z Kowalczykiem rozmawiałem, więc na skróty poszli.

- Podpisałeś? - spytałam.

- A co mi tam! Jak to inny facet, zawsze sprostować będę mógł. Z twarzy go rozpoznam. O numery samochodu wcale się nie martwię. Jak to inny samochód, to w tym czasie

był gdzie indziej i nikt właściciela ścigać nie będzie. Kiedy w banku byłem, w protokole bardzo szczegółowo zapisane. A w ogóle to dlatego tak szybko do was przyszedłem. Jakbym miał słowo po słowie zeznawać, to do wieczora pewnie bym się nie wyrobił - zakończył opowiadanie Marcin.

Wobec tego, że na obiad z Krzysztofem nie było co liczyć, zarządziłam, że zjemy wcześniej. Nikt się prawie nie odzywał, wszyscy czujnie nadśluchiwali, na każdy szmer uwagę zwracając. Marcin nawet ode mnie tłuczka zażądał i przy wyjściu go położył, żeby „w poręcznej bliskości był”, jak powiedział.

Marylka z Bartkiem jakieś ćwiczenia zaczęli wykonywać, bo Bartek żal wyrażał, że jednemu z napastników za słabo przyłożył i Marylka mu stosowny ruch pokazywała. W ogóle popołudnie i wieczór ciągnęły się jak guma do żucia. Co raz ktoś podejrzanego odgłosy słyszał i na korytarz sprawdzać wyskakiwał. Wszyscy spokój udawali.

Dzwonek do drzwi wywołał zbiorowe westchnienie ulgi, ale poszli otworzyć Bartek z Marcinem. Marcin za plecami tłuczek chował.

Żadnych obcych nie było. Krzysztof wszedł i nie zdziwił się, widząc powitanie. Ukochani przyjaciele jak stado hien się w niego wpatrywali.

- Możecie już przestać. Ochrona znowu jest i następnych napastników, mam nadzieję, nie przepuszczą. W ogóle niewykluczone, że następnych nie będzie - powiedział z pewnym rozgoryczeniem.

- Co się stało? - zapytał Marcin.

- Niemcy się pospieszyli. Twierdzą, że sprawdzić tylko chcieli, ale dzisiaj rano weszli do tej willi, której adres od nas dostali, i w garażu samochód na polskich numerach zobaczyli. Uznali, że właśnie dostawę nakryli, i wszystkich zatrzymali. Lada moment informacja o tym do Polski dotrze - wyjaśnił Krzysztof.

- Przemyt jakiś znaleźli? - zapytał Marcin.

- Jakaś dziewczyna tam była? - zainteresowała się Marylka.

- Jaki samochód? - spytał Bartek.

- Do kolacji siadamy. Przy stole Krzyś nam o wszystkim opowie - zarządziłam.

Usiedliśmy przy stole, zachłannie wpatrując się w Krzysztofa.

- No, dobrze - powiedział z niechęcią. - Powiem wam, bo mnie na strzępy rozszarpiecie. Dziewczyna była, bardzo przestraszona. Mówi, że nic nie wie, do pracodawcy przyjechała. Przemyt, owszem, znaleźli. Osiem kilo opium. Tyle że nie w samochodzie, ale już w domu, i na dobrą sprawę tych zatrzymanych Polaków puścić trzeba. A na dodatek Niemcy sprawę pokpiłi. Przez kilka minut pod domem dwa radiowozy stały. - Machnął ręką ze zniechęceniem. -

Jak ktoś na tę chwilę trafił, zmył się błyskawicznie i my nic o nim nie wiemy. Samochód to zielony mercedes.

- No, popatrz, jakie trafne przeczucie miałaś - zwrócił się do mnie Marcin. - Te dziewczyny faktycznie niczego nie wiedzą.

- Widzi mi się, że ci w Polsce o niczym jeszcze nie wiedzą. Inaczej bandziorów by tu nie przysłali - zaopiniował Bartek.

- To nic pewnego. Zlecenia na ten napad na pewno nie szef całego interesu z nimi bezpośrednio załatwiał. Ktoś inny to zlecił. Ci, co tu byli, pojęcia o tym, co w Niemczech, mogą nie mieć, a nawet do bandy nie należeć. Wynajęci na zlecenie, do konkretnej roboty - orzekła Marylka.

- Kto by powiedział? Może jednak ten szef rzeczywiście lubi zielone mercedesy? - zauważył Bartek.

- I co teraz? - zapytałam, odczekawszy, aż Krzysztof pochłonie pierwszy kawałek chleba.

- Wszyscy pod nadzorem są i czekamy, aż coś się stanie. Jutro ta policjantka do nich do pracy się zgłosi. Jak dobrze pójdzie, do szefa albo chociaż na punkt kontaktowy trafi i czegoś się dowiemy. Jeśli nic się nie zdarzy, kilka dni odczekamy i wszystkich zdejmemy. Przez Marcina kilka haków na nich mamy, bo już wiadomo, że to jedna banda. Ale mało tego. Chyba że w śledztwie któryś farbę puści, to się więcej dowiemy. Domyślamy się wszystkiego i to, muszę przyznać - zwrócił się Krzysztof do mnie i do Marcina - głównie wasza zasługa. Zależy, jak z tą naszą policjantką będą rozmawiać. To o rozwoju sytuacji może zdecydować.

- Czarno widzę - powiedział Marcin. - Nic nie zrobią, cicho będą siedzieć i nic im nie można będzie udowodnić. No, te przesyłki do mnie. Byle łgarstwem się wykręca. Już widzę, jak mnie Urząd Skarbowy szarpie, i dreszczy dostają.

Każdy wygłaszał inny pogląd na sprawę i hałas się zrobił dość spory, bo w grę weszła również rozbieżność poglądów na rozwój sytuacji. Tylko Krzysztof spokojnie jadł, nie zwracając uwagi na nasze szalejące przypuszczenia.

- On nam wszystkiego nie przekazał - wykrzyknął oskarżycielsko Marcin, wskazując na Krzysztofa. - Patrzcie na niego. W nosie ma, co mówimy. Coś więcej wie, tylko powiedziec nam nie chce!

Wszyscy jak na komendę spojrzeli na Krzysztofa. Głód wiedzy musiał w naszych oczach zobaczyć albo z ludożercami mu się skojarzyliśmy, bo wzdrygnął się nieco.

- No, dobrze, ale jeszcze raz proszę - rozpoczął Krzysztof - nikomu ani słowa. Drobiazgi to są. Ci na schodach złapani wskazali jednego, który do roboty ich najął. Otworzyć drzwi

tylko mieli i zawiadomić, że otwarte. Co potem, miało ich nie interesować. Po numerze telefonu ustaliliśmy, kto te zgłoszenia z ogłoszeń o pracy otrzymuje, i też opiekuna dostał. Dane kandydatek raz dziennie takiemu jednemu dostarcza. W żadnej bandzie nie jest. Przesłuchaliśmy go i bardzo się przestraszył. Przekonany był, że za kilka groszy uczciwą pracę wykonuje. Teraz z nim przy telefonie nasz człowiek siedzi.

- A co z bombą pod moim samochodem? - spytałam.

- Też jednego namierzyliśmy. Były saper. Specjalne połączenia stosuje, stąd wiadomo, że jego. Też ma opiekę. Możliwe, że gdzieś ślady paluszków zostawił. Nasi bardzo sumiennie wszystkie kawałki zebrali i delikatnie zabezpieczyli. Porównamy, jak się go aresztuje - wyjaśniał Krzyś.

- No, trochę mi lepiej, bo już myślałem, że cała sprawa na moich zeznaniach się skończy - odetchnął z ulgą Marcin.

- Aż tak źle nie jest. Trochę materiału mamy. Szkoda tylko, że tak szybko wszystko się przez Niemców wysypało. Gdybyśmy mogli ich przez kilka dni śledzić, lepiej by było - odparł Krzysztof.

- Wy zupełnie o niej nie myślicie - wskazała na mnie Marylka. - Przecież ona cały czas jest w niebezpieczeństwie i ja sobie w ogóle nie wyobrażam, żeby tak po całych dniach, a nawet tygodniach, żyć mogła.

- Przecież jak mogę, jestem tutaj - odpowiedział Krzyś, biorąc mnie za rękę. - Rozdwoić się nie zdołam. Co wy myślicie? Że zgodziłbym się na waszą obecność, gdyby nie obawa, że łotry mogą jej krzywdę zrobić? Takiej wspaniałej blondynce!

Odczułam miłe, rozchodzące się po całym moim ciele ciepło. Ukochanych przyjaciół pożegnałam bez żalu. Nie zwróciłam uwagi na to, kto jutro za ochronę będzie mi służył. Krzysztof troskliwie się mną zajął i rozwiązał wszystkie wątpliwości, że tylko ze względu na prowadzoną sprawę zainteresowanie mną przejawia.

Z samego rana zjawił się Marcin. Możliwe, że minął Krzysztofa na schodach.

- Na śniadanie liczyłem - powiedział, wchodząc do kuchni. - Przez tę kołomyję nawet nie mam kiedy zakupów zrobić i dzisiaj rano stwierdziłem, że w lodówce mam wyłącznie powietrze.

Po chwili przy stole w kuchni siedział również Bartek. Moja ochrona zgodnie konsumowała śniadanie.

- Koło dwunastej Marylka przyjdzie. Pewnie na obiad zostaniemy. Dobrze gotujesz - stwierdził Bartek.

- To po ryby pojedziesz. Ostatecznie jeszcze jeden dzień aresztu domowego mogę przeżyć - odpowiedziałam.

- Słusznie. Cały czas się martwię tym, co mówił Krzysztof. Że mogą zacząć strzelać. Oczy na szypułkach trzeba mieć, i to co najmniej dwie pary, żeby takiego z daleka zauważyć - powiedział Marcin, zapalając papierosa.

- Fuj. - Bartek odgonił od siebie chmurę dymu. - A jak myślisz, zawodowcom to się udaje? Kwestia treningu. Dwóch nas dziś jest i ostatecznie na zewnątrz też ją możemy ochronić. Patrzyć trzeba wszędzie i pole widzenia na sektory podzielić. Każdy ma swój sektor obserwacji i tylko tam patrzy.

- I co, jak w innym sektorze zobaczy, że ktoś broń wyjmuje, to udaje, że nie widzi czy na strzelca się rzuca? - zapytał Marcin.

- Głupiś. Na osobę, którą ochraniaasz, trzeba się rzucić, do ziemi ją przygnieść i własnym ciałem osłonić - objaśniał Bartek.

- To ja już wolę, żebyście mnie nigdzie nie przygniatali i na ziemię nie rzucali. W domu dzisiaj zostaję. A w ogóle to wyjdźcie z tej kuchni. Ciągle mam uraz, że ktoś za drzwiami podsłuchuje - przegoniłam ich do pokoju.

- Moim zdaniem przesadzasz - odpowiedział Marcin, podnosząc się z krzesła.

- Nie przesadza - krzyknął z pokoju Bartek. - Sam przecież wiesz, że w tej całej aferze jakiś glina się płacze - dodał ciszej, wszyscy bowiem już byliśmy w pokoju. - Skąd wiesz, czy on akurat za tymi drzwiami nie stoi?

- Duch święty mu powiedział, że tu akurat o aferze wiemy i o niej rozmawiamy? - spytał Marcin, wykrzywiając się z dezaprobatą.

- Przypadek - powiedziałam w natchnieniu. - W całej tej aferze jest bardzo dużo przypadków. Ta zdradziecka glina przypadkowo może być moim sąsiadem z tamtej klatki schodowej.

- Sąsiadów swoich nie znasz? - zdziwił się Marcin.

- Z tamtej klatki schodowej nie znam. Nie używałam jej nigdy. Dopiero teraz okazała się przydatna - odparłam.

Zostawiłam ich przed telewizorem zgodnie oglądających jakieś zawody sportowe. Telewizor głośno warczał, był to motokros, zawody żużlowe albo coś podobnego. Spokojnie poukładałam rzeczy w sypialni i trochę sprzątnęłam, wychodząc z założenia, że warkot odku-

rzacza konkurujący z warkotem telewizora nie powinien im przeszkadzać. W połowie sprzątania w drzwiach pojawił się Bartek.

- Słuchaj, taka jedna przyszła i coś od ciebie chce. Nie chce powiedzieć, o co jej chodzi - oznajmił.

Zaintrygowana podążyłam za nim. W przedpokoju, wdzięcząc się do najwyraźniej pilnującego jej Marcina, stała Magda. Zdziwiłam się. O tej godzinie powinna być w pracy.

- O co chodzi? - spytałam.

- Osobiście muszę ci coś powiedzieć, w tajemnicy - oznajmiła Magda.

Zaprosiłam ją do środka, pozostawiając obu panów w przedpokoju.

- Tak? - zapytałam.

- Słuchaj. Spotkałam fantastycznego faceta! - zwierzyła mi się, wywołując niejako moje zdumienie, zwykle bowiem przychodziła w sytuacjach kryzysowych, po porażce w związku z nieudanym podrywem. - On chce się z tobą w tajemnicy spotkać. Interes ma, z samochodami związany.

- W tajemnicy przed kim? - spytałam nieufnie.

- No, przed wszystkimi. Na dole czeka, na ulicy - odparła.

- Nigdzie nie idę. Nie mam teraz czasu. Jak chce, niech za kilka dni przyjdzie, to z nim pogadam. Widzisz, że mam gości i nigdzie wychodzić nie mogę.

Uff. Goście ją przekonali, szczególnie że, wychodząc, zobaczyła Marylkę. Warkot telewizora zagłuszył dzwonek. Na wszelki wypadek poinformowałam, czego chciała Magda. Grono ukochanych przyjaciół puściło wodze wyobraźni i już po chwili Magda występowała w roli groźnego herszta jeszcze groźniejszych bandytów.

- Koniec dyskusji. My z Marylką piszemy wniosek. Przypuszczenia będziecie snuli, jak Krzysztof wróci - rozgoniłam ten sabat czarownic.

Zgodnie z przewidywaniami wniosek udało nam się napisać w ciągu godziny. W tym czasie wrócił Bartek z rybami, zamknęłam się więc z nimi w kuchni, żeby w snuciu różnych przewidywań nie uczestniczyć.

- No, to koniec afery. Powinnaś już być bezpieczna - powiedział do mnie wyraźnie skwaszony Krzyś, gdy tylko wszedł do mieszkania.

- Co się stało? - spytałam.

Żądza wiedzy u moich przyjaciół była wielka. Aż wbili oczy w Krzysztofa.

- Dzisiaj nastąpiły aresztowania. Można powiedzieć, że to koniec afery - ogłosił wyraźnie niezadowolony Krzyś.

- Wszystkich zamknęliście? - wykrzyknął zdumiony Marcin.

- Większość. Z szefów jeden nam uciekł. Miał paszport dyplomatyczny. Honorowy konsul Kostaryki czy jakiegoś podobnego kraiku - odpowiedział Krzysztof.

- No, jak to? - zapytał wyraźnie rozczarowany Bartek. - To już? A dostawcę czy też producenta złapaliście?

- Dzisiaj rano. Turek to był. TIR-em jeździł i narkotyki w zapasowych kanistrach przewoził. Żadne psy by tego nie wywąchały, bo w paliwie zatopione. Dzisiaj rano z dostawą podjechał, jak zobaczyli, że te kanistry demontuje i towar wyjmuje, wszystko kamerą nakręcili i pozwolili mu swobodnie przejść. On towar do odbiorców zaniósł i zapłatę otrzymał. W euro mu płacili. Nie było na co czekać, z towarem wszystkich nakryli. Kierowcę zwinęliśmy, kiedy tylko do samochodu wrócił.

- Mówiłeś, że to kilka dni potrwa - z pretensją powiedziała Marylka.

- Tak myślałem, ale samo nam wyszło. Jak ten konsul wrócił z Niemiec i alarm ogłosił, nie było na co czekać. Do rana tylko należało dotrzeć, no i w nagrodę Turek nam się trafił - wyjaśnił Krzysztof.

- Zaraz, zaraz. Mnie tu czegoś brakuje - krzyknął Marcin. - Po pierwsze, czy wiecie, jak oni te pieniądze w Polsce legalizują, a po drugie, co z tym zdrajcą.

- O policjancie mówisz, odnoszę wrażenie - zauważył Krzysztof. - Jego też złapaliśmy, ale kto to, dowiedcie się z telewizji albo z prasy. Z telewizji prędzej, bo komendant wojewódzki konferencję prasową dzisiaj urządzi - dodał z przekąsem.

- Ale ta forsa?! - jęknął Bartek.

- Przez restauracje ją puszczała. Sam szef dwie restauracje miał i dochody z tej narkotykowej działalności w nich wykazywał. Podatki, owszem, płacił, a potem to już miał wszystko legalne - wyjaśniał dalej Krzysztof. - Jakby przyjąć to, co wykazywał jako dochody ze swoich knajp, było to nie tylko najrentowniejsze na świecie przedsięwzięcie, ale ludzie w tych restauracjach jedni na drugich siedzieli przez czterdzieści godzin na dobę.

- Na szczęście to już koniec - powiedziałam. - I po co ta Lalka w nocy poszła w krzaki. Że też nie mogła sikać w innym miejscu?

- Przecież to, że znalazłyście trupa, nie miało żadnego znaczenia - zauważył Krzysztof.
- Czysty przypadek. Ważny był tylko list ukryty w twoim samochodzie.

- To znaczy ten trup wcale nie musiał być tej dziewczyny. Mógł być zupełnie obcy?

- Tak, mógł to być zupełnie obcy trup.

- Wreszcie jak normalny człowiek będę się mogła poruszać i nie będę musiała co dzień gotować obiadów - odetchnęłam.

Błysk w oku mojego szczęścia powiedział mi, że z tymi obiadami ulgowo mi nie przejdzie. Trudno, niech już tak będzie. Romans nam się rozwinie.